

P. II 864

1885.

Na rzecz Towarzystwa
Czytelni Ludowych
w Poznaniu.



OKREŚLONE

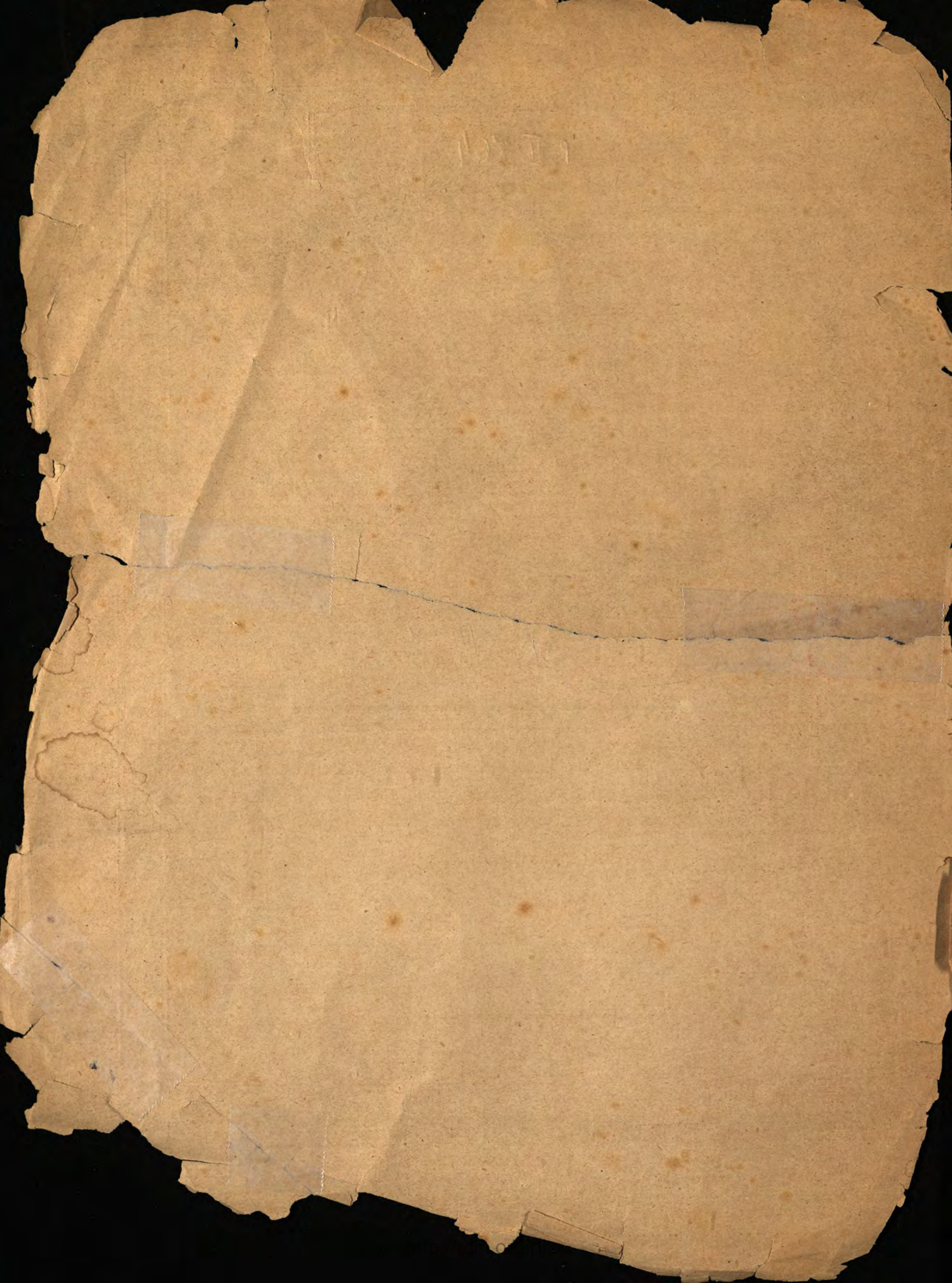
Cena 1 Mrk.



Poznań.

Nakładem i drukiem J. I. Kraszewskiego

(Dr. W. Lebiński).



OKREŻNE.

—* JEDNODNIÓWKA *—

NA RZECZ TOWARZYSTWA CZYTELNI LUDOWYCH W POZNAŃU.

— Poznań, w wrześniu 1885. —

OD REDAKCYI: Artykuły drukowane są porządkiem jak kolejno nadeszły.

NA OKREŻNE.

Nie rodzi gleba, nie płuży rosa,
Ludzie niemirni, gniewne niebios,
A my niesiem plon
Na pociechę w dom.

Kędy są chłody, niech serce grzeje,
A miłość lepsze rodzi nadzieje;
Plon niesiemy, plon
Na pociechę w dom.

Spokoju niema ach w poniewierce...
Rozterka w głowach, dusza w rozterce; —
A my niesiem plon
Na pociechę w dom.

Kędy ciemności, niech rozednieje,
A rozum jasne kreśli koleje;
Plon niesiemy, plon
Na pociechę w dom.

Chwastem jest zazdrość i sproсна pycha,
Co z nich urosnie, to marność licha;
A my niesiem plon
Na pociechę w dom.

Sprawże to Panie, gdy szcędzisz chleba,
Że plon dasz prawdy, miłości z Nieba!
Plon niesiemy, plon
Na pociechę w dom.

Władysław Satawa.

TESKNOTA WYGNAŃCA.

(Podług X. Lamennais. — Z teki Wład. Taczanowskiego.)

Chodziłem w pośród ludzi. — Zwracali na mnie swe oczy i ja spoglądałem na nich wzajemnie: — aleśmy się nieznali wcale. — Wygnaniec wszędzie samotny! —

Gdy przy dnia schyłku ujrzał wznoszące się dymy z chatki w dolinie, rzekłem do siebie: szczęśliwy, kto pod wieczór znajduje domowe ognisko i w pośród swoich przy niem zasiędzie! — Wygnaniec wszędzie samotny!

Dokąd dążą te obłoki od burzy pędzone? Ona mnie pędzi zarówno z niemi. — I cóż mi z tego dokąd! — Wygnaniec wszędzie samotny!

O jak piękne są te drzewa, te pola, te łąki! — Ale nie są to drzewa, ni pola, ni łąki mojej Ojczyzny! — One nieprzemawiają do mojej duszy: one niemają dla mnie języka! — Wygnaniec wszędzie samotny! —

Ten strumyk luby, rozkosznie spada w dolinę: lecz wiek mój dziecinny nie słyszał jego mruczenia, — nierozbudza on we mnie żadnych wspomnień! — Wygnaniec wszędzie samotny! —

Pytano mi się czego płaczesz? — a gdym opowiedział, nikt niezapłakał — bo mnie nikt nie pojął, nikt nie zrozumiał. Wygnaniec wszędzie samotny!

Widziałem starców otoczonych licznem potomstwem. — Ale mnie nikt nienazwał, ni swoim synem, ni bratem. — Wygnaniec wszędzie samotny! —

Widziałem uśmiechające się młode dziewice — uśmiech ich podobnym był do porannego wietrzyku: — uśmiechały się one ku temu, którego miłość kochankiem zrobiła. — Do mnie, nieuśmiechnęła się żadna. — Ach! wygnaniec wszędzie samotny! —

Widziałem przyjaciół w objęciach wzajemnych, przyciskających pierś do piersi, jak gdyby z dwóch ciał jedno utworzyć chcieli: ale mnie żaden ręką nie ścisnął. — Tylko w Ojczyźnie mamy przyjaciół, kochanki, ojców i braci — u obcych wygnaniec wszędzie samotny! —

Luba Ojczyzno! Czyliż Cię ujrzę? czyliż powitam mych braci? — Tak jest!! —

Polak konając nadziei nie traci! —

DWA USTĘPY z bitew pod Szegiedynem i Temeszwarem.

„Lepszy łut szczęścia, niżli funt rozumu,“ niesie polskie przysłowie. A ja bym dodał, że człowiek zdobywa sobie uznanie świata dla czynów swoich nie w miarę zasługi przed Bogiem i własnym sumieniem, ale w miarę doraźnego powodzenia i okazałości czynu. Życie narodów, życie prywatne ciągłych dostarczają tej prawdy dowodów.

Nie szukając zbyt daleko, czyżby Wielopolskiego nie sławiono szeroko i w długie lata jako polskiego Cavoura, gdyby mu się polityczny jego eksperyment był udał? Że się jednak nie udał, — a nawiasem mówiąc, udać się w żaden sposób nie mógł w obec zupełnego braku trzeźwego zmysłu politycznego w narodzie i w obec samych tylko uczuciowych aspiracji politycznych ogółu, — że się eksperyment nie udał, pozostanie onegoż inicjator, pomimo wielkiej zasługi jaką mieć mógł w obec Boga i własnego sumienia i pomimo panegirycznej książki pana Lisickiego, jeżeli nie potępionym, to lekceważonym i zapomnianym z czasem w narodzie. Natomiast Belwederczycy, których dziś czcimy jako bohaterów, bo od nich bierze początek wiekopomna walka narodu o niepodległość, w jakież smutne i potępiające popadłoby zapomnienie, gdyby awantura listopadowa w Listopadzie i na bruku warszawskim, jak to łatwo zdarzyć się mogło, była się skończyła?

Życie prywatne roi się także na prawo i na lewo od przykładów. Nie szukając, znowuż, zbyt daleko, a nawet pozwalając sobie szukać bardzo blisko, bo na sobie samym, cóż mi przyniosło moje zachowanie się w dwóch przypadkach, które lat temu parę opowiedziałem w jubileuszowym Dzienniku, a w których, pod względem uczuć i rozmysłów mną kierujących, jak niemniej pod względem zasobu użytego i zużytego przytem hartu woli, nie czuję się we własnym sumieniu całkiem bez pewnej zasługi? Oto dwa dekreta śmierci wygłoszone mi przez własnych rodaków. Czemu? Bo strona zasługi, jeżeli zasługa jaka była, przeszła w odmęcie chwil gorączkowych niepostrzeżona i niepodniesiona: brakło okazałości, a i o jakimś sukcesie nie bardzo mówić było można. Natomiast dwa malutkie ustępy z życia mego wojskowego, w których w obec własnego sumienia widzę tylko najprostsze i najpowszedniejsze wykonanie obowiązku, ani zaś żdźbła szczególnej jakiejś zasługi dopatrzeć nie mogę, zyskały mi nie tylko doraźne uznanie dowódców i nie łatwo udzielany węgierski krzyż wojskowy, ale, co sercu miłsze, niezgasła jeszcze całkiem po latach tyłu, jak się wielokrotnie przekonać miałem sposobność, życzliwą i pochlebną pamięć u garstki dotąd przy życiu pozostałych towarzyszy broni. Czemu? Bo był doraźny sukcesik i przypadkowo nie zbywało na okazałości.

Otóż kiedy mam tu dziś coś opowiadać, opowiem, jak będę umiał najkrócej, dwa te epizody.

Rzecz się dzieje latem 1849 roku, na Węgrzech. Objąwszy po mężnym Wójciku, któremu rosyjska kula armatnia pod Turo głowę urwała, dowództwo lekkokonnej półbaterii, wchodzącej w skład konnej brygady polskiego legionu, pospieszyłem zameldować się w tym nowym charakterze, jak porządek służby wymagał, wskazanemu mi w sztabie legionu dowódcy brygady, pułkownikowi 2-go pułku ułanów, Tchórnickiemu, napoleońskiemu jeszcze wiarusowi. Tchórnicki przecież raportu mego niechciał wcale słuchać, mówiąc opryskliwie, że on dowództwo to

już złożył i że Poniński teraz brygadą komenderuje. Poniński znowu, młody, dorodny i nad wyraz dzielny pułkownik 1-go pułku ułanów, grzecznie ale stanowczo oświadczył, że mi żadnych rozkazów dawać nie może, bo nie on, ale Tchórnicki brygadą dowodzi. Kiedym wreszcie na tę służbową anomalią szukał rady i lekarstwa u głównej komendy legionu, powiedziano mi poufnie, że bym sobie radził jak będę umiał, poróżnionych pułkowników dalej nie drażniąc, bo się zapewne niebawem pogodzą. Poradziłem więc sobie w ten sposób, że w marszu, w biwakach i w bitwach trzymał się statecznie obu tych pułków, orientując się jakem umiał w położeniu rzeczy, z dowódcami jazdy poufnie się znosząc i stosownie do tego biorąc moje dyspozycje, gdyż do końca niemal kampanii od nikogo rozkazów żadnych nie odbierałem i z jedynym wyjątkiem o którym wspomnieć może mi przyjdzie, nikomu już się o takowe nie naprzykrzałem.

W takim stanie służbowych moich stosunków cofałem się wraz z armią nadcisańską, zostającą pod dowództwem Dembińskiego, a w której skład oprócz różnych węgierskich korpusów i legion polski wchodził, przez kraj Jazygów i Kumanów aż do Szegiedynu. Dembiński zamierzał dłużej się w tym wielkiem mieście zatrzymać, chociażby dla zasłony rządu węgierskiego, który się tu był schronił. Zamiar nie dał się przecież skutecznie. Ustupując przed przeważnymi siłami nieprzyjaciela, Węgrzy opuścili miasto, przepawili się na lewy brzeg Cisy, i zniszczyli most za sobą. Wódz ich sądził, że szeroka rzeka zasłoni armią dłuższy czas przed napieraniem nieprzyjaciela. Austriacy wszelako sforowali wzbranianą sobie przeprawę, rzucili most na rzece i przeszedszy na lewy brzeg w wielkiej sile, jeli w niepokojący sposób zagrażać odwrotowi Dembińskiego, którego armia, już po większej części w marszowych kolumnach, ku Banatowi zdążyła. Szcześnie dzień miał się ku schyłkowi. Tylną straż rejterującej armii węgierskiej tworzyła polska brygada konna. Oba pułki ułanów, a ja w pośrodku nich, cofały się w szyku bojowym eszelonami, swoją postawą i gotowością imponując natarczywemu nieprzyjacielowi i zasłaniając skutecznie nieco już bezładny odwrot armii. Zaczęło się zmierzchać. Naraz, w znacznej prawdzie odległości, stanęła naprzeciw nam na pozycyi dwunastofuntowa pełna bateria (była to konna artyleria rosyjskiej dywizji Paniuty, przyłączonej do austriackiej armii Haynau) i gęsty ale nie celny na nas rozpoczęła ogień. Chwila była krytyczna. Gdyby ogień ten rozbił naszych ułanów przed zapadnięciem zmroku, pytanie, coby się z niezastłanieniami już a cofającymi się kolumnami stało. Moje działa tak były leciutkiego kalibru, że się ani mogły mierzyć na tę odległość z dwunastofuntowami. Błysnęła mi wtedy przypomnieniem teoretyczna skazówka artyleryjskiej taktyki, że jedynym sposobem zrównania szans dla słabszego kalibru naprzeciw cięższemu, jest odpowiednie zmniejszenie odległości. Naraz więc, zamiast cofania się porównano z ułanami, zakomenderowałem marsz naprzód, zmierzając mocnym klusem wprost ku baterii nieprzyjacielskiej. Oficerowie naszej konnicy wytrzeszczyli oczy, coby to znaczyło, a jeden z nich, który wysunąwszy się nieco naprzód dla rozpoznania, wracał teraz do szwadronu, zawołał półgłosem mijając mnie: „Co robisz! zabiorą ci działa!“ Jam wiedział co robię, odrzekłem więc tylko w przelocie: „To nie dajcie zabrać!“ i ruszałem dalej. Kiedym już dojechał na odległość, z której, jak oceniałem, kule moich czterofuntówek baterii nieprzyjacielskiej dosięgnąć mogły, kazałem stanąć,

odprzodkować i ogniem na ogień odpowiadać. Teraz ja byłem w awantażu. Rosyjska artyleria w ogóle źle celuje a przynajmniej źle przed 36 laty celowała, a ta tu w szczególności ciężka bateria, przywykła na dalsze tylko, swemu kalibrowi odpowiednio, strzelać odległości, taką brała elewacją, że wszystkie niemal jej kule nad głowami nam gwizdząc przelatywały. Moje natomiast, trafnie na tę niezawielką odległość wysyłane, musiały nie chybiać celu, wnosząc po skutku, bo po jakimś czasie wzajemnej kanonady, nieprzyjaciel, bądźto dla otrzymanej dotkliwej odpowiedzi, bądźto dla zapadającego już zmroku, ognia zaprzestał. Ja też wróciłem do ułanów, wychodząc prawie nietknięty z tej ognistej łaźni: miałem tylko jednego konia zabitego, dwóch ludzi kontuzjonowanych i jedno działo lekko uszkodzone.

Był tu więc i sukces doraźny, była i okazałość, bo wszystko się działo w obliczu dwóch pułków; ale gdzie tu szczególna jakaś zasługa?

Armia Dembińskiego a my z nią, cofaliśmy się przez kilka dni w głąb Banatu, w ciągłym boju z napierającą armią Haynaua, a mianowicie z postępującą w przedniej straży dywizją Paniutyna. A że polska brygada konna stanowiła tylną straż armii węgierskiej, nie rozkulbaczałyśmy prawie koni przez ten cały czas, mając wciąż Rosyan na karku. Kiedyśmy tak maszerowali o świcie dnia 9 Sierpnia, zbliżając się do wsi Kisz-Beczkerék pod Temeszwarem, obleganym przez Węgrów a bronionym uporczywie przez zamkniętą w tej twierdzy załogę austriacką, przybiega w galopie jakiś węgierski adiutant, oznajmując nam, że generał Bem przybył ze Siedmiogrodu i objął dowództwo armii w miejsce Dembińskiego. Jeszcześmy nie ochłonęli, jedni z zadziwienia inni z zachwyty nad tą nowiną, kiedy przygalopował drugi adiutant z rozkazem Bema, by każdy maszerujący oddział stanął i rozwinął się półobrotem w prawo w szyk bojowy, gdyż nowy wódz naczelny ważył się przyjąć bitwę. Nasza brygada, postępująca w aryergardzie, zatrzymawszy się i zrobiwszy półobrotu w prawo, znalazła się tym samym na skrajnym prawym skrzydle uszykowanej do boju armii. Oba pułki ułańskie w jednej długiej stanęły linii, ja z moją półbaterią, jak zwykle, w środku nich. Przed sobą mieliśmy jakąś aż ku Temeszwarowi ciągnącą się, błotnistą i leniwym strumieniem przerznątą nizinę. Na przeciwnych wzniesieniach szycowała się armia austriacka, z szeroko rozłożoną wsią Kisz-Beczkerék w tyle. Linia bojowa tak była długa, że zaledwie od czasu do czasu dostrzegał wśród kurzawy i dymu, co się ku środkowi działo. Co się zaś działo na lewym naszej armii skrzydle, ani przybliżonego nie miałem wyobrażenia.

Pomijam, dla nieprzedłużania i tak już przewlekłej gawędy, początkowy przebieg i różne ustępy bitwy, ile że po upływie lat tylu, niewyraźnie i nieco chaotycznie już się mojej pamięci przedstawiają. Przechodzę raczej do tego, w czym około południa bezpośredni brałem udział i co z tego powodu w żywej mam pamięci. O tej porze front nasz, zasłaniany błotem i strumieniem, broniony był nadto przez dwa węgierskie działa najcięższego i wcale nie połowego bo dwudziestoczworofuntowego kalibru, które, widąc, z obłączniczego parku z pod Temeszwaru tu przywleczono i tak szczęśliwie ustawiono na skrajnym prawym skrzydle pozycji, iż ciężkimi swymi pociskami, wzdłuż niziny rozdzielającej wojska przeciwne, cały niemal front ostrzeliwały. Za rozwiniętym pułkowym szykiem naszej brygady postregłem stojącą o kilkaset kroków w tył głęboką kolumnę jazdy z dwudziestu przeszło szwadronów

huzarów. Aż się w oczach mieniło od tyłu różnobarwnych kurtek, dołmanów, kołpaków i kitek. Była to widocznie rezerwa, postawiona tu przez dowódców dla zabezpieczenia o nic nie opartego skrzydła, albo też dla doraźnego użycia w ciągu bitwy. Z tamtej strony nizin gromadziła się naprzeciw naszego skrzydła groźna dla niego masa kawalerii. Przez szkła wyraźnie rozpoznać było można w pierwszej linii brygadę austriackich kirysyerów w szwadronową uszykowanych kolumnę. Im dłużej na nią patrzałem, tem bardziej mnie ona korciła. To też rozejrzawszy się dobrze na wszystkie strony, ruszyłem z rozwiniętą półbaterią kłusem ku nizinie. Ułani patrzeli na nas jak w tuza, myśląc może, iż się znowu wysuwam gdzieś na złamanie karku. Ale ja niebawem zatrzymałem działo nad brzegiem wyżyny na której staliśmy, odprzodkowałem i oceniwszy rzutem oka odległość kolumny kirysyerów (a nie było wiele więcej nad dziewięćset kroków), zakomenderowałem, zwykłym moim obyczajem, głośno, przeciągle i powoli, jak na placu mustry, żeby gorącą i pospieszną komendą nie zwiększać u młodego żołnierza bicia serca, niestety nieukninionego tam, gdzie śmierć w powietrzu wieje, boć konie nawet ten powiew czują i skóra drży na nich, — zakomenderowałem tedy: „Na dwa palce elewacji! Kulami! Od prawego, po jednemu, ognia!”

Tu mały nawias jest niezbędny. W porządnym i zasobnym artylerji, działa mają wysuwalne mosiężne celowniki ze skalą, a gdzie ich nie masz, tam celujący artylerzysta posługuje się przenośnym celownikiem drewnianym. Otóż wysuwalnych celowników działa moje nie miały, a drewniane, nie wiem, czy w wyrwarze wojennym zaginęły za mego poprzednika, czy od początku wcale ich nie było, dość że podobnie świeciły nieobecnością. Ponieważ wśród ciągłych marszów, biwaków i bojów od bitwy pod Turo, żadna nie nadarzała się sposobność uzupełnienia tego niedostatku, radziłem więc sobie w ten sposób, że kazałem artylerjiście celującemu brać elewacją przez oparte na tyle armaty palce, ilość tych palcy czyli potrzebną elewacją wedle odległości miarkując.

W obecnym przypadku nie omyliłem się w ocenie odległości i we wskazaniu odpowiedniej elewacji: widocznie każda niemal kula w tak szeroki i głęboki cel trafiała. Po każdym strzale kręciło się i kipiało w kolumnie nieprzyjacielskiej, aż wreszcie po jakimś czasie, kiedy się nie pojawiała żadna bateria austriacka dla uciszenia lub odwrócenia mego ognia, mocno poturbowani kirysyerzy zrobili nagle lewo w tył i cała ich brygada znikła nam z widoku.

I ja też, dokonawszy swego, wróciłem na dawne stanowisko pomiędzy ułanów. Oba pułki stojąc sobie spokojnie w wyciągniętej linii, przypatrywały się i przysłuchiwały z największym zajęciem, a jak się potem przekonałem, z wielkim także zadowoleniem, urządzonemu przezemnie małemu intermezzo w przeciągłym i krwawym dzisiejszym dramacie, którego akty następne miały być mniej wesołe, a ostatni bardzo smutny. To też oficerowie i dowódcy witali mnie przyjacielskim uśmiechem. Czemu uśmiechem? Jakem się później przekonał, nietyle ich cieszyło spędzenie kirysyerów z pozycji, ile bawiła moja przeciągła, powolna komenda, a przedewszystkiem owo: „Na dwa palce elewacji!” tak donośnym wypowiedzianym głosem, że pomimo pewnego oddalenia, pomimo huków i wrzawy bitwy, aż do ułańskich doszło szeregow. Ze szczegółami artylerjijskiej służby i techniki mało albo wcale nieobeznani, upatrywali oni, zdaje się, w tej konieczności nakazanej

a bardzo poważnej komendzie, jakąś doraźną z mej strony humorystykę żołnierską, która ułańskim naturom bardzo w smak przypadała. Tak dalece to prawdą, że kiedy po upływie lat kilkunastu spotkałem się w roku 1863 w Krakowie z dzielnym i przeznacnym majorem Korzelińskim z 2-go pułku ułanów (w roku 1831 podobnie w ówczesnym 2-gim pułku ułanów odbywał on kampanią i wyniósł z niej złoty krzyż *virtuti militari*), któremu w ciągu tego czasu przyszło być żyć na wygnaniu w Azji, później w kopalniach Australii, siwiejący ten weteran, uśmiechając się przyjacielsko i dobrodusznie z pod sumiastych wąsów, powitał mnie słowami: „No cóż? no cóż Bentkosiu? Będzie znowu na dwa palce elewacyi?”

I tu więc był sukces doraźny, była i szczęśliwa pokaźność; ale, pytam znowu, gdzie tu jakaś szczególna zasługa?

Mógłbym, a może nawet powinienym na tem zamknąć, bo temat jaki obrałem, skończony. Ale żem się rozgadał i pozostaje kawałek białego papieru, opowiem jeszcze w krótkości dalszy przebieg dramatu z 9-go Sierpnia, zastrzegając najuroczyściej, że tem co mi o jenerale Dembińskim wspomnieć przyjdzie, nie myślę by najmniej uwłaczać pamięci bohaterskiego tego jenerała - szlachcica. Toć przecież wszyscy jenerałowie, porówno z artystami i ładnemi kobietami, mniej lub więcej zazdroszczą sobie powodzenia.

Po owój sukcesem uwieńczonj wycieczce na kirysyerów, stałem znowu czas pewien, nieczynny w pośród linii ułanów. Żeby sobie czas skrócić a może i lepiej się w położeniu rzeczy rozpatrzyć, opuściłem na chwilę moje działa i podjechałem na lekkie wzgórze, gdzie widniała grupa węgierskich oficerów. Zbliżywszy się poznałem, że to był jenerał Dembiński ze swym orszakiem. Oficerowie nasi powiadali z rana, że podobno Bem naczelną obejmując komendę, miał Dembińskiemu powierzyć dowództwo nad jakąś częścią bijącej się armii, co się przecież później o tyle nie sprawdziło, iż Dembiński nic od Bema przyjąć nie chciał. Znajdował się więc na polu bitwy po prostu jako ciekawy przebiegu rzeczy amator, czego ja naturalnie wtedy nie wiedziałem. Przejeżdżając mimo jeneralskiej grupy widzę, jak Dembiński pałającym z pod krzaczastych siwych brwi okiem wpatruje się w ostatnie linie austriackie, gdzie jakiś niezwykle ruch i kurzawa postrzegać się dawały i słyszę, jak naraz uderzając niecierpliwą pięścią w kulę od kulbaki, drżącym niemal z alteracyi głosem odzywa się na wpół do siebie na wpół do otoczenia: „I ten (predykat, jako zbyt żołnierski, opuszczam) Bem gotów bitwę wygrać!”

Jakoż w istocie krótko po południu zanosilo się na to. Ow ruch niezwykle, owa kurzawa na tyłach armii austriackiej, jak to gołem nawet okiem od biedy dopatrzyć było można, pochodziły od wozów amunicyjnych i taborowych, cofających się tłumnie po bitej drodze wskróś wsi Kisz-Beczkererek, wódz bowiem austriacki, uważając już bitwę na wpół za przegraną, przygotowywał sobie odwrót usuwaniem najbardziej hamujących wolne ruchy taborów. Niezadługo przecież położenie rzeczy z gruntu zmienić się miało. Co spowodowało tę zmianę w środku i na lewym skrzydle, powiedzieć nie umiem, bom wśród dymu i kurzawy zaledwie od czasu do czasu postrzegał w dali węgierskie bataliony, już to postępujące naprzód z rozwiniętą chorągwią, już to cofające się w nieładzie. Opowiem więc tylko, jak się rzeczy obróciły na naszym prawem skrzydle.

Dobrze po południu stała znów nasza brygada

mniej więcej na pierwotnem stanowisku a rezerwa huzarów po dawnemu o kilkaset kroków w tyle; tylko ostrzeliwujących front nasz ogniem flankowym ciężkich dział węgierskich już nie widziałem i nie słyszałem. Co się z niemi stało, niewiem. O kilkaset kroków przed naszą linią, trochę na prawo od jej kończyn, widać było niewyraźnie drewniany mostek nad owym błotnistym strumieniem. Falistość terenu zasłaniała go w części i co za nim było widzieć nie pozwalała. Naraz postrzegamy wychylające się z poza tej naturalnej zasłony grotty od lanc, po chwili proporce, a nimeśmy się wszyscy opamiętać zdołali, co to właściwie znaczy, drzewce i kaskiety ułańskie. Wątpliwość już była niepodobna. Węgierska kawalerya z samych tylko huzarów się składała a nasi ułani stali na linii bojowej w komplecie. Widocznie więc Austriacy naszą pozycyą oskrzydłali, swoich ułanów w pierwszej linii wysełając. Już było widać ich twarze, mundury, łby końskie. W polskiej brygadzie zrobił się ruch niezwykły. Zagrzały komendy w obu naszych pułkach, formujące je do ataku. Ja wysunąłem się nieco z działami w kierunku mostku, odprzodkowałem, a widząc austriacką jazdę dochodzącą już do mostku, zakomenderowałem: „Kartaczami! Bez elewacyi! Salwa całą bateryą! Ognia!” Czym pomimo niezwyklej bliskości zrobił nieprzyjacielowi wielką szkodę, nie wiem, a nawet wątpię, bo ta bliskość właśnie, a może i moja, wyjątkowo w tym razie, z naglącej konieczności szybka, nieco gorąca komenda, młodym kanonierom oczy zamąciła i zimną krew odjęła; to też po większej części dali ognia, nie celując wcale. A że na nierównym gruncie w pospiechu odprzodkując, kierunek luf armatnich wypada z razu bardzo rozmaicie, stało się więc, że armata na którą przypadkiem przy salwie pa-trzałem, w skutek gwałtownego rzutu lawety w górę przy odprzodkowywaniu skierowana a przez obsługę nie poprawiona, do nieba też swe kartacze wysłała. Zanim jeszcze dym po tej jedynj salwie z przed dział się rozwiął, zaprzodkowałem i co tchu w tył się usunąłem, robiąc miejsce szarżującym naszym ułanom.

Widzę ich jeszcze, tych dzielnych dowódców: Ponińskiego, Tchórnickiego, Korzelińskiego, Toczyńskiego, tych po większej części młodych, kwitnących, dorodnych a mężnych oficerów: Krobickiego, Horodyńskiego, Fredrę, Łusakowskiego, Dunajewskiego, Kozłowskiego, Bielińskiego, Lessena, Miączyńskiego, Bombaja i tylu innych, jak z podniesionym w górę pałaszem, tych wypróbowanych już w bitwach białych i czerwonych ułanów, jak ze spuszczoną do ataku lancą, wszyscy z fantazyą w postawie, z ogniem w oku, koło mnie pędzą. Słyszję jednego z najdorodniejszych i z najbitniejszych z tej dorodnej i bitnej młodzieży, nieodżałowanego rotmistrza Krobickiego, jak wywijając pałaszem przed swoim szwadronem, wyśpiewuje dzwicznym głosem ulubioną kaczucę:

„Ach ileż to wdzięku, ileż to uroku,
Z kastanietem w ręku i zapalem w oku,
Piękna Hiszpanka i t. d.“

Toć i waleczny Hempel rozbijając na czele szwadronu 1-go pułku ułanów w roku 1831 pod Wilnem dywizyony jazdy rosyjskiej, za całą zachęte dla swego starego żołnierza nucił bezprzestannie basem trywialną piosenkę żołnierską:

„Gdyby nie było panny Ludwiki,
Toby nie było pruskiej muzyki.
Panna Ludwika i t. d.“

Biedak Krobicki, przyspiewując sobie o pięknej Hiszpance nie myślał, że w kwadrans potem

będzie leżał rozciągnięty bez życia na pobojowisku, i że jakiś wytrawny oceniacz całego i mocnego obuwia na wojnie, będzie mu coprędzej buty ściągał zanim ciało całkiem skrzepnie, bo później, żeby je dostać, już chyba rozrzynać na trupie trzeba. I dzielny Horodyński nie wrócił żywy z tej szarzy. Cześć waszej pamięci, waleczni i niezapomniani towarzysze broni!

Ścierający się teraz ze sobą ułani, byli to, niestety, po obu stronach sami Polacy: tam Polacy w służbie austriackiej, tu Polacy w służbie węgierskiej. Widzę i jednych i drugich zwalnających biegu dla błota w którym grzęzły konie na nizinie, potem mięszających się w starciu; ale to wszystko już mi się jak we mgle przedstawia i już nie umiem sobie zdać sprawy, gdzie się podział i jaką w tym wszystkim rolę odgrywał ów drewniany mostek, do którego niedawno kartaczami strzelałem. Dostyc, że po niejakim czasie ułani austriacy tył podali, a nasi im na kark wsiedli i ku wyżynie przez nieprzyjaciela zajętej pędzili.

Kiedy tak patrzę, co się z nimi stanie, słyszę naraz za sobą ogromny tentent i parskanie koni, zmieszane z szalonym wrzaskiem ludzi. Załedwiem obrócić się zdążył, a już widzę przelatującą opodal jak uragan, w ślad naszych ułanów, całą ową kolumnę dwudziestu szwadronów huzarów. Wywijali wściekle w powietrzu pałaszami, napełniając powietrze okrzykami: „Eljen a haza! Eljen a sabaczak!“ (Niech żyje ojczyzna! niech żyje wolność)! Zastanowiło mnie to, bo nie rozumiałem, po co wyciągniętym galopem gonią za zwyciężkami ułanami, tem mniej zaś, jakim sposobem dowódcy tej odwodowej kawalerii mogli nakazać szarżę wszystkimi naraz siłami na niewiadomy jeszcze przedmiot i to w kolumnie na dwadzieścia szwadronów głębokiej. Przypuszczać muszę, że kiedy huzarzy zobaczyli naszych ułanów wywracających i ścigających jazdę nieprzyjacielską, gorąca węgierska krew przemogła i cała kolumna zerwała się naksztalt stada kuropatw, frunęła, bez żadnego rozkazu, w ślad za ułanami.

Niedługo jednak trwały te tryumfy. Nasi ułani rozbiwszy kilka szwadronów a może i pułków austriackiej jazdy, spotkali się ze świeżymi siłami nieprzyjacielskimi, które ich zrazu do wstrzymania dalszego pościgu, w końcu do odwrotu zmusiły. Ale ten odwrot zetknął się z wściekłą naprzód gonitwą, niewiedzieć po co i dokąd, całej owej masy kawalerii węgierskiej. Powstało zrazu zamieszanie, powiew ducha zmieniać się począł, a kiedy Austriacy rozwinięszy na tym punkcie artylerią, jeśli granatami wiercić w tej zbitiej kupie koni i ludzi, niedawno pościg zmieniał się w bezładny odwrot, wreszcie w zupełną rozsypkę. Zmuszona do spiesznego cofania się piechota nie pięknie się przedstawia; ale jazda w rozsypce, strasznie wygląda. Znów przelatowali koło mnie, co koń wyskoczy, tylko że w odwrotnym tym razem kierunku, naprzód huzarzy, w końcu i ułani. Ale jakże się wszystko w nich i dokoła nich zmieniło! Nie były to już oddziały jazdy, ale raczej tłumy jeźdźców. Nie słyszałeś już wesołych pieśni ani ogłuszających Eljenów, ale raczej straszne przekleństwa, przenikliwe jęki rannych, małoduszne wykrzyki najbardziej spłoszonych, pomieszane nawoływania dowódców, usiłujących wstrzymać tę rozsypkę i sformować na nowo szwadrony rozbite, wrzaskliwe głosy trąb, wytrębujących napróżno sygnały zbierania się, złowrózby wreszcie szum prujących powietrze a śmiercionośny huk pękających granatów. Nie postrzegałeś owych świeżych twarzy młodzieńczych, o pełnem życiu i wesela oku, owego wywijania szabłami, owych z fantazją na

bakier nadzianych kołpaków co przed chwilą, ale raczej podane ku przodowi kulbaki postaci, o błędnem spojrzeniu, okryte potem, dymem, krwią i kurzawą, tego bez kołpaka, z rozciętą głową i krwią obficie broczącego, tamtego bez pałasza ze strzaskaną ręką; zdawało się nawet, jakoby mundury niedawną swą jaskrawą straciły barwę. Nie zostawało mi nic innego, jeśli działa od zabrania chciał uratować, jak przyłączyć się do tej ogólnej już teraz rejterady. Kilka razy udało się dowódczom wstrzymać bezładny odwrot i sformować znowu jako tako szyk bojowy. Były nawet chwile takiego uspokojenia, żeśmy wszyscy, porówno z Dembińskim i innymi generałami, stojąc w szyku bojowym, mogli z koni posiadać, żeby sobie i koniom dać cośkolwiek wytchnienia. Ale chwile te nie trwały długo. Wojsko węgierskie tyle dziś od granatów wycierpiało, że ilekroć Austriacy, postępujący ciągle lubo nader ogłędnie za nami, zaczynali na nowo granatami nas ostrzeliwać, popłoch na nowo się też wśród zdemoralizowanych szeregów szerzył. Ten upadek ducha, którybym po prostu zdenerwowaniem nazwał, dochodził tak daleko, iż żołnierz nietylko już pęknięcia granatów wśród swoich szeregów, ale nawet szumu granatu nad głową spokojnie znieść nie mógł: najbardziej zdenerwowany robił lewo w tył, inni go naśladowali i w mgnieniu oka nerwowa ta zaraza całej linii się udzielała. Tymczasem zmierzch już zapadł. Rozprężenie i rozsypka do najwyższego dochodziły stopnia. Bataliony, szwadrony, baterye, już nie istniały; były tylko kupy i kupki rozmaitego żołnierza, dowolnie się tworzące i dowolnie szukające drogi wyjścia z tego piekła. Komendy nie było w końcu zgoła żadnej.

Wśród takiejto atmosfery i pod takimi konstelacyami przedzierałem się z moją półbaterią, którą w kupie utrzymać mi się powiodło, przez jakiś las czy też gęste zagajenie, czego nawet powiedzieć nie umiem, bo już ciemna noc zapadła, głównie więc po trzasku gałęzi i krzaków łamiących się pod kołami armat i wozów, miarkowałem, że się w jakiejś gęstwinie znajdujemy. Około moich dział zgrupowało się i ze mną w tym gąszczu drogi jakieś szukało kilkunastu rozbitków, białych i czerwonych ułanów, huzarów rozmaitego koloru, oficerów różnej broni i różnego stopnia, a między innymi pułkownik Władysław Zamoyski (późniejszy generał). Zamoyski, który w ogniu prawdziwie angielską odznaczał się flegmą, drżał teraz od zimna, bo ile dzień był gorący, tyle noc przejmująco chłodna, a on za całe odzienie cywilny miał tylko letni żakiet na sobie, jako doraźny bowiem ochotnik, munduru żadnego nie nosił. Szczęściem znajdowało się na przodkach kilka zapaśnych płaszczów żołnierskich. Ofiarowałem mu jeden z nich. Za drobną tę przysługę nietylko na mnie, ale na całą moją półbaterią był długo potem, nawet w Turcyi jeszcze, bardzo łaskaw.

Udało nam się wreszcie wpaść na rodzaj jakiejś drogi, którą postępując, na otwarte zaczęliśmy wychodzić pole. Przed nami rysowały się niewyraźnie w nocnym mroku jakieś regularne wyniosłości a nad niemi tu i owdzie migotały światełka. Kazałem się zatrzymać całej mej kolumnie, a sam wyjechałem nieco naprzód dla rozpoznania, o ile po ciemku rozpoznać się dawało, dokąd droga prowadzi i co to za wyniosłości majaceją przed nami. Naraz słyszę z tych wyniosłości odległe wprawdzie, ale donośne i przeciągłe: „Wer da?“, powtarzane jakby echem przez dalsze posterunki. Pokazało się, że błądząc parę godzin po ciemku, zaszliśmy w końcu pod same niemal wały przez Austryaków zajmowa-

nęj twierdzy Temeszwarskiej. Wróciłem naturalnie co prędzej i jak mogłem najciszej do mojej baterii i z wielką biedą ponawracawszy działa i wozy na miejscu, puściłem się napowrót w las, raz znalezionej trzymając się drogi. Narozbijawszy się w ciemności po krzakach, gałęziach i korzeniach czas niemały, postrzegamy wreszcie jakieś światelka, jakieś zarysy domostwa, i słyszymy gwar ludzi. Była to inna grupa węgierskich rozbitków. Objasnili mnie oni, że mam przed sobą dom nadleśniczego i że generał Dembiński w tym domu się znajduje. Ucieszyła mnie bardzo ta wiadomość, bom był przekonany, że Dembiński, zdawszy na Bema naczelne dowództwo, jakąś komendę teraz pod nim sprawuje, że więc mnie z tej matni wyprowadzi. Zaczem marsz mojej kolumny wstrzymałem i zsiadłszy z konia podążyłem do świecącego jasnemi oknami leśnictwa. Wskazano mi izbę, gdzie generał używa wczasu; jakoż wszedłszy do niej zastałem go roztaśowanego z adjutantami przy herbacie i opatrującego ranę świeżo otrzymaną pod Szegiedynem. Podstąpiwszy tuż przed niego, zameldowałem w służbowy sposób, że się tu znajduję z moją półbaterią, ale nie wiem gdzie właściwie jestem i co mam robić, że więc od niego rozkazów oczekuję. Dembiński odparł opryskliwym, jak onego czasu Tchórnicki, głosem: „Mój kochany, daj mi święty pokój, ja tu mniej od ciebie znaczę. Niech ci dają rozkazy ci co to głupstwo zrobili.“ Widząc, że z czołem zmarszczonem i nosem na kwintę spuszczonej zwracam się, by izbę w milczeniu opuścić, wstrzymał mnie generał, udobruchany już odzywając się głosem: „No! nie chcesz wypić szklanki herbaty?“ Na te słowa i mnie się twarz wypogodziła. Z głębi serca a raczej z głębi najzupełniej czczego żołądka płynąca, wyrwała mi się szybka odpowiedź: „I owszem generale!“

Otarłszy usta po tym pokrzepiającym nektarze, wróciłem do mojej kolumny, by dalsze z nią po nocy odbywać odyseję, które dopiero w Lugoszu skończyć się miały.

Władysław Bentkowski.

Gospodarstwa uczyć się trzeba!

Postęp i rozwój gospodarstwa dziś tak szybkim idą krokiem, że rutyniści i empiryści nie mający dostatecznego naukowego wykształcenia gospodarczego, za ogólnym postępem zdążyć nie mogą i pozostają w tyle a szybki pochód szeregów idących naprzód z postępem i rozwojem naukowym, druzgoce ich i miazdzy. Ztąd u nas tyle bankructw i upadków majątkowych, że większa część naszych gospodarzy, nawet dotąd nie uczy się dostatecznie gospodarstwa.

Gospodarstwo jest dzisiaj jednym z najtrudniejszych zawodów i wymaga długiej a mozolnej nauki, gdyż obejmuje najrozmaitsze gałęzie wiedzy ludzkiej, których inne zawody znać nie potrzebują.

Postępowy gospodarz znać powinien oprócz nauk fachowo rolniczych, dobrze nauki przyrodnicze, jak chemią, fizykę, historią naturalną; dalej technologią, weterynaryą, leśnictwo, ogrodnictwo, budownictwo, ekonomią polityczną, prawo, administracją; powinien być w pewnej mierze kupcem, a zatem znać się na handlu, wekslach, znać powinien rachunkowość i prowadzenie ksiąg gospodarczych.

Widzimy z tego, jaki ogrom wiedzy przyswoić sobie musi gospodarz, jeżeli ma całkowicie odpowiadać wymaganiom postępowego i naukowo wykształconego gospodarza. A nadto powinien być gospodarz z natury bystry, sprytny i opatrzony zmysłem praktycznym.

Kto dziś chce być gospodarzem powinien:

1. Skończyć szkoły, tj. szkołę realną lub techniczną. Mniej potrzebną jest przyszłemu gospodarzowi nauka w gimnazyum. Ponieważ u nas jednak większa część młodzieży uczęszcza do gimnazyum, dla tego młodzieniec, przysły właściciel lub wyższy administrator majątku, powinien przedewszystkiem skończyć szkoły, lub przynajmniej osiągnąć świadectwo jednorocznej służby.

Praktyczne są bardzo szkoły rolnicze, w najnowszych czasach utworzone, jaka istnieje w Szamotułach, które przysposabiają do jednorocznej służby wojskowej, dają przyszłemu gospodarzowi pewien zaokrąglony zasób ogólnych wiadomości naukowych a zarazem uczą go w trzech wyższych klasach wiadomości fachowych gospodarczych. Ze szkół tych prędzej się dochodzi do zamierzonego celu, jak z gimnazyum lub szkoły realnej.

2. Po skończeniu szkół, trzeba iść na rok lub półtora roku do dobrego, praktycznego gospodarstwa, aby się powierzchownie zapoznać z praktyką gospodarczą.

3. Następnie należy iść na rok lub dwa lata na akademią rolniczą do Berlina, Wrocławia, Halli lub Lipska do tak zwanych wydziałów rolniczych i tam wysłuchać teoretycznie wszystkich nauk gospodarczych. W tym czasie można w tych miastach odsłużyć swój rok wojskowy.

Kto chce nauk gospodarczych wysłuchać w języku polskim, ten niech idzie do wyższej szkoły rolniczej w Dublanach pod Lwowem.

Po odbyciu kursów akademickich, należy zwiedzić rozmaite wzorowe gospodarstwa i następnie iść jeszcze na rok w praktykę gospodarczą, albo też, co lepiej, przyjąć miejsce płatnego urzędnika gospodarczego, tak zwanego u nas rządcy, u Niemców inspektora, gdyż najlepiej nauczyć się można praktycznie gospodarstwa, gospodarując samodzielnie, ale nie na swoim, tylko pod okiem dzielnego i praktycznego pryncypała, który wszelkie próby i młodzieńcze wybryki gospodarcze w samą porę modyfikować będzie.

Po takim przysposobieniu, niech młodzieniec obejmie majątek własny lub też przyjmie dobrze płatne miejsce wyższego urzędnika administracyjnego, a ręczymy, że pierwszy majątku nie straci, a drugi gospodarować będzie ku zadowoleniu swych pracodawców.

W ten sposób powinni się młodzieńcy przysposabiać na gospodarzy, a wtedy, jeżeli nadto posiadają kardynalne warunki, jakie każdy gospodarz mieć powinien, tj.: oszczędność, pilność, spryt gospodarczy i zdrowie, to niezawodnie nie tylko majątku na gospodarstwie nie stracą, ale przeciwnie fortunę zrobią — a ziemia z pod nóg naszych usuwać się nam nie będzie!

K. Koszutski.

Żyjąc przez ludzi — żyć trzeba dla ludzi.

Stanisław Bronikowski.

Tyle Ojczyzny, — ile ziemi!

E. Callier.

U Czechów i u nas.

Było to w sierpniu 1843 roku, jakem pierwszy raz zwiedzał kraje czeskie, by się rozpatrzeć w zwyczajach i obyczajach pobratymczego narodu. Z tego powodu odbywałem wycieczkę po większej części pieszo. Miłe robiły na mnie wrażenie kapliczki przy drogach publicznych i pobożność przechodniów, z jaką choć kilka minut w nich się pomodlili. Ile razy z wieży kościelnej dał się słyszeć dzwon na Anioł Pański, czy to w mieście, czy na wsi, składali rzemieślnicy narzędzia na bok, zdejmowali nakrycie z głowy i kłękali na rusztowaniu do wspólnej modlitwy. Toż samo czynili właściciele czy to na polu, czy w zabudowaniach gospodarczych.

Rozpocząłem badania moje od ludu wiejskiego. Na cokolwiek bowiem spoglądałem po rozległych i zamożnych włościach czeskich: wszystko chwyciło mnie za serce. Domy mieszkalne i budynki gospodarskie dostateczne, a po większej części znamionujące zamożność właściciela. Sady owocowe i ogrody warzywne w najpiękniejszym utrzymaniu porządku, a świadczące o znajomości i staranności gospodarza. Czy to w niedziele i święta, czy też w dni powszednie, widziałem u wszystkich twarze wypogodzone i swobodne, przydanie zawsze chędogie i przyzwoite nawet u najdrobniejszych dzieci. Nie zauważyłem nigdzie przekleństw, wyzwisk, chłapów ni też mów rozpustnych, a podobnie zabawa dzieci odznaczała się ujmującą skromnością i przyzwoitością.

Ucieszyłem się w duchu z takiej pobożności, swobody, zamożności i pięknych obyczajów pobratymczego szczepu słowiańskiego, począłem się zastanawiać nad tem, co by też mogło być powodem tego tak pomyślnego stanu ludu czeskiego. Wśród takich rozmyślań zaproszony zostałem do pomieszkania jednego z włości czeskich. Na samym wstępie do izby gościnnej uderzył mnie na miejscu naczelnym skromny ale gustowny ołtarzyk domowy z wiszącą przed nim lampą gorejącą. Zapytany gospodarz o cel i znaczenie tego ołtarzyka, odpowiedział mi z całą prostotą i serdecznością temu ludowi właściwą: — Tu odprawiamy każdego dnia wspólnie pacierze ranne i wieczorne z żoną, dziećmi i czeladką, a w południe „Anioł Pański.“ W niedzielę i święta czytamy po niesporach rodzinie i domownikom moim przypadający na ten dzień żywot Świętego, a po skończonym czytaniu odmawiamy na kolanach Litanię do Wszystkich Świętych. Gdy długie nastają wieczory, rozpoczynam wieczorne nabożeństwo domowe godzinę rychlej, gdzie także czytamy ustęp z żywotów Świętych.

Teraz dopiero otworzyły mi się oczy i poznałem źródło, z którego naród czeski czerpał tak serdeczną pobożność, i z którego znowu tryskały tak obfite strumienie rozlicznych cnót chrześcijańskich i błogosławieństwa Bożego. Stały mi na myśli słowa św. Pawła Apostoła: „Pobożność do wszystkiego jest pożyteczna: mająca obietnicę żywota który teraz jest i przyszłego.“ (List I do Tymoteusza IV. 8.)

Za zbliżaniem się do Pragi rosła we mnie ciekawość, czy też w stolicy czeskiej znajdę podobną pobożność, jaka mię na prowincyi zachwycała. Pierwszego zaraz dnia pobytu mego w Pradze byłem świadkiem, jak mularze na wysokiem rusztowaniu za odgłosem dzwonów rzucają młoty i kielnie, kłękają na deskach i z odkrytą głową odmawiają „Anioł Pański.“ Zapoznawszy się w bibliotece uniwersyteckiej w Wiedniu z akademikiem Czechem z Pragi rodem, wprowadzony zostałem przez tegoż w dom jego rodziców w Pradze mieszkających. Ojciec akademika był stolarzem i właścicielem rozległej kamienicy, której pierwsze piętro z liczną rodziną swoją zajmował. Jakaż radość ogarnęła serce moje, gdy mnie wprowadzono do przepysznego umebłowanej sali obszerniej, gdzie naprzeciwko głównych podwoi wchodowych wznosił się przy ścianie bogato przybrany ołtarz z przeslicznym obrazem Matki Bożej w grubo złoczonych ramach. Pod tym obrazem stał krzyż metalowy również grubo złocony, a wisząca przed ołtarzem lampka gorzała wiecznym światłem. Zamożny obywatel pragski przewodniczył tym samym porządkiem co włości czeski każdego dnia nabożeństwu domowemu, na które zbierał około siebie całą rodzinę, czeladź i uczniów stolarskich jako też liczną służbę domową. Obok żywotów Świętych odbywały się także czytania z innych ksiąg budujących.

Wróciwszy do kraju z tak głębokimi wrażeniami, zacząłem odtąd przy podanej sposobności z większą uwagą przyglądać się domowym stosunkom naszego ludu wielkopolskiego. Pragnąłem bowiem także z méj strony dorzucić choć jedną cegiełkę do budowy naszego społeczeństwa, do jego podniesienia moralnego i materialnego. Ku niemałej pociesze mojej znalazłem wprawdzie tu i owdzie u gospodarza lub komornika ubożuchny ołtarzyk skromnie do ściany przyczepiony, a przed nim lampkę lojem lub masłem napełnioną, albo też parę świeczek lojowych; lecz były to nader rzadkie wypadki. O wspólnem a regularnem nabożeństwie domowem nie miano jeszcze dokładnego pojęcia. Rzadziej zdarzyło mi się wywiedzieć, iżby jakie czytania duchowne przynajmniej w niedziele i święta się odbywały.

Wrzescie po dziesięcioletnim badaniu ludu naszego zrobiłem to spostrzeżenie, iż u zamożniejszych gospodarzy znajduje się jakaś księga poważna i bardzo stara, którą atoli w najściślejszej zachowują tajemnicy przed obcymi, i którejby za nic w świecie się nie pozbyli.

I tak w różnych stronach naszego Księstwa odkryłem u jednego gospodarza Skargi Żywoty Świętych drukiem gotyckim, u innego Matkę Świętą Polską Jaroszewicza; u gospodarza w Zieleńcu pod Wrześnią — w Pruszczu Fortecę duchowną królestwa polskiego. Księgi te przechodziły w spuściźnie z pokolenia na pokolenie, i uważane były za najdroższy skarb familijny, którego pod zagrożeniem niebłogosławieństwa nie wolno było postradać z gniazda rodzinnego.

Od czasu zawiązania się Wydawnictwa księdza Bażyńskiego w Poznaniu znaczny okazał się postęp w tym kierunku. Już nie tylko w domach zamożniejszych gospodarzy, ale także u komorników i wyrobników można było tu i owdzie napotkać skromny zbiorek Żywotów Świętych. Największe może zasługi pod tym względem należą się krakowskiemu Wydawnictwu Apostolstwa Serca Jezusowego, gnieźnieńskiej Straży św. Wojciecha i poznańskiemu Towarzystwu Czytelników Ludowych, które i najuboższym rodzinom naszych włości i mieszczan podają sposobność zakładania sobie biblioteczeki

domowej, składającej się z Żywotów Świętych i książeczek budujących, lub pożyczania takowych.

Co podziwiałem na ziemi czeskiej w wielkich rozmiarach, na to pozwala mi Opatrzność Boska patrzeć w moich parafiach w bardzo skromnem wprawdzie kółku. Nie godzi mi się wymieniać tu miejscowości ani rodzin, ponieważ takowe jeszcze żyją; jednakże dla zachęcenia innych do wstępowania w ich ślady, przytaczam jeden tylko przykład.

Objawszy w końcu roku 1849 zarząd dwóch parafii: (Mielżyńskiej i Odrowążskiej) zastałem tam ubożego i słabowitego wyrobnika, który z powodu wątłych sił i niestalego zdrowia zniewolony był porzucić służbę dworską i osieść na izdebce. Za żonę pojął zupełnie ubogą, słabowitą dziewczynę wiejską, ale również jak on bogobojną. Z mrówczą pilnością zajmował się kopaniem rowów na akord; a gdy poznano jego trzeźwość, rzetelność, biegłość i umiejętność w tej pracy, powierzały mu wszystkie sąsiednie dwory kopanie rowów na swoich obszarach. Z każdym też rokiem wzrastała liczba jego pomocników, którzy z odleglejszych nawet stron cisnęli się do niego, dowiedziawszy się o rzadkiej sumienności tego przedsiębiorcy. Rzetelnie zarobione pieniądze składał aż do znaczniejszej sumy, które potem na pewną hypotekę wypożyczał gospodarzom. W roku 1856 kupił pierwsze gospodarstwo w moich parafiach. Jednego syna oddał do szkół wyższych, który doszedł do prymy, umarł na tyfus. Następnie kupił dwa inne gospodarstwa, które oddał dwóm córkom swoim, gdy wyszły na żąż. Największe z tych trzech gospodarstw ma najstarszy syn jego, przy którym z najmłodszymi dwiema córkami swemi połowę schludnego i wygodnego domu zajmują.

Zapyta się może ciekawy czytelnik, jakim sposobem doszedł ten ubogi i chorowity wyrobnik do takiej zamożności? Na to mogę stanowczą dać odpowiedź z 35 letniego doświadczenia jako naoczny świadek. Po całodziennym pracy sumienniej nie szukał odpoczynku i pokrzepienia po gościńcach i szynkowniach, lecz w gronie swej rodziny, przy ołtarzyku domowym i w czytaniu Żywotów Świętych. W niedziele i święta brał żywy a regularny udział w nabożeństwie parafialnem, a po sumie i niesporach spieszył wprost do domu, by uraczyć siebie i rodzinę swoją pobożnem czytaniem. Cała rodzina należy do Bractwa Wstrzemięźliwości, a dzieci i wnuki jego nie używają dotąd żadnych zgola napojów palonych upajających, nie uczęszczają na żadne tańce lub inne chałaśliwe zabawy; bo wystarcza im zupełnie kółko rodzinne i ołtarzyk domowy, który latem zawsze jest przyozdobiony przeslicznymi kwiatami świeżemi z własnego ogródka. Podobnie sadek miłe robi wrażenie, a gospodarstwo rolne najstarszego syna jest postępowe i pod każdym względem wzorowe.

Dziś w grobie już spoczywająca żona tego bogobojnego parafianina mego wspierała dzielnie męża swego pracą domową, oszczędnością i pobożnem wychowaniem licznych dzieci swoich. Zanim oczy na wieki zamknęła, napatrzyła się do sytości na obfity plon pocziwych usiłowań swoich. Wszystkie bowiem dzieci i wnuki odznaczają się pomiędzy rówieśnikami swymi niczem nieskalanym żywotem prawdziwie chrześcijańskim i rzeczywiście przykładnym.

Gdzie mąż i żona gorliwie sprawują „Królewskie kapłaństwo“, (I List św. Piotra II 9) gdzie chrześcijański Znicz domowego nabożeństwa nigdy nie zagaśnie, gdzie czytanie Żywotów Świętych i ksiąg budujących stanowi najulubieńsze spoczywanie w Panu i najrozkoszniejszą zabawę święteczną: tam już tu na ziemi zażywają domownicy rajskiej szczęśliwości, o ile na tym padole płaczu po upadku pierwszych ludzi, o raju mowa być może.

Mielżyn dnia 8 sierpnia 1885.

Ks. Hilary Koszutski.

Światła i ciepła ludzkości potrzeba,
Światło i ciepło spływa na nas z Nieba,
A tylko jakaś piekielna robota
Gdzieś wydobywa zgnięte miazmy z błota
I błękit cały pokrywa chmurami
I rozpościera ciemności nad nami.
Trzeba z serc naszych wzięc ognia rozniecić,
Trzeba z dusz naszych rozwinąć promienie,
Rozdmuchać musim z ducha ciepłe tchnienie
I światłem Bożem w tych ciemnościach świecić;
A takie ciepło w koło się rozwinie,
Tak się ogrzeje w całej tej krainie,
Wrogie te chmury opadną na błota!
I tak się skończy, szatańska robota.

Marja Kwilecka.

Plon, plon niesiemy, żniwa przodownicy!
Ale wyrasta na ojczystem polu,
Wśród złotych kłosów szumiącej pszenicy,
Oset i ziarno trujące kąkol!
By czysty posiew wydała ta gleba,
Trzeba uprawy, z chwastów opleć trzeba.

Plonu wołacie, przewodnicy ducha,
Nauki, pracy, bytu i znaczenia;
Lecz gdzie niewiary zalega posucha,
Gałąź oliwna się nie zazielenia.
Tam niknie miłość, tam niema ofiary,
I wśród walk — siły, która płynie z wiary.

Plonu! o niedość, podać ustom chleba,
Zrzucić łachmany, a przywdziać szkarłaty —
Bo duchom skrzydeł ku niebu potrzeba,
By się wznieść mogły w wyższych natchnień świąty,
By nie zapadły na błędne bezdroże;
I by ich wiodło tylko światło Boże.

Agnieszka z Lipskich Baranowska.

Opowiadanie pocztarka.

— Walenty! za pół godziny extra, wóz odkryty lekki — zakrzyknął na mnie pan pocztmistrz.

Dobrze! w to mi graj, pomyślałem sobie. Za kwadrans już zajechałem ostro, aż siwki parskały.

Wyszyły z pasażerów trzy zakonnice i ksiądz jakiś, mnogo pań i panienek, które serdecznie i boleśnie się żegnały. Aż w tem pędzi zadyszana hrabina z Wólki, Niemka, i obcesem wpadając na pocztmistrza, żąda extrapoczty do Wólki.

— Konie są, lecz pocztarek zachorował, chyba że się Jaśnie Pani zabierze z tem państwem, bo jadą przez Wólkę.

Ksiądz zapraszał także, dowodząc, że jest miejsce, gdyż sam lubi na koźle siedzieć i patrzeć na konie. Wnet usiadł przy mnie, a hrabina w podrygach, przeproszeniach usiadła w powozie.

Ruszyłem z kopyta. Zakonnice się jeszcze wychylały do pozostałych, dzieci wyciągały ręce, wiewały chustkami, aż wreszcie na skrajce zniknęły z oczu. Za miastem zagrałem na trąbce: Gdy w czystem polu słoneczko świeci, biegną do szkoły wesole dzieci, a musiało wypaść dobrze, bo ksiądz poklepał mnie po ramieniu, a hrabina się dopytywała, coby to za piosnka była i dokąd jada.

— Opuściliśmy nasz miły klasztor — rzekły — i jedziemy do Anglii. Po drodze wstępujemy na parę dni do jednej z przyjaciółek naszych szkolnych we wsi X. Piosnka opiewa, jak dzieci wesole idą do szkoły i jak błogo chwile płyną godzina za godziną. Nam też błogo było Boga chwalić i dzieci w naukach ćwiczyć, — jednak nam tego pozazdrośczone i oto jedziemy w świat daleki.

— Jak mnie was żal — rzekła hrabina — ja tego nie pojmuję, czemu tak pożyteczne pracowniczkę się wydalają. Myślę, że wnet wrócicie, ten system długo trwać nie może... Szkoła waszej młodości i wykształcenia, zakopanego w murach klasztorów, gdzieś za granicą jeszcze. Powinnyście teraz wystąpić. W świecie mogłybyście nie jednego uszczęśliwić wstępując w małżeństwo. Nie potrzebowałybyście opuszczać kraju, rodziny, nie miałybyście potrzeby jechać między ten kupiecki naród angielski, do obcych językiem, obyczajem, — to przecie okropność.

— Nie taka to okropność — odezwał się ksiądz — spojrzysz pani hrabina na twarze wesole zakonnice, a przekonasz się, że są na wszystko przygotowane.

Nie uspokoiła się jednak hrabina i rozczulała się nad dolą biedaczek i wciąż im małżeństwo raila.

— Rozważ pani hrabina — rzecze znów ksiądz — że ta rada spóźniona. Te panie przez dwa lata się badały, przeszły ciężki nowicyat, nim obrały stan zakonny. Po tych dwóch latach próby jeszcze im było wolno szukać szczęścia w świecie, albo w zakonie. One obrały zakon. Powiedz pani hrabina, ileby małżeństw się utrzymało, gdyby było wolno po dwóch latach próby małżeńskiej się rozejść? Zapewne bardzo mało. A czemu? bo są nieszczęśliwie z tego powodu, że się zawierają lekkomyślnie, bez przygotowania i namysłu.

Zamilkła nagle pani hrabina i sępniała, a zakonnice serdecznie się śmiały. We Wólce wysiadła i nawet zapomniła dać mi na piwo.

— Nalał jęj też Jegomość sadła za kark — przemówiłem. — Żyjąc ze swoim jak pies z kotem, jeździ extra, bo jęj koni dać nie chce na liczne wycieczki. Święta prawda, co Jegomość mówi o tym braku przygotowania. Kto tam myśli o tem. Wiem to po sobie, jak się ożeniłem i jak było źle, a że teraz lepiej, to chyba cud Boski.

— A cóż to za cud? — zapytał dobrotliwy księżyk.

— Moją żonę poznałem w karczmie przy muzyce, na oględziny poszedłem z kwartą, na znowiny z dwiema, przed wesełem był mój największy starunek o sądek gorzalki, by weselnicy sobie gardło zalali. Ona myślała, że po ślubie jeno ze mną będzie tańcować, robić nie chciała, chleba piec nie umiała, ani wyprać, ani uszyć, a gdy m napędzał moją Marynkę, to mi w złości powiedziała: Na tom chłopca wzięła, żeby na mnie robił. Ani czełek w domu nie zjadł uczciwie, gryzł się, a najbardziej wedle karczmy. Tam była na każdej muzyce, choć jęj jako małżonce wcale nie było szko-

wnie tam chodzić. Ale z kobietą to jak z kozłem, nie przepiesz jęj, nie.

Więc trafiło mi się w mieście miejsce za pocztarka, bom w konie dobrze jeździł. Zgodziłem się i mówiłem sobie: Walku, pocztarkiem będziesz z nią albo bez nięj. Już w mundurze poszedłem pogadać z Marynką. Jak skoro mnie ujrziała, jęła się żegnać z podziwu, a ja do nięj tak:

Kochana Marynko! żegnam cię na zawsze. Masz mnie za nic, głupstwa ci w głowie, do roboty ani cię użgać, więc przystałem na pocztarka i muszę radzić sam o sobie, a ty o sobie. Kochasz karczme, to cię przy nięj zostawię.

Walku! co ty gadasz, zawołała zaperzona, czym nie twoja ślubna żona, toć widzę, żeś urzędnik, ja idę z tobą, a wedle tój karczmy, przecieć może być lepiej. Koniec końców przyrzekła poprawę; najależ izbucnę porządna za 24 talary w mieście i byliśmy znowu w kupie. Było dobrze miesiąc; potem znów śniadania ani obiadu na czas nie przyszykowała, koszuli na czas nie wyprała, na muzykę w mieście chodziła i było bardzo źle, że się aż serce krajało.

Kiedy Prusacy pociągłi pod Paryż, orędownał ten Stefan z Berlina, co to ma wszystkie poczty pod sobą, jako potrzeba dobrych pocztarków do służby polowej. I wyznaczyli mnie między innymi.

„Żebyś od kul francuzkich zginął,” takie było ostatnie słowo mojęj kochanęj Marynki przy pożegnaniu.

Pojechałem z ciężkiem sercem. Byłem pod Metzem, Strasburgiem, Wersalem, wozilem następcę tronu, samego Stefana, jenerałów. Uskładałem sobie z piwnego 30 talarów. Raz dali mi kwarterę w hrabiowskim domu, w takiej sali, żem się bał, żebym się nie poślizgnął, a posłanie było pańskie. Zmówiłem pacierz, jak Bóg przykazał i już miałem się kłaść, aż mi coś szepce: Ty grzeszniku, tybys miał sumienie w tych obcych puchach spać, a ci niebożęta właściele może dachu nad głową nie mają! Więc nie położyłem się w łóżko, jeno na golęj ziemi i spałem pięknie, aż słońce kawał na niebie już było i obudził mnie głos jakoby Marynki: „Żebyś od kul francuzkich zginął.”

Skoczyłem na równe nogi i zasypawszy koniom, szedłem do pobliskiego kościola. Plakałem jak małe dziecko przed Panem Jezusem, który wiedział jaki ja nieszczęśliwy. Przy wyjściu zabiegł mi drogę sierżant, Polak, dobry i przykądny katolik. Spozstrzegł, żem smutny, od słowa do słowa wyspowiadałem się mu szczerze — mego kłopotu. A on na to: Umie twoja żona czytać? Umie. Pisałeś do nięj? A nie, bo nie umiem. Poślesz jęj parę talarów, list i tę oto książkę: Wykład ofiary Mszy św. Marcina z Kochem Kapucyna, którą ci odstąpię. List zaś będzie taki, który ja napiszę:

„Kochana Marynko, najdroższa żono moja!

Jestem pod samym Paryżem. Nie wiem, czy się zobaczymy. Może mnie kule zabiją; jednak przed śmiercią pamiętam o tobie i posyłam 10 talarów i tę książkę, którą koniecznie przeczytaj. Gdy będę w grobie, wspomnij na duszę tego, który Ci zawsze był wierny. Proszę Cię na rany Jezusa, idź na Mszę św., do spowiedzi. Pozdrwiam Ciebie i dziatki na tysiąc razy. Twój Cię kochający mąż jeszcze żywy

Walenty.”

Postałem wszystko, alem nie dowierzał, coby dobrego zrobić mogła martwa książka, kiedy ani prośby, ani kije moje nic nie pomogły. Jaki to czełek ciemny był, pokazało się potem.

Nagle jak Francuzi te miliardy dali, kazano nam wracać. Wchodzę do chaty, a Marynka, jak mnie zobaczy, jak weźnie witać serdecznie, jakby z drugiego świata. W izbie było porządnie, a ta książka na stole. Jużem inna, wołała, ta książka mi oczy otworzyła i zbrzydly mi wszystkie głupstwa. Sąsiedzi mi potwierdzili, że moja Marynka prawdę mówiła.

Odtąd żyjemy w pięknej zgodzie, marnego słowa sobie nie mówimy. Kościół, robota i w niedzielę książka to jęj najmlsze. Ona czyta a ja i dzieci sluchamy. Nieraz się popłaczemy nad pięknymi przykądami. Na książki nie żaluje, daje grosz ostatni, bom się przekonał dokumentnie, ile dobrego zasieje jedna książka. A temu sierżantowi niech Bóg da niebo, że mi tak szczęśliwie poradził.

Dojechaliśmy do wsi X. Czcigodny kapłan wysiadłszy rzekł: Ani nie wiesz, szwagrze, jak poucządzająca jest historia twojego życia małżeńskiego. Byliście nieszczęśliwi, boście się do tego stanu nie po Bożemu zabrali. Ręka wywichnięta boli tak długo, aż jęj kto w stawy nie wsadzi, zyskaliście znów szczęście, gdyście się do Boga udali. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

X. Lukowski.

CZEMU?

Jakoś około roku 1845 wyszła w Poznaniu książeczka pod tytułem: „500 razy czemu?”

Zawierała po prostu 500 pytań, bez odpowiedzi, jak na przykład: Czemu ziemia okrągła? Czemu trawa zielona? Czemu ogień grzeje? i t. d. Na pięćsetnym zapytaniu był koniec dzieła.

Dziwny ten pomysł autorski przypomina mi się teraz często, gdy, oddalony od swoich, stawiam sobie nieraz pytania, na które sobie odpowiedzi sam dać nie umiem.

Otóż na dzisiaj jedno z mych pytań! Czemu gazety wychodzą in folio i to często w olbrzymim folio? Czemu się raczej nie drukują w ósemce, albo dwunastce? tak, iżby abonenci codziennie odbierali małą broszurkę.

Dla nie wielu artykułów przechowania godnych, nie podobna chować i oprawiać całych foliantów, bo i oprawa introligatorzka większego wymaga kosztu, i księgi byłyby ciężkie, tak, że trudno je przy czytaniu w ręku utrzymać, i miejsce w domu zabierają, podczas że ledwie dziesiąta część treści ma później dla szerszej publiczności interes.

Gdyby pismo wychodziło w dwunastce, możnaby snadnie odrzucić kilka lub kilkanaście kartek — czasami całą broszurę — a przechować kartki, które nam się ważnemi wydają, i te po skończeniu roku dawać introligatorowi do oprawy.

W takim skróceniu byłyby broszurki nader ciekawe i stanowiłyby po domach cenną biblioteczkę. Wszakże to historia bieżąca, którą gazety podają.

Dając gazety, a przynajmniej felietony ich, we formacie, który będzie zawiązkiem biblioteczki, przyczyni się redakcja do zakładania prywatnych księgozbiorów, do zamilowania czytania, do rozkrzewiania wiedzy i nauki. Otóż z maluczkich rzeczy — wzniosłe skutki. Czemu gazety nie wstępują na tę drogę? Czemu?

Trz. w Sierpniu.

W. T.

Jeżeli na mównicy parlamentarnej w Berlinie oczekujesz tylko pochwał i oklasków, nie każ się wybierać na posła, bo nie będziesz nigdy wyrazem myśli i uczuć swego narodu — a więc wybór twój niepotrzebny.

Wł. Wierzbicki.

Jeżeli masz nieprzyjaciół, nie uważaj nigdy na ich liczbę, ale raczej na ich wartość moralną. Gdy się przekonasz, że przez nich mówi albo jad nienawiści, albo zazdrość, albo pycha, albo niewdzięczność, albo wreszcie chwilowe obałamućenie, — nie obawiaj się, — prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw, a ty zwyciężysz. Wśród walki z tysiącami takich nieprzyjaciół wynagrodzi ci wszelką gorycz opinia jednego uczciwego człowieka, który ci powie: „dobrze robisz!“

Poznań, dnia 5 Sierpnia 1885.

Stefan Cegielski, poseł do parlamentu.

W miłości — wszystko, bez miłości — nic.

Niemasz w całym naszym polskim języku piękniejszego słowa nad to jedno: Kochać.

Miłość jest kamieniem probierczym wartości człowieka.

W miłości zbawienie — a w przeniknieniu i urzeczywistnieniu się jęć w wszystkich stosunkach ludzi i narodów, państwa i społeczeństwa, jedyny prawdziwy postęp i przyszłość ludzkości.

Kochać — to żyć.

Kantak Kaźmirz.

Idąc pod godłem światła i pracy patrzymy z ufnością w przyszłość.

Dr. Z. Szutdrzyński.

DO PIĘKNYCH OCZU.

(Wiersz z XVII. wieku.)

Poezya polska wieku XVII. coraz to bardziej zawstydzona dawniejszą opinią o tym okresie, któremu odmawiano prawie wszelkiej twórczości, zaledwie dla Hieronima Morsztyna, Samuela ze Skrzypny Twardowskiego, Wespazjana Kochowskiego i nie wielu innych znajdując słowo uznania. Tymczasem, za podniętą daną przez Przysłęckiego, który szczęśliwie odkrył Wojnę Chocińską, mniej szczęśliwie przypisał (r. 1850) Andrzejowi Lipskiemu, z pyłu manuskryptów i z zapomnienia dwu wieków wydobył prof. Mecherzyński cały zbiór liryków Hieronima Morsztyna; Antoni Małecki Andrzej Morsztyna, znanego tylko z Cyda i Psychy, otoczył nową chwałą wyka-

zując, że poezye pod imieniem Zbigniewa Morsztyna r. 1844 w Poznaniu wydane, są z małemi wyjątkami płodem Andrzeja; przed niedawnym czasem Zbigniew Morsztyn r. 1844 przedwcześnie wyniesiony do rzędu poetów, skutkiem szczęśliwego odkrycia znów stanął w szeregu poetów polskich; przed dwudziestu i kilku laty wydobyto ze starego rękopisu kilka nieznanych wierszy Szymona Szymonowicza; a przed dwudziestu laty Ludwik Nabelak znalazł w bibliotece ordynackiej Zamojskich w Warszawie, a ogłosił w Bibliotece Ossolińskich r. 1864 kilka nieznanych utworów poetyckich z wieku XVII, a pomiędzy nimi wiązanek sonetów nie bez sztuki przetłumaczonych z Petrarki, jak się zdaje, przez Jana Grotkowskiego, którego także Andrzej Morsztyn kilka razy chlubnie wspomina. A iluż to poetów nam nieznanych poeci znani wspominają z odznaczeniem, z uznaniem, nawet z chlubą, nie licząc już wcale bezimiennych, których liczba — legion. — Podobno kilku Korwinów Kochanowskich poetów żyło w XVII. wieku; przynajmniej tych wspominają współcześni im bracia po lutni: Andrzej Morsztyn w jednym z najchlejszych wierszy swoich na śmierć dziadka swojego po kądzieli Otwinowskiego (r. 1645) wspomina dwóch Kochanowskich poetów sobie współczesnych, choć starszych wiekiem; Samuel ze Skrzypny Twardowski w Władysławie IV, II. str. 113 pomiędzy towarzyszami wyprawy podchocimskiej r. 1621 po Kazanowskim poruczniku wymienia poetę Kochanowskiego:

Laty tylko wtóry
Kochanowski od niego, uchowany który
W Helikonie z Muzami, dotąd się Phebową
Bawił lutnią, Korwinom znacnym swym nie nową
I jakby dziedziczną. Teraz na pogany
Do ostrego pałasza kształtnie przypasany,...

Kochowski zaś w lirykach, Epodon VI, prawie z aluzją do tego miejsca, wspomina Piotra Kochanowskiego, przedstawiając nam całą galerię współczesnych poetów (r. 1674):

Później trochę jeszcze żyją i ci
Są poetowie ad vivum wyrzuci:
Piotr Kochanowski, acz tam Pheb nie gościem
I z sędomirskim oraz podstarościm:
A jak w Parnaskim bują Korwin żniwie,
Tak w nim dziedziczyć przychodzi Leliwie.

W archiwum rodziny Kuczyńskich w Korczewie pod Drohiczymem na Podlasiu, jak podaje Dziennik Poznański 1869, nr. 91, znalazł się rękopis p. t. Zabawa przyjacielska z różnemi pismami podana z pracą JMCI pana Jana Korwina z Krzyszkowic Kochanowskiego r. 1681, septembra 12 go. Rękopis zawiera kilka osobnych poematów, pomiędzy niemi niepoślednich Kochanowskiego i pisma o Lubomirskim, z czasów Jana Kaźmierza, Michała, Jana III; pod koniec wpisany jest tu wiersz Sebastjana Kochanowskiego.

Jeszcze jedną wzmiankę mamy o poecie Kochanowskim z XVII. wieku, o Janie Kochanowskim: w wierszu Hieronima Morsztyna, który go swoim nazywa przyjacielem. Mecherzyński w artykule O poezyach Hieronima Morsztyna (rękopiśmiennych) w Bibliotece Warszawskiej 1859, str. 621 powiada: Uderzające są w poematach H. Morsztyna częste zwroty do Jana Kochanowskiego, którego autor wielkim poetą mieni, jak w opisie podróży z Lublina w gronie licznych przyjaciół i towarzyszy:

Apollo z Kochanowskim siedzi ułożony.
A Minerwa dwie trzyma przed nimi korony,
Koło nich Helikońskie zwieszają się panny....

Otóż sprawdzają się słowa Twardowskiego i Kochanowskiego, że w rodzinie Kochanowskich Feb nie gościem! Bo choćbyśmy przypuścili, że jeden z Kochanowskich, którzy z innymi wedle A. Morsztyna nieśli Otwinowskiego do grobu (r. 1645), był znany nam Piotr

Kochanowski, tłumacz Jeruzolimy, który umarł r. 1647, że zaś drugi bez imienia wspomniany jest tym samym Korwinem Kochanowskim, którego wspomina Samuel Twardowski, i tym samym Janem, którego Hieronim Morsztyn wspomina, to niepodobna przypuścić, że Jan Kochanowski, który ułożył *Zabawę przyjacielską* r. 1681 i którego wiersze referent *Dziennika Poznańskiego* nazywa „wierszami z wartością literacką,“ jest tą samą osobą; a potem jest jeszcze Piotr Kochanowski, którego Kochowski r. 1674 jako „żyjącego“ wymienił w „drugiej galerii“ po Piotrze Kochanowskim śpiewaku Jeruzolimy umieszczonym w pierwszej galerii między „dawniejszymi;“ wreszcie jest jeszcze i Sebastyan Kochanowski. Kraszewski przed kilkunastu laty wspominał, że miał w ręce poezye, jeżeli dobrze pamiętam, Piotra Kochanowskiego.

Oprócz wielu poszczególnych wzmianek o tym lub owym nieznany nam dziś poecie z XVII. wieku — Kochowski bardzo dużo wymienia poetów poszczególnych, pomiędzy nimi dwóch sąsiadów swoich z Świętokrzyskiej okolicy, — spotykamy aż dwie całe galerie poetów XVII. wieku po części nam nieznanych, i to w wierszach Kochowskiego i Andrzeja Morsztyna. Kochowski w wierszu „Poetowie polscy“ w lirykach Epodon VI. przedstawiwszy galerię dawniejszych poetów, przedstawia dalej szereg portretów żyjących za jego czasu poetów, w których malarz niby „odnawiał świeżej roboty pokosty:“ pomiędzy nimi wymienia senatorów Lubomirskiego, Lackiego. Skarszewskiego; dalej wspomnianego już Piotra Kochanowskiego, Aleksandra Kochowskiego i Glinkę. Z tych Lubomirskiego, którego także Andrzej Morsztyn jako poetę wspomina, i Glinkę znamy choć mało z literatury Bentkowskiego; nieznany nam Piotr Kochanowski, Aleksander Kochowski, Lacki i Skarszewski „w tem rzemieśle biegły.“ Lackiego Teodora, marszałka litewskiego, autora „Pobożnego pragnienia,“ wielbi Kochowski we fraszkach (Epigr. pol. II. nr. 205)

Kto Pobożne Pragnienie Twe, marszałku, czyta,
Temu się myśli dwoje podziwienie chwyta:
Pierwsze styl wiersza Twego wybornie chędogi,
Drugie, by tój nie chybić, którą pisziesz, drogi.

W następnej fraszce nazywa wiersz jego „anielskim.“ Skarszewskiego, kasztelana Wojnickiego, wspomina Kochowski także w lirykach IV. 23, zapewne wymienionego w wierszu „poetowie polscy.“

Drugi, który nam ukazuje cały szereg współczesnych poetów, jest Andrzej Morsztyn, który w wierszu p. t. Nagrobek Waler. Otwinowskiemu († 1645) powiada, że tego poetę „do grobu niosą sami poetowie:“

Dwaj Kochanowscy, Morsztyn Jarosz, Naborowski,
Simon Simonides, Rey, Smolik, Karmanowski,
Orzelski, Żorawiński, Grodkowski i co ich
Obfita w syny Polska może znaleźć swoich.

O Kochanowskim i Grotkowskim wspomniano powyżej; Morsztyn Jarosz (w tekście pomiędzy temi imionami błędnie przecinek jest umieszczony), może być znany nam Hieronim (Jarosz) Morsztyn; Szymonowicz jest dobrze znanym nam sielankopisarzem; Żorawiński jest zapewne wspomniany przez historyków literatury profesor krakowski, później zamojski, o Smoliku mówi Maciejowski jako o fraszkopisarzu, którego swywolne fraszki mają się znajdować pomiędzy innymi w bibliotece Czernejewskiej: — nieznani nam są Rey, Karmanowski, Orzelski, — i prawie wcale nieznanym jest także Naborowski.

Nazwisko Naborowskiego jako poety nie jest nam wprawdzie zupełnie obce; w zbiorze poezyi, z którego powstało wydanie poznańskie poezyi Zbigniewa Morsztyna r. 1844, na końcu mieści się: „wiersz Naborowskiego w czasie bytności króla Władysława u księcia Krzysztofa Radziwiłła;“ inny wiersz Naborowskiego podał

Maciejowski w Dodatku do *Piśmiennictwa* s. 239, wiersz wystósowany do „Oświeconego Xsięcia Pana,“ zapewne Krzysztofa Radziwiłła, gdzie w podróży tęschni za Niemieckim krajem:

Teraz racz nam Boże, dopomagać w biegu,
Abyśmy prędko byli u wiślnego brzegu,
A potem się Niemnowym Nimphom pokłonili,
A Świętojańską Tobie Sobótkę wznecili,
Którój w drodze nie przyszło (biada) ofiarować,
Bośmy musieli dalej tego dnia żeglować...

Ten Naborowski podpisany jest w przedruku u Maciejowskiego imieniem zaczynającym się od litery T. nie ma jednakże co do imienia pewności, bo w uwagach wstępnych do tej części Dodatku, str. 196, Maciejowski wymienia Stanisława Naborowskiego.

W jednym z Petersburskich rękopisów bardzo zdefektowanym, bo już tylko z kilku kart złożonym, z XVII. wieku, znajdują się dwa wiersze z wymienieniem jako autora Daniela Naborowskiego. Jeden z tych wierszy jest: *Zwada Marsa z Cupidyńnem alias Pana Wojewodzica Ruskiego Daniłowicza z Panem Wojewodzicem Łęczyckim Radziejowskim w Warszawie na sejmie dwuniedzielnym anno 1634 w bankiecie znacznym u Xięcia Radziwiłła Pana Wojewody Wileńskiego y Hetmana Litewskiego, i zaczyna się od słów:*

Jupiter wiele Bogów zaprosił do siebie,
Sprawiwszy dla nich ucztę dosyć hojną w niebie...

wszystkiego około 70 wierszy.

Drugi wiersz, który poniżej przytaczam, nie jest nam zupełnie obcy, wart jednakże przypomnienia już dla tego, że pomimo swojej przeszło dwóchsetletniej metryki, ma przywilej nieprzemijającego uroku, bo odzwierciedla w sobie — piękność dziewiczych oczu. Taki wiersz, czy on będzie utworem polskiego poety z XVII. wieku, czy wierszem Michała Anioła: *Mentre i belli occhi giri*, czy jednym z sonetów *Torkwata Tassa* na piękne oczy, czy utworem *Tomasza Moora* „*To Ladies eyes*,“ czy też wierszem niemieckim: *Du hast die schönsten Augen*, tchnie zawsze pewną świeżością, jeżeli z żywego uczucia płynie. Wiersz ten jest następujący:

Na oczy królowny Angielskiej Elizabety

Daniel Naborowski.

Twe oczy, z kąd Cupido na wsze ziemskie kraje,
Córo możnego króla, harde prawa daje,
Nie oczy, — lecz pochodnie dwie nielitościwe,
Które palą na popiół serca nieszczęśliwe;
Nie pochodnie, lecz gwiazdy, których jasne zorze
Błagają nagłym wiatrem rozgniewane morze;
Nie gwiazdy, ale słońca palające rozno,
Których blask śmiertelnemu oku strzymać prozno;
Nie słońca, ale nieba, bo swój obrót mają,
I swoją śliczną barwą, niebu wprzód nie dają;
Nie nieba, ale dziwnej mocy są bogowie,
Przed którymi padają ziemscy monarchowie;
Nie bogowie też zgoła, bo azaż bogowie
Pastwią się tak nad sercy ludzkimi surowie?
Nie nieba: niebo torem jednostajnym chodzi,
Nie słońca: słońce jedno wschodzi i zachodzi,
Nie gwiazdy, bo te tylko w ciemności panują,
Nie pochodnie, bo leda wiatrom te hołdują,
Lecz to wszystko znajduje się w jednym oka słowie,
Pochodnie, gwiazdy, słońca, nieba i bogowie.

Wiersz ten podany już był przez Dr. Wład. Serejńskię w rozprawie o niewydanych poezyach Morsztyna Andrzeja, wyjęty z manuskryptu Akademii Krakowskiej różnej treści (syg. L. 447,603 stron. w małym arkuszowym formacie, zapisanych jedną ręką), gdzie jest dużo wierszy Andrzeja Morsztyna bez wymienienia autora, i gdzie znowu ku końcowi osobno jest kilka wierszy z napisem: *Fragmenta Morsztynowe*; tu jest umieszczony wiersz: „*Na oczy jednej panny zacnej*“ jest księżniczki angielskiej.“ Odmiany dwóch tych odpisów łatwo przy porównaniu spostrzedz.

Tak więc w jednej Silva rerum wiersz „Do pięknych oczu“ przypisany jest Morsztynowi (zapewne Andrzejowi, jak się w danych warunkach słusznie domyślał Dr. Seredyński), w innej zaś Danielowi Naborowskiemu. Jeden z przepisowaczy, który autorem wiersza naznaczał Morsztyna, odnosił ten wiersz „do jednej z acnej panny to jest księżniczki angielskiej;“ drugi, który jako autora podpisał Daniela Naborowskiego, wymienił jako osobę, do której wiersz miał być wystósowany, „Królowę angielską Elizabetę.“ Dr. Seredyński, nie znalazłszy przy wspomnianym wierszu żadnego imienia, tylko słowa: do pewnej acnej panny to jest księżniczki angielskiej, domyślał się ze tą „Księżniczką angielską“ ma być Katarzyna Gordon, z szlacheckiego szkockiego rodu, która ród swój wywodziła podobno z królewskiego rodu szkockiego i która r. 1658 oddała rękę Andrzejowi Morsztynowi, podskarbiemu koronnemu, z kąd wynikał domysł, że autorem wiersza „Do pięknych oczu“ był Andrzej Morsztyn. Jest pewne w tem prawdopodobieństwo, tem bardziej, że Andrzej Morsztyn układał wiersze podobne, jak np.: „Na oczy.“ Ale układowca zbioru Akademii Krakowskiej nigdzie Andrzeja Morsztyna nie wymienia, choć dużo wierszy jego przytacza; „Fragmenta Morsztynowe“ w obec wyższych przytoczonych wypisów z Petersburskiego rękopisu nie są dostatecznym dowodem, że wiersz tam pomieszczony w dalekim odstępie od rzeczywistych utworów Andrzeja Morsztyna jest jego pióra; w Lutni, ułożonej przez samego Andrzeja Morsztyna, którą nam dał szczegółowo poznać Dr. Seredyński w tomie II Rozpraw fil. Akad. Krak., wiersza „Na piękne oczy“ niema, a jednakże Lutnia posłana „po koledzie“ Łukaszowi z Bnina Opałińskiem r. 1661, bardzo prawdopodobną byłoby rzeczą, że wiersz ten mógł być ułożony przed ślubem z Katarzyną Gordon (r. 1658), podobnie jak wiersze: „O sobie,“ „Na jabłko do Katarzyny,“ które też Morsztyn w Lutni umieścił.

O Danielu Naborowskim, doktorze medycyny, który z synem X. Krysztofa Radziwiła podróżował po Europie i z nim razem studia odbywał w Bazylei i Genewie, wiemy z Encyklopedyi Powszechniej Orgelbranda, że był także „niepoślednim swego czasu poetą, jak o tem przekonywają dwie jego drobne poezye w polskim języku, umieszczone w Noworoczniku Litewskim Klimaszewskiego na r. 1831.“ Nie mając tych dwóch „niepośledniej“ wartości wierszy, nie mogę powiedzieć, o ile one mogłyby potwierdzić wiadomość, że autorem wiersza tu przytoczonego jest Daniel Naborowski. Co mogło dać Naborowskiemu pohop do napisania wymienionego tu wiersza, trudno odgadnąć, najprawdopodobniejszą zdaje się być rzeczą, że wystósowane one były do Elżbiety, wnuczki Jakóba I króla angielskiego, córki Fryderyka Palatyna Renu, w której król Władysław IV z portretu się pokochał, i z którą miał zamiar się żenić. Małżeństwo to, jak pisze Szujski, miało króla wprowadzić w bliższe stosunki z potęgą Anglii i nadwzględlić jego przyjaźń z cesarstwem. Przeciwno projektowi oświadczyli się wszyscy biskupi, ale panowie dyssydency, więc z pewnością także Krysztof Radziwiłł, z którym Naborowski miał tak bliskie stosunki, za nim się oświadczałi. — Rzecz w braku wszelkich wskazówek stanowczo rozstrzygnąć się nie da, fakt jednakże sam przez się nie jest bez wartości, że ten sam wiersz przypisywano dwom poetom, co i inne wiersze z XVII wieku spotykało z tego powodu, że dużo wierszy i zbiorów bezimiennych przechodziło z rąk do rąk, przepisowacze zaś czasami wedle mylnych wiadomości nazwiska autorów dodawali.

W. Nehring.

JAK SPEŁZŁA WYPRAWA NA PIŁĘ W R. 1846.

Kartka ulotna

z wspomnień mojej młodości.

Za rządów twardej pamięci Naczelnego Prezesa W. X. Poznańskiego Flottwella, odbywałem nauki w gimnazyum Panny Maryi Magdaleny w Poznaniu (1833—41), a kto słyszał o tych rządach, albo kto czytał memoryał w którym prezes bez ogródki wyznaje, że zniemczenie ziemi, zarządowi jego oddanej, za naczelną cel zarządu poczytywał. kto wcale pamięcią onych czasów zasięgnie, ten wie, że były to czasy podobne do dzisiejszych. I w onczas na szkoły głównie zwracano ostrze środków administracyjnych, urzędników Polaków z administracyi wszystkich przeniesiono do innych prowincyi, lub dymisjonowano, niemniej i profesorów (Muczkowskiego i Trojańskiego) i od klasy Vcj już niemieckim wykładem trudzono malców i nie malców (bo byli ze mną tacy, którzy opuściwszy ona kwintę, niebawem na ślubnym stawali kobiercu). A jednak ten posiew, wcale inne jak zamierzano wydał owoce. I ci, co kilku laty przedemną szkoły ukończyli, że tylko o umarłych wspomnę: Prusinowski, Cegielski, Röhr, Karol Szymański, i ci co zemną wychodzili: bracia Ludwik i Fortunat Jagielscy, Zielonacki, Chosłowski Józef i inni, z gorącego poczucia narodowego nie tylko nic nie utracili, ale owszem ze spotęgowanym hartem umysłowym wychodzili z tej łaźni germanizacyjnej. — Da Bóg i dziś tak samo będzie. A w onym czasie nie mieliśmy ani dzienników, ani swobody słowa i stowarzyszeń. Nie uczono nas dziejów ojczystych, więc w dni świąteczne po nabożeństwie zbieraliśmy się regularnie i starsi młodszym z kolei odczytywali historiją Polską i formalne odbywali egzamina. — Ba, i jakieś tajne odbywały się schadzki i sprzysiężenia i przypominam sobie, że kiedy 16letni chłopiec przybyłem do klasy II, starszy mój kolega Jankowski, wcześniej zmarły na suchoty, syn byłego kapitana Napoleońskiego, na poddaszu na Wodnej ulicy, odbierał mi przysięgę na wierną służbę ojczyźnie i zaopatrzył jakimś sztyletem na „zdrajców i szpiegów.“ — Sztylet gdzieś zardzewiał nie użyty, ale przysięga na wierną służbę, pozostała w pamięci i sercu a może po trochu i w czynie. A różnych próbowano sposobów, ażeby ten jasny promień „świętej miłości kochanej ojczyzny“ przytłumić albo wydrzeć z serc młodocianych.

Otóż było i jest zwyczajem chwalebny, że opuszczający z świadectwem dojrzałości gimnazyum młodzieńcy, z odwiedzinami czci i podziękowania obchodzą kolejno nauczycieli. Pomiedzy tymi był zmarły przed kilku laty jako dyrektor progimnazyum w Krotoszynie p. Gladisch, katolik, podobno zniemczały Polak, który w wyższych klasach udzielał historii powszechniej, języka i literatury niemieckiej, i którego dla predylekcyi jego do chińszczyzny, chińczykiem nazywaliśmy. Otóż ten, gdy do niego z pożegnalną przyszedłem wizytą, jał mnie rozpytywać o moje pochodzenie narodowe. Panie profesorze, odrzekłem, rodzina moja na wskroś jest polską. W domu tylko tym mówimy językiem, a jakkolwiek procedencyą naszą z miasta Gdańska wywodzim, to przecież od wielu pokoleń rodzina moja w okolicy Chojnic i Piły osiadła, a podanie nasze rodzinne niesie, że prapradziad mój, przy boku króla Jana Sobieskiego, sprawował urząd tajnego sekretarza. Więc i mowa moja domowa i obyczaj i poczucie czysto jest polskiem. „Panie Szuman, rzekł na to profesor, ja Ci dobrze życzę; na co ci ta polszczyzna. — Nie jesteś bez zdolności, wladasz dobrze językiem niemieckim, porzuć marzenia, a rękę za dobrą karierę.“ — „Panie profesorze, odparłem, poczucie i przekonanie religijne i narodowe, to nie suknia, którą się składa i wdziewa wedle okoliczności. Wszakże Pan sam w wykładzie historii sławiłeś nam i za przykład stawiałeś mężów, któ-

rzy swe zasady wyznawali i wśród przeciwności i przesładowań; już mi niewola zostać tem, czem wzrosłem wśród rodziny i społeczeństwa, do którego całą duszą należę; a jakie Bóg mi losy przeznaczy, takie przyjmę z uległością.“

Ugryzł się trochę w język p. Gladisch i pożegnał mnie o wiele chłodniej niż powitał. — O tych szczegółach wspominam tu dla tego, ażeby wykazać, jak owa chęć wynarodowienia nas, dawniej jest daty, i jak rozmaitych ku temu zażywano środków. Spotykały mnie zresztą podobne natrącania i w życiu późniejszym.

W takim usposobieniu opuściło nas tedy na Św. Michał r. 1841 22 z świadectwem dojrzałości gimnazjum Poznańskie, pomiędzy którymi wspomnę tu żyjących jeszcze prof. A. Małeckiego, J. Szafarkiewicza, J. Skrzydlewskiego, XX. Basińskiego, Bulczyńskiego, Fromholza i kilku innych, większa część moich rówieśników już się do wieczności przeniosła.

Po dwuletnim pobycie na akademii w Wrocławiu i Bonn przeniosłem się w roku 1843 do Berlina, gdzie w licznym zastępie młodzieży głównie z W. X. Poznańskiego ale i z Prus, Kongresówki, Litwy i Zabraných krajów (było nas wszystkich przeszło 80) bardzo dobry duch panował. Uczyniliśmy się pilnie, polityką, w ścisłym tego słowa znaczeniu mało się zajmując, zbierając się co sobotę na „Bibliotekę“ t. j. Czytelnią, którą własnym utrzymywaliśmy kosztem, na rozprawy historyczne, literackie i t. p. Zgodność i łączność panowała, rzecz można niezakłócona, wyjąwszy kilku paniczyków, stojących na boku i tworzących tak zwaną arystokracją, żyliśmy wszyscy ze sobą i pomiędzy sobą, prawdziwie po koleżeńsku.

Było to pod koniec roku 1844, kiedy z inicjatywy Centralizacji emigracyjnej w Paryżu nastająca w kraju propaganda spiskowa, zawitała i do młodzieży berlińskiej. Głównym krzewicielem takowej, zjawił się niejaki Pozorski (było to nazwisko przybrane) i co gorętszych kolegów, pomiędzy innymi K. Ruprechta, Hofmeistera, Mireckiego, K. Szymańskiego i innych, niebawem do spisku pociągnął. Zaproszono mnie także na takie posiedzenie, gdzie o tém rozprawiano, jak pomiędzy młodzieżą naszą najlepiej tajny związek polityczny zorganizować. Objawiałem zdanie wręcz przeciwne, wywodząc, że dla uczącej się młodzieży po za granicą kraju, spiszek zupełnie jest zbytecznym. — Naszym obowiązkiem uczyć się, mówilem a jeżeli potrzeba ojczyzny zawoła, nieść jój życie w ofierze. Do tego spisków nie potrzeba. Jeżeli kraj powstanie, toć się tam znajdziemy wszyscy na pierwsze zawołanie i bez sprzysiężenia. Nie bardzo się to zdanie moje podobało, ale jam przy nim pozostał i pilnie się zabrał do pracy na zbliżający się egzamen. Nie mniej przeto o przebiegu zamierzonego ruchu powstańczego byłem poinformowanym, już to przez niektórych z kolegów, bliżej sprawy stojących, już przez osoby pokrewne w kraju, do organizacyi wprost należące.

Wiadomo, że po długim wahaniu i odraczaniu, ostatecznie na 16 Lutego 1846 r. wybuch powstania na całym obszarze Polski był postanowionym. — Kiedym się o tém dowiedział, a było to właśnie wśród najgorętszej pracy nad rozprawą do egzaminu doktorskiego, powiedziałem sobie, że teraz odwlekać nie można i na dzień oznaczony stawić się trzeba do szeregu. — Brat mój starszy trzymał w onym czasie dzierzawą majątek w Czarnkowskim, który dziś moją jest własnością, a ponieważ i on do ruchu należał, postanowiłem udać się wprost do niego. Ale policja pruska już od pewnego czasu była na tropie ruchu powstańczego, więc zarządzane były wszelkie środki ostrożności, mianowicie także co do ruchu podróжных. A w onych czasach koleje żelazne bardzo jeszcze były rzadkie, a droga z Berlina do Poznania lub Bydgoszczy odbywała się pocztą, która wlokła się do Poznania 27 godzin, a przy ograniczonej liczbie po-

dróжных, ułatwiała najściślejszą kontrolę policyjną. Karta legitymacyjna akademicka nie starczyła i już mi nie służyła, ile że od pół roku ukończywszy studia, już się byłem exmatrykułował, nie pozostało jak się udać do policji. Znał mnie przecież mój komisarz cyrkułowy, i bez trudności wydał jakieś świadectwo, które wprawdzie było tylko legitymacją tożsamości osoby i na mocy której, paszport formalny (bo taki był wymagany) uzyskać miałem. — Drugą troską było, uzbrojenie się jakiegokolwiek, zacząłem kupiłem sobie kulówkę gwintowaną z perkusyami (wielką naówczas rzadkość), a ponieważ o przewożeniu broni otwarcie nie mogło być mowy, rozebraną fuzyją z odpowiednią amunicją wpakowałem do kisty i pod adresem brata mego, jako paczkę pocztową wysłałem.

Koledzy moi z Królestwa i Litwy: Ruprecht, Hofmeister, Mirecki i inni, już się byli dawniej wynieśli, z resztą się nie żegnałem, i jakoś wieczorem wsiałem do poczty w kierunku do Bydgoszczy. — Bez przygody i trudności, bo tylko w Friedeburgu, czy Drezdenku, żandarm jakiś zajrzał do woza pocztowego i nie zażądał nawet legitymacyi, stanąłem zdaje mi się 15 po północy w Czarnkowie, a ztamtąd pocztą idącą do Poznania puściłem się ku Władysławowu, gdzie około 4 z rana stanąłem. Poszedłem cichaczem do domu, w którym wszystko jeszcze w głębokim śnie spoczywało i zapukałem do okna pokoju sypialnego mego brata.

„Kto tam“ odezwał się nie on, ale głos Papińskiego, kucharza, służącego i rodzaju powiernika domowego. Papiński był to młody chłopak, który z Królestwa zbiegł był przed rekrutem, sprytny, dobry kucharz, trochę wissus, ale wierny i gorący patriota, więc w wielkich był względach u brata mego.

„Otwieraj Papciu! zawołałem, tom ja przyjechał.“

W lot drzwi domu otworzył, świecę zapalił, a kłaniając się: „a to WPan, to doskonale żeś Pan przyjechał.“

„A gdzie Pan“ zapytałem, „czy go w domu nie ma?“

„Nie ma,“ odrzekł Papiński — „wczoraj pod wieczór przyszedł posłaniec z Łopiszewa i zaraz Pan tam jechał, ma dziś tam być wielka narada, a jutro ruszamy na Piłę.“

Dla objaśnienia nieświadomych nadmieniam tu, że według planów Mierosławskiego, pomiędzy innymi ruchami powstańczymi, miała być zajęta Piła, gdzie się znajdował skład broni obrony krajowej.

„To ładnie odrzekłem, a iluż was tu będzie?“

„A no,“ nadrabiając miną prawi Papiński i: „nasz Wielmożny który będzie komenderował, oto i Frącek forszpan, ja i Wicek.“

„I to cała wasza armia,“ rzekłem śmiejąc się — „z tą Piłę wielkiej szkody nie zrobicie.“

„No toć i z Gębic pójda i z Kruszewa i od Ryczywoła,“ odrzeczł Papiński — „a przecież Wielmożny Pan pewno téż z nami pójdzie.“

„Pójdę, pójdę odparłem, ale obecnice bardzom zziębły i znużony — daj mi tedy się ze 3 godziny przespać, około ósmej daj mi filiżankę gorącej kawy i niechaj mi Wicek zaprzęże do bryczki, pojedą ja téż do Łopiszewa i dowiem się, co tam uradzili albo uradzą. Zatem dobranoc.“

Położyłem się tedy, a około ósmej puściłem się do Łopiszewa. W Łopiszewie, włości pod samem miasteczkiem Ryczywołem leżącej, mieszkał naówczas p. Pstrokoński. Zastałem zebranie dosyć liczne, ale strasznie skonsternowane, wśród narady najzupełnie płonnej, bo niemającej ani rzetelnej faktycznej podstawy, ani ducha i zapału. Obrzucono mnie pytaniami: skąd przyjeżdżam, dawnoś przyjechał, jakie niesiesz nowiny? Odpowiedziałem: przyjechałem dziś w nocy z Berlina dla tego, bo mi powiedziano że jutro cały kraj powstaje i że, jak oto w domu się dowiedziałem, jutro mamy ruszać na Piłę, więc są-

dziłem, że tu bliższe szczegóły tej wyprawy mają być ułożone.

Ale mój Panie, krzyknij ktoś z boku, wszystko stracone. Mierosławski wzięty! — Prawda, że to cios twardy, odeprę, ale jeżeli rzecz już tak przygotowana, jak twierdzicie, to już nawet innej niema rady. Toć Mierosławski w pierwszej potyczce mógł zginąć i wtedy ten kto po nim najwyższy w urzędzie, komendę bierze. Jużci jeżeli każdy powiat, czy okolica mają na jutro swoje zadanie, toć musimy się brać do spełnienia go, bo inaczej w jednym miejscu się ruszą w innym nie i nie tylko powstanie w samym zarodzie upadnie, ale was pojedynczo jak myszy wyłapia i w kozie osadzą.

Ależ ty niewiesz, rzecz inna, jaki to człowiek genialny, ten Mierosławski, bez niego nic, on wszystko ma w ręku.

Nie, nie, bez rozkazu ani rusz, wołali prawie wszyscy. A któż wam ten rozkaz ma dać? zapytałem.

Najlepsza rada zawoła w tém ktoś, niech on sam jedzie do Poznania, i zasięgnie z góry rady czy rozkazu, co robić. — Zgoda, zgoda! Krzyknęto hurmem i anim się spostrzegł jak z ochotnika powstańczego, przedzierzgałem się mimo woli w agenta spiskowego. — Niechże i tak będzie, odpowiedziałem.

Zaczem narada urzędowa solwowaną została, ale jeszcze ten i ów nawięzywał gawędę, z której tyle było można wyciągnąć osnowy, że przygotowania powstańcze, bardzo jeszcze były niedojrzałe i że się mniej więcej (może nie w zły wierze) porządnie okłamywano.

Po tej naradzie siaki taki wymykał się cichaczem do domu, ażeby tam czekać „stanowczego rozkazu“, który ja z Poznania przywieźć miałem. Ja sam na noc rozstawnymi końmi ruszyłem do Poznania. — Tu na rogatce musiałem się legitymować kto jestem, zkąd i po co jadę do miasta, jak długo zabawię i t. d. Przydała się bardzo legitymacja policyjna z Berlina i około 7ej z rana stanąłem w mieście. Popłoch był nie mały, aresztowania sypały się jak z rękawa. Szwagra mego Libelta już zastałem w więzieniu osadzonego, a zaledwem się u drugiej siostry mojej p. Mateckiej trochę odsapał i u jej męża trochę przepytał o stanie rzeczy publicznej, przybył policyjant z rozkazem, ażeby się niezwłocznie stawił w biurze p. dyrektora, którym naówczas był pan Minutoli. W biurze zastałem tylko p. radcę policyjnego Hirscha, który mi kazał czekać na p. dyrektora. Minęła godzina jedna i druga, a kiedy p. Minutoli się nie zjawiał: „Panie radzco, rzekę do p. Hirscha, czego odemnie chcecie, przecież jestem tutejszy z osoby znany, mam oto potrzebną legitymacją — a teraz załatwiwszy moje interesa spieszo mi wracać do Berlina, gdzie mnie pilne naukowe prace czekają. Chwilkę się p. Hirsch zastanowił, potem spisał z mną protokół, w którym w końcu oświadczenie moje, że niebawem do Berlina wracać myślę, zamieścił i protokół ten wysłał zapewne do p. Minutolego, bo niedługo tenże się zjawiał i jeszcze szczegółowo mnie badał, pocem do Poznania przybył, kiedy, jak długo zabawię i t. d. a gdy zeznania moje zgodnemi się okazały z oświadczeniami na rogatce i protokularnemi, gdym za powód mego przybycia wypowiedział interesa familijne uzasadnione i oświadczył ponownie gotowość wrócenia do Berlina, rzekł do mnie p. Minutoli: — „Ja Panu wierzę, że dla własnych interesów i zaniepokojony wypadkami w Twojej rodzinie, tudotąd przybyłeś — ja wiem że w Berlinie pilnie się uczysz i od spisków stronisz, zaczem wracaj czempredź do Berlina na powrót, bo gdyby Pana policyja tu po trzech godzinach jeszcze przydybała, poszedłbyś do kozy. A radziłbym unikać spotkania z panem Dunckerem,* bo gdyby Cię ten w ciupie osadził, to nie tak prędko byś się wydostał“.

* Duncker znany urzędnik policyjny, tak w kryminalnych sprawach, jak mianowicie w politycznych w owym

Pożegnałem pana dyrektora, a zaledwem doszedł do rogu ulicy Wilhelmowskiej, spotykam Wł. Niegolewskiego, który rokiem rychlej zdawszy popis na doktora prawa, urzędował jako auskultator w Poznaniu. „A ty tu co robisz?“ — pyta Niegolewski. „A no — chciałem dobywać Piły, ale namyśliłem się inaczej, i wracam do Berlina, kończyć rozprawę „De in integrum restitutione“ (tytuł mojej dysertacji doktorskiej). „Furda Piła“ — mówi Niegolewski — „zostań, za dwa tygodnie weźmiemy fortecę Poznańską.“ — „Jeżeliście jej nie wzięli dzisiaj, to za dwa tygodnie z pewnością jej nie weźmiacie,“ odpowiedziałem. Z tego co widziałem i słyszałem na prowincyi i tutaj i czego się domyśliłem z rozmowy z Minutolim, to policyja lepiej przygotowana jak wy i wyłapia was do jednego, zanim się spostrzeżecie. Piłę ubiedz z garścią zdeterminowanej ruchawki, to jeszcze przypuszczam — ale fortecę Poznańską!“ — „Mamy w wojsku związkowych,“ odpowiada Niegolewski, otworzą nam bramy.“ Zamyśliłem się trochę, ale — odpowiadam — „ja tu zostać nie mogę, po zapowiedzi Minutolego niechybnie zapakowanoby mnie jeszcze dziś do kozy. Z resztą przyjechałem z Berlina nie wołany, mogę przyjechać i na zawołanie gdy będzie pora.“ — Rozpytawszy się jednak o szczegóły dokładniej, przekonałem się, że plan bardzo jeszcze był niedojrzały. I takim też pozostał, bo wiadomo, że całe przedsięwzięcie, o którym policyja i wojskowe władze wcześniej się dowiedziały, skończyło się 3 Marca na moście Chwaliszewskim zabiciem przez patrol wojskowy dwóch powstańców i ranieniem dwóch innych, poczem wszystko się rozpierzchno. Jam wrócił do Berlina do ksiązek.

W rok potem 250 oskarżonych o zbrodnię stanu stanęło przed sądem w Moabie przed Berlinem — mnie początkującemu urzędnikowi sądowemu, przypadła obrona kilku z nich. — W dwa lata później 20 Marca 1848, wyprowadzałem osadzonych na śmierć i długie więzienie, a na domaganie się ludu berlińskiego po powstaniu 18 Marca ułaskawionych przez króla Fryderyka Wilhelma IV, w rodzaju pochodu tryumfalnego przez ulice Berlina. — Mówiono, że na decyzją odnośną króla, wpłynęła bardzo rada Minutolego, ówczesnego prezesa policyi w Berlinie. Minutoli został także szefem utworzonej po wyjściu wojska z Berlina gwardyi obywatelskiej (Bürgerwehr), do której jako oddział osobny, o barwach narodowych polskich przydzieloną była tak zwana legia akademicka polska, której dowództwo mnie powierzono. — Zawołano mnie do Minutolego, który zrobił mi propozycją ni mniej ni więcej, jak oddania zamku i osoby królewskiej pod straż legii akademickiej. „Panie Prezydencie, odrzekłem, jeżeli to jest rozkaz służbowy, toć jako żołnierz winnem mu posłuszeństwo i mogę zapewnić Pana i za siebie i za wszystkich moich ziomków kolegów, że obowiązku naszego dopełnić potrafimy. Jeżeli jednakowoż to jest tylko propozycją, to pozwoliłbym sobie zauważyć, że nie może zrobić dobrego wrażenia, ażeby stolica monarchii straż osoby królewskiej powierzała poddanym prawda J. K. Mości, ale zawsze innoplemieńcom.“ — „Masz pan rację,“ rzekł Minutoli, zaczem oddam wam straż niemniej ważnego stanowiska, t. j. poczty, i polegam na znaniej polskiej dzielności w potrzebie.“ — „Nie zawiedziesz się, Panie Komendancie, odpowiedziałem“ i odwach polski na poczcie urządziłem.

Nie długo służba nasza jednakowoż trwała — w kilka

czasie czynny. Bystry i przebiegły z natury i przez długoletnią praktykę rutynowany, nie przebiegał w środkach, ażeby celu dopiąć. — Minutoli w owym czasie dyrektor policyi w Poznaniu, później w Berlinie (w r. 1848) człowiek bardzo światły i w obojętności gładki, nie raz dał dowody, że śliskie obowiązki urzędnika policyjnego umiał łączyć i godzić z szlachetnością umysłu. W późniejszych latach do dyplomatyecznych używany był misyi.

dni później, skutkiem wypadków w kraju, oddział nasz podążył do Poznania.

Władysławowo, w Sierpniu 1885 r.

Dr. H. Szuman.

ZŁUDZENIA.

W jasne błękity,
W których gór szczyty
Nieznana kapie dal,
Zwykl swe pragnienia
I urojenia
Ubierać tęskny żal.

Lecz gdy nas chyży
Do mety zbliży
Pęd niewstrzymanych lat,
Błękit się mieni
W szarłę zieleni,
W kolor nadziei szat.

A gdy u celu
Po latach wielu
Powiedziem okiem swém,
Widzim tam szczyty,
Szare granity,
Sinyim porośłe mchem.

Dawne zaś strony,
Z których szalony
Już prąd nas uniósł fal,
Znowu w lazury,
Jak dawniej góry
Zamglona stroi dal.

Lambda.

Na uprawnej tylko ziemi
Zdrowe ziarno silnie wschodzi,
Łan ubierze kłosa swemi
I bogaty plon urodzi,
Ale plonom tym potrzeba
Ciepła z góry — światła z Nieba!

Z ciepłem w sercu, światłem w głowie,
Siejmy ziarno w Imię Boże,
A ojczysty łan odpowie,
Gdy przyszłości wstanie zorze, —
I na polskie znów zagony
Polskiej pracy wniesiem plony!

Damy sobie, damy rady,
I ustrzeżem nasze łany, —
Mimo burze, mimo grady
I złowrogie huragany!
Bo nie zmoga świata burze
Duchowego światła w górze!

Krystiansborg, w sierpniu 1885.

Wawrzeniec Benzelskjerna Engeström.

Kto też tam mieszka?

Niebo nocy sierpniowej było ciemne, zanosiło się na burzę. Na ulicy, zwaną „Aleją“, slychać jeszcze raz po razie kroki przechodniów, a postacie ich rysują się migotliwie w pobliżu latarni, oświetlających ulicę.

Gorąco niecznośne wypędziło Lesława... z mieszkania. Pracować umysłowo nie zdołał dłużej, chociaż praca była nagłą. I tak już to, co napisał, podobne było do wodzianki, a ileż było przekreśleń, ile dodatków na marginesach, które przecież chwilę po mieście, wrócił potem na swoją ulicę i usiadł na ławie przed traktyernią naprzeciw kamienicy, w której mieszkał. Podana szklanka „kalteszalu“ nie ochłodziła go — wietrzyk muskał mu wprawdzie twarz, ale był to wietrzyk tak gorący, jak gdyby z rozpalonych wiał czeluści.

Błądził Lesław chwilę po mieście, wrócił potem na swoją ulicę i usiadł na ławie przed traktyernią naprzeciw kamienicy, w której mieszkał. Podana szklanka „kalteszalu“ nie ochłodziła go — wietrzyk muskał mu wprawdzie twarz, ale był to wietrzyk tak gorący, jak gdyby z rozpalonych wiał czeluści.

Myśl Lesława wybiegła w dziedzinę losów ludzkich i zawróciła do losu własnego. Chwil uczucia gorącego, których pamięć ozlaca życie „kącika zielonego“, opromienionego blaskiem szczęśliwości, brakło mu coraz dokuczliwiej — urodził się w niedostatku i z nim też bezustannie walczył, a teraz rok dobiega pracy jego literackiej. Ażali napotka oazę wśród stepu znojów i prywatcy literata? Wtém powiół okiem ku górze i dostrzegł, że jedno z poddasznych okien kamienicy, w której mieszkał, oświetlone było i zapuszczone firanką białą, drgającą lekko od podmuchu powietrza. *Kto też tam mieszka?* pomyślał sobie i taka go zdjęła tęskność, tak się uczuł osamotniony, a z okna tego takie jakieś błogie biło światło, że rozbudziły się siły imaginacy i Lesław wyobraził sobie, że tam na tém poddaszu mieszka niewątpliwie istota, stokroć szczęśliwsza od niego. Tak, tak; — spotykał bowiem na schodach raz po razie młodzieńca bladego, niosącego książki pod pachą, z którego twarzy, z którego ócz świeciło coś, naksztalt promyka ideału. Świat nic o nim nie wie, a on pracuje, okolon widnokrengami nieskończonemi idei i uczuć, harmoniującymi z własnymi aspiracyami duszy... lub pracował aż do tej chwili, a teraz, złamany wysiłkiem, skłonił głowę i śni, a we śnie bezustannie nań patrzy córa nieba i muska mu tęczową dłonią skronie.

Wraz inny znów obraz ujrzał Lesław, obraz pary młodej. Ona czekała za nieobecny i czekając usnęła — on gdy wrócił, usiadł u stóp jej i wpatruje się w kwiat swój, aż dopóki z kielicha jego nie zabłyśły dwie gwiazdki i nie zstąpił raj po ich promieniach, raj, którego tyłu nie zaznało, tyłu utraciło...

Szczęśliwy! zawołał Lesław i dumając począł o błogosciach tych wszystkich, których ogniwa składają się na różaniec harmonijnego przez miłość bytu... A on, on cóż posiada? Oddał się li pracy książkowej, literackiej, czuł w sobie zdolności, ale brakło różczki czarodziejskiej, pod której dotknięciem wykwiła talent w plon żyzny. Pędzi dotąd życie jednostajne i jak koń, ciągnący omnibus, ciągnie powózkę przedsiębiorcom straw umysłowych... I pókiż tego? Serce jego nie unosi się pychą, ale pragnie innego losu, aniżeli losu szeregowca, który dla chleba dostarczać musi tyle a tyle pracy umysłowej, za tyle a tyle groszy od wiersza!... A gdy przyjdzie w grę różnica przekonań? Ażali odstąpi swoich... dla chleba? Nie i stokroć nie.

Naraz krople wielkie, zwiastunki burzy, spadać zaczęły z podniebia i zadął wicher. Trzeba było wracać. Mimo późnej już godziny, dochodził przez drzwi otwarte na sień dolną kamienicy śpiew półgłošny godzinki. Był to śpiew starego szewca, Piotra. Lesław znał go, przystanął więc i spytał, czy nie wie, kto mieszka na poddaszu ku ulicy i dotąd jeszcze pali światło?

„Tam już teraz, panie, nie mieszka nikt. Jeszcze w południe mieszkał starowina, który dawniej pisywał dużo do książek, ale był uparty; nie umiał odstąpić od tego, co zwał swą wiarą. Póki oczy mu służyły, to jeszcze było pół biedy, ale gdy zaniemagać zaczęły, popadał w coraz większy niedostatek. Gospodarz kamienicy, człowiek litościwy, nie nagabywał go o zapłatę stancyi. Od dni kilku narzekał starowina, że jest bardzo słaby i że już nic nie widzi, więc miano go wziąć do lazaretu jutro. Ale nie doczekał, zasnął na wieki dziś przed wieczorem. Stróżowa z swoją żoną zapaliły świece nad jego ciałem.“

Lesław nie wyrzekł się pióra, ale skwitował z karyery literackiej i dobrze mu z tém, a zapytany, co go ostatecznie skłoniło do innej karyery, opowiedział nam rzecz powyższą o oświetlonym oknie i imaginacyjnych mieszkańcach — wbrew smutnej rzeczywistości losów biednego starego literata.

Ludwik Żychliński.

Wrocław, 1 sierpnia 1885.

Z powodu zjazdu Prawników i Ekonomistów polskich.

„oświatę ujmij, naukę ujmij.“
Libert: „O miłości ojczyzny.“

W ostatnich tygodniach przyniosły nam dzienniki radosną wiadomość o powziętym we Lwowie zamiarze urządzenia tam w r. p. zjazdu prawników i ekonomistów polskich, a jeżeli zaraz z góry oznaczam to jako *radosną* wiadomość, to powoduje mnie do tego względ na wysokie i naukowe i praktyczne znaczenie takiego zjazdu.

Zapewne nie potrzeba się rozwodzić nad t \acute{e} m, jak ważnym jest dla ludzi pracujących na t \acute{e} m sam \acute{e} m polu naukowym spotkanie się w jednym miejscu, wspólna wymiana zdań, ustne dowiedzenie się o rozmaitych szczegółach, spotrzeżeniach i doświadczeniach, porozumienie się co do słownictwa, wydawnictw itp., co wszystko u nas do peryodycznego zwoływania zjazdów historycznych, przyrodniczych, technicznych doprowadziło, ale należy zwrócić uwagę na znaczenie i zadanie, jakie zjazd prawników i ekonomistów po za sw \acute{e} m naukowym znaczeniem dla naszego społeczeństwa posiada.

Hasłem naszej polityki ogólnie przyjęt \acute{e} m i uznanem jest organiczna praca spokojna, świadoma swych celów, dążąca do pokrzepienia steranych sił społeczeństwa. Na hasło to zdobyliśmy się stosunkowo późno, poprzedziły je gorzkie zawody, poprzedziły potoki krwi hojnie przelanej, poprzedziła epoka nerwowych, gorących nadziei, liczenia na innych, pocz \acute{e} m zawsze nast \acute{e} powało przykre rozczarowanie i zwątpienie, ten hamulec wszelkiego dodatniego działania. Mianowicie w pierwszych zaraz latach po ostatnim rozbiore oświadczył społeczeństwem ogóln \acute{e} zwątpienie; kraj zwątpił o siebie i sw \acute{e} j przyszłości, i tylko garstka żołnierzy, co na obczyzn \acute{e} swe sztandary wniosła, miała jakąś słabą nadzieję, żeśmy nie zginęli... póki oni żyją.

Ale w miarę cierpienia i krwawych nieszczęść nadzieje nasze potężniały, w miarę rosnącej oświaty ludu, w miarę rosnącej wśród miast i ludu samowiedzy narodowej mogły i musiały potężnić i dziś nie myśl \acute{e} m juź o gwałtownych porywach, nie liczym juź chwał \acute{a} Bogu na pomoc cudzej r \acute{e} ki, doszliśmy do przekonania, że byle nie zaniedbać pracy nad ludem, nad jego moralnym i materyalnym podniesieniem, to nie mamy powodu ani rozpaczać ani zwątpić o naszą przyszłości.

W t \acute{e} j pracy nad ludem, nad podniesieniem jego oświaty i dobrobytu, może wielkie oddać usługi wspomniany wyżej zjazd przez porozumienie się co do wydawnictwa popularnych dzieł z dziedziny ekonomii, tak rolniczej jak przemysłowej. Bezwątpienia mog \acute{a} i jednostki same wiele zdziałać w tym kierunku, ale że na to nie można liczyć z *pe-wności \acute{a}* , tego najlepszym dowodem zupełne ubóstwo naszego piśmiennictwa w t \acute{e} j dziedzinie. Czy to niech \acute{e} ć wystawiania się na pojawiającą się w niektórych pismach niefortunną t. z. krytykę, traktującą z góry każde popularne dziełko i piszącego je autora, krytykę zapominającą czy nie wiedzącą o t \acute{e} m, że ludzie nauki dwa mają zadania do spełnienia: posuwanie nauki naprzód, co tylko nielicznym wybranym jednostkom, nie rodzącym się na zawołanie, przypada w udziale, i zapoznavanie szerokich k \acute{o} ł społeczeństwa z wynikami nauki, j \acute{e} j popularyzowanie, szerzenie oświaty w społeczeństwie — czy t \acute{e} ż inne czynniki s \acute{a} powodem wspomnianego ubóstwa naszej literatury, w to nam tu nie wchodzić, widzimy niewesoły rezultat dotychczasowej atomistycznej pracy jednostek, może przeto zespolenie tych jednostek przyczyni się do usunięcia niedostatku.

Usilna praca ekonomistów polskich ma prócz powyższego inne jeszcze znaczenie i zadanie. J \acute{e} j pono w pierwszej linii przypadło wystąpić dobitnie przeciw coraz to częściej objawiającemu się u nas *nieposzanowaniu nauki*, czy j \acute{e} j niezrozumieniu, o cz \acute{e} m świadczą niejednokrotne występy t. z. praktyków, co na podstawie jednorazowych doświadczeń, nie uwzględniając r $\acute{o$ żnych czynników, z zupełnym nie-

poszanowaniem, przeciw teorii i t. z. teoretykom występują, a równocześnie wynikiem sw \acute{e} j jednorazowej praktyki znaczenie prawd absolutnych nadają. Dalszym dowodem zapoznania granic i zadania nauki jest domaganie się od ni \acute{e} j *tylko* praktycznych wskaz $\acute{o$ wek, nawet *takie* konkursa się rozpisują, a mania chorobliwa tak silne juź zapuściła korzenie, że częstokroć chcianoby mianowicie od ekonomii, aby ona spełniła zadanie, kt $\acute{o$ rego dawniej od *alchemii* się domagano, t. j. by *bez pracy* i trud $\acute{o$ w ludziom dała bogactwo, aby im przepisała *receptę*, jak można bez wszystkiego pozbyć się d \acute{l} ug $\acute{o$ w i zrobić majątek.

Dla t \acute{e} j pracy, dla spełnienia tego punktu z programu naszej pracy, konieczną jest znajomość praw ekonomicznych, o których poznanie tak mało się og \acute{o} ł troszczy. A ekonomia nie jest zaiste zbiorem jakichś oderwanych, nie uwzględniających realnego życia teorii, jak to sobie nasi niezadowoleni praktycy wystawiają, ona nie wiezie na manowce, ona owszem daje społeczeństwu i jednostkom praktyczne wskaz $\acute{o$ wki, ale ona ma na sw \acute{e} j chorągwi wypisane słowa Franklina: „nie wiercie tym, co powiedzą, że można zostać bogatym bez pracy i oszczędności, bo to truciele“, ale ona żąda, aby pracowano i działano podług j \acute{e} j praw i praw, tak jak religia żąda dla zbawienia, nie znajomości tylko boskich przykazań, lecz życia zgodnie z niemi. Aby m $\acute{o$ dz żyć podług tych przykazań, trzeba je znać i dla tego nas uczą religii, tak samo trzeba znać prawdy, prawa ekonomiczne, aby m $\acute{o$ dz się do nich st $\acute{o$ sować.

Ekonomia społeczna jest to nauka o *materyalnym bycie* społeczeństwa, j \acute{e} j zadaniem poznanie i przedstawienie praw, podług których społeczeństwo dochodzi do *dobrobytu*, zadaniem społeczeństwa przez st $\acute{o$ sowanie tych praw *dojść* do dobrobytu. A ponieważ zyskanie dobrobytu tak każda jednostka, jak społeczeństwo uważa za swój cel, nie *jedyny*, ale zawsze *jeden z cel $\acute{o$ w* i to *bardzo ważny*, zdawałoby się przeto, że społeczeństwo całe chętnie powinno się zapoznawać z prawami nauki o dobrobycie. Ale tak u nas nie jest, cz \acute{e} go dowodem upadek jednego po drugim pism ekonomicznych, wiecznie powtarzające się wydawanie polskich dzieł ekonomicznych — tak samo i prawniczych — *własnym nakładem autor $\acute{o$ w*, na co nie wielu tylko stać, a co i tych nie wielu zapewne nie zachęca do pisania. To t \acute{e} ż można ubolewać, ale nie można się dziwić, że najpoważniejsze dzieła ekonomiczne przez Polak $\acute{o$ w pisane w obcych wychodzą j \acute{e} zykach, a że tak się dzieje, to nie autor $\acute{o$ w, lecz społeczeństwa winą. Jakieby miał imię i znaczenie n. p. Ludwik Wołowski, gdyby swe „*question monn \acute{e} taire*“, „*l'or et l'argent*“ itp. był tylko po polsku napisał i wydał. Czy byłby znalazł czytelnik $\acute{o$ w?

Miejmy nadzieję, że zapowiedziany zjazd rozbudzi w społeczeństwie nasz \acute{e} m interes dla nauk ekonomicznych, że społeczeństwo w życiu i działaniu b \acute{e} dzie się do ich praw st $\acute{o$ sować, co i autor $\acute{o$ w zachęci do usilnej naukowej i piśmienniczej pracy, i niewątpliwie się przyczyni do podniesienia dziś tak zagrożonego dobrobytu polskiego społeczeństwa.

A jeżeli w „*Okr \acute{e} żnem*“ w \acute{l} asnie powyższe słowa skreślić sobie pozwoliłem, to powodowała mn \acute{a} myśl, że nasze zjazdy naukowe spełniają, wprawdzie dla innych sfer społeczeństwa, to samo zadanie, co sobie „*Towarzystwo Czyteln \acute{i} ludowych*“ postawiło: szerzenie oświaty i nauki w narodzie, że jedno jak drugie s \acute{a} spełnieniem myśli, kt $\acute{o$ rą nam Słowacki jako swe nieśmiertelne zostawił zakł \acute{e} cie:

„...niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem nosią oświaty kaganiec!“

Dr. Józef Milewski.

Władysławów i Kazimierzów były dwa forty, racz \acute{e} j reduty, nad pucną zatoką, wystawione pewnie r. 1635 dla obrony powstającego tamże portu wojennego. Pierwszy leżał według „*Starożytności polskich*“ na krańcu kępy puckiej, drugi na wsch \acute{o} d

wsi Kussfeldu, już na półwyspie. Rzeczywiście wykopują się u podnóża Wielkiej wsi, na lekkiej pochylności łączącej wieś z półwyspem, tuż przy niej się zaczynającym, szczytki murów. Lud tamtejszy twierdzi, że to resztki miasta, pierwotnej osady, po zniszczeniu której Wielka wieś powstała. — Kazimierzów zaś nie pod Kussfeldem, ale w Chałupach czyli Cejnowie, przeszło milę bliżej Władysławowa leżała, gdyż i w tej wsi murowane fundamenta większych budowli napotykać. Zaznaczyć wypada, że według map współczesnych jeszcze w XVII wieku fale morskie pod Wielką wsią wolny miały przystęp do zatoki, zanim się i tu niskie mielizny nie potworzyły, z których obecny wązki pas piaszczysty powstał.

Ks. K.

Zadanie lekarza

nie zawsze się ogranicza na niesieniu pomocy cielesnej; nieraz jeszcze więcej poparcia potrzebuje dusza chorego. Zadanie lekarza - Polaka i na tém się nie kończy: winien on nieść pomoc i z drowej swej braci młodziej, przedewszystkiem w tych okolicach, gdzie zbywa biednemu naszemu ludowi na innych przewodnikach. — Wniosło to zadanie nieść pomoc i krzepić ducha i ciało ukochanych współbraci, oraz przysłużyć się swemu narodowi.

Dr. L. Rydygier.

Wezwany od Salomona, Hiram postawił w przed-sionku świątyni Jeruzolimskiej dwie spiżowe kolumny, uwieńczywszy je obie ozdobą, podobną do lilii.

W narodzie ujarzmionym stoją na staży Żnicza narodowego także dwie spiżowe kolumny:

Język i Oświata.

Uwieńczone są najpiękniejszą ozdobą, bo Wiarą w przyszłość narodu.

Dr. Święcicki.

„Sapientior omnibus eris, si ab omnibus discere volueris,“ — mędrszym od wszystkich będziesz, skoro od wszystkich uczyć się zechcesz. Zdaniem tem równie ci, dla których czytelnie ludowe, jak i najuczciwszą powodować się winni.

Dr. Klemens Koehler.

U stołu wyborczego.

(Z życia wzięte.)

Obok domu, w którym w jednym z miasteczek wielkopolskich mieszkałem, przejeżdżał dwa razy dziennie dyliżans pocztowy: w południe i krótko przed północą. Pierwszy rzadko obserwowałem. Za to prawie na każdy przed północą przychodzący, zwłaszcza letnią porą, leżąc w otwartym oknie, czekałem. Już z dala dochodził mnie wtenczas czysty głos trąbki pocztyliona, powszechnie w miasteczku znanego Szymka, (w małej mieścinnie nawet pocztylion do ważnych należy figur); wiedziałem z góry, jakie melodie i w jakim porządku popłyną krótko przed północą od strony „pięciu wiatraków“, z kąd poczta nadchodziła.

Przed wiatrakami brzmiała zwykle nuta: „Jeszcze Polska nie zginęła“, pomiędzy wiatrakami a miastem jakaś inna niepolska melodia, jeżeli się nie mylę, melodia o starym płaszczu, a przed i po każdej z tych melodii wygłaszał trębacz zwykły sygnał pocztowy z niezwyczajną dokładnością, wprawą.

Że nasz Szymek „Jeszcze Polska nie zginęła“ trąbił, nikogo wtenczas nie uderzało, boćby mu był bezpośredni przełożony — a był nim człowiek surowy bardzo i wielce

Polakom niechętny, ekstrawagancyi tej zakazał. Może się też pan poczmistrz nie znał na obcych hymnach narodowych, albo też o Szymka-pocztyliona przedwiatrakowej pasyi nie wiedział?

Ja, bom się często sam siebie pytał, czy też Szymek ze świadomością rzeczy tak serdecznie i rzewnie i z takim uczuciem znaną nutę wysyłał z piersi swoich w noc cichą; i przyznać się otwarcie muszę, że powątpiewałem o rzeczonej świadomości, nie przypuszczając podnioślejszych uczuć w sercu prostego parobka. Sądziłem tak jak i teraz jeszcze niejedną na seryo sądzi: że tylko ludzie z „podnioślejszych“ stosunków, lub ludzie w „lepszych“ stosunkach, zdolnymi są czuć i działać dosadnie. Szymek mnie pierwszy z przesądu tego wyleczył, a stało się to przy sposobności prawyborów do sejmu berlińskiego.

Sala, w której prawyborcy wybierali, już była napełniona. Za długim stołem siedzi poważnie w środku przewodniczący wyborów, po prawej i lewej jego ręce ławnicy. Pomiedzy ostatnimi zajął miejsce zaraz obok przewodniczącego poczmistrz, wzwyczaj wspomniany przełożony Szymka-pocztyliona, i siedzi z zaciętymi ustami i z poważnym wzrokiem, bo wie dobrze, że nie po zwycięstwo tu przyszedł, ale po klęskę; polskie głosy bowiem w trzeciej i w drugiej klasie przeważają znaczną większością niemieckie.

Polacy głosują tu w trzeciej klasie na miejscowego proboszcza, ks. . . . wskiego i na jednego z mieszczan, p. . . . icza; przeciwna strona na poczmistrza i na Hirschsohna, Izraelitę.

Przywódcy partii mustrują oczyma zastępy swoje; Polacy mają, mimo pewności zwycięstwa, w komplecie się stawić, aby dać dowód sferności i zaimponować poważną liczbą głosów. Ale i druga strona, może rachując na błędy taktyczne przeciwnika, zebrała się nadspodziewanie licznie.

Nie stawili się dotąd „ostrożni“, nadto ci, w których sercach nie rozgrzało się jeszcze poczucie obywatelskiego obowiązku; są to obojętni, wygodnisie, a nareszcie tacy, którzy nigdy do spraw społecznych nie mają czasu.

Przed domem wyborczym zbierają się gromadkami ludzie. Jednych sprowadziła ciekawość, innych — którzy już uczynili obowiązkowi wyborczemu zadość — zatrzymała pogawędka. Wszyscy spoglądali z uszanowaniem na poważnego męża, pana Ant. Al. . . kiego, cechmistrza bractwa szewskiego, mieszczanina miennego, roztropnego, i — jak wszyscy nasi szewcy — gorącego patriotę. Już on oddał głos swój, a teraz kieruje tu ztąd wyborami, a raczej wyborcami. Do posyłek ma kilku zwinnych młodzieńców cechowych i napędza energicznie do obowiązku „ostrożnych“, „zapominalskich“ i „guzdrałów“, przy czém rozmaite układają się sceny: Majstra Marcina nie można wydostać z szynkowui, tak się tam rozgadał o „48“ roku. Mości Antoni daremnie po dwakroć wysyła poń posła; odniósł się nareszcie do pani Marcinowej, a piorunem stanął zuch z pod Książa, Miłosławia i Wrześni u stołu wyborczego. Zaczyna połowica aż do podwoi sali, za ramię małżonka trzymając, zaprowadziła go i tylko jedno doń rzekła słowo: „Pamiętaj!“ To wystarczyło. Majster Marcin wszedł i jak „truśka“ czekał na wymienienie swego nazwiska.

Mości pan Karol, dawniejszy rzemieślnik, a teraz z roli, której miał spory kawał, dostatnio żyjący, a od którego „posthalter“ i żandarm biorą owies dla koni, nie chciałby sobie ich narazić i ociąga się jak wół w jarzmie z pójściem na wybory. Na tego wyprawił dzielny nasz strategik, pan Antoni, majstra Marcina, tego samego, któremu małżonka rzekła na ucho: „Pamiętaj!“ Właśnie on, uczyniwszy powinności swęj jak przystało, zadość, z rozpromienionem obliczem z domu wyborczego zamasyście wszedł. Nie można było obmyśleć lepszego molestanta na wahających się wyborców. Majster Marcin

w takim teraz był zapale, żeby mu się nikt nie był oparł. „Co to jest, nie iść na wybory, gdzie święty woła obowiązek“, powtarzał i — wpadł do mości Karola i wziął go w objęcia swoje silne i tak ścisnął, całował i ślinił, że nie było ratunku; sam instynkt zachowawczy nakazywał powolność w obec takiego natrętnika.

Ale były też i inne, podnioslejsze sceny. Dzierżawce miejskiego folwarku, który zaniemógłszy na nogi, od paru lat nie wychodził z domu, przynieśli synowie do sali wyborczej i zapewnili tém przewagę polskim głosom w drugiej klasie. Podobnie sobie postąpiły dzieci pewnego schorzałego krawca.

I wchodzi jeden prawyborca po drugim, jak ich powołują ze spisu, na wzniesienie, na którym stół wyborczy stoi i oddawają głosy. W sali lekki szmer. Ten i ów szepnie: „górá nasi.“

Oj, błogie to uczucie, być w znacznej sprawie górą, a jeżeli już nie górą w razie niepodobieństwa, to przynajmniej kupą, a zgodnie, bez zrywania jedności, zgodnie dla miłości wszystkiego tego, czego bronić świętą powinnością jest naszą.

— Szymon Mały! — czyta urzędnik z kolei w spisie wyborców. Na wzniesienie wchodzi nasz Szymek-pocztalion (bo to jego imię i nazwisko przeczytano) w mundurze, z trąbką przewieszoną przez piersi i w kapeluszu pocztarskim na głowie. Oblicze ma blade, palce rąk splótł na piersiach i drżącym, uroczystym głosem, spoglądając z rezygnacją na przełożonego swego, wymówił: „Książd proboszcz...ski i pan...wicz i niech się dzieje wola Boża“, dodał, bo wspomniał na żonę i na sześcioro dzieciak swych w domu.

Wtém woła dalej głos wymieniającego wyborców: Johann Malz, Barbier.

Na wzniesienie i przed stół wyborczy wskakuje z małpią zgrabnością człowieczyna drobny, i donośnym, chepliwym głosem krzyknął: „Herr Probst...ski und Herr Postmeister“ (tu wymienił nazwisko poczmistrza) i „ich leb' von Allen“, dodał.

Huknięte głosem śmiechem.

Komiczne wzięcie się czupurnego balbierza nie zdołało zatrzeć wrażenia, jakie wystąpienie Szymona Małego wywołało.

— Z naszego Szymka to zuch na imię! — szeptali jedni.

— On o nic nie pyta — dodał ktoś z boku.

— Niech żyje Szymek! — zawołał oderzwiał miejscowy kościelny, który niedosłyszając, kazał sobie na prędce opowiedzieć, z czego się śmiano i co „zrobił Szymek“, a potem dopiero dał folgę podziwowi swemu.

Być ubogim żywicielem sześciorga dzieci i tychże matki, to rzeczywiście nie żart! A jednak rzekł Szymek odważnie: „niech się dzieje wola Boża!“

Pan poczmistrz patrzył ciągle chmurnie przed siebie; dopiero przy oddaniu głosu przez balbierza Malza skrzywił usta i spojrzał nań z pogardą.

Idącemu do domu Szymonowi wyszła kobieta naprzeciw. Jam szedł przypadkowo wąską uliczką i podłuchałem mimowoli ich rozmowę.

— No, jakże tam było, Szymonku? — pyta kobiecina.

— Dobrze!

— Śmiali się z ciebie?

— Boże broń! Cichutko było, jak w kościele.

— To dobrze — przerwała małżonkowi Szymonowa.

— Śmiali się z golibrody — ciągnie dalej Szymon — bo na księdza proboszcza i na naszego starego (poczmistrza) dał głoski — pomieścił groch z kapustą.

— Ach! A stary szył cię oczyma?

— Jam nic przed sobą nie widział, bo to nie żart tam przed nimi stanąć i...

— No, minęło, Szymonku, minęło, chwała Bogu! — przerwała znowu, widocznie lżej oddychająca kobiecina.

— Przeciem się nie mógł — dodał znaczny pocztalion — ojca i matki w grobie wyprzeć; wszyscy nasi szli w zgodzie razem, i ja, chwała Bogu, z nimi.

— Mamy zresztą ręce zdrowe i Pan Bóg jest nad nami — zauważyła Szymonowa.

— To, to — rzekł on i weszli do siebie. Po chwili już Szymek siedział na kozle i rozmaicie wytrębywał. Turkot wozu po bruku mocno mu przeszkadzał. Za to z powrotem poczty o północnej porze tak dźwięcznie, tak harmonijnie rozplýwał się marsz Dąbrowskiego wśród uroczystej ciszy nocnej — jak nigdy.

Krótko potem podziękował Szymon za miejsce przy poczcie dobrowolnie, przyjąwszy służbę w jednym z dworów polskich.

Chw.

W szatę Piękna obleczona
Prawda, jest niezwykczona.

Marceli Krajewski.

PO LATACH DWUDZIESTU.

Było ich niegdyś dziesięciu, związanych jednością myśli, szlachetnych dążeń i celów. Poszli w świat szeroki i nie widywali się wcale, a dziś sześciu tylko spotkało się w stolicy, gdzie za lat młodych wspólnie pobierali nauki, spotkali się w tymże samym kościele i przed tym ołtarzem, przed którym, dziećmi będąc, służywali do mszy.

Czy modlili się dzisiaj — po latach dwudziestu?...

Wyszedszy z świątyni i uścisk zamieniwszy bratni, zdążyli do dobrze znanego im domku z ogródkiem, gdzie dawny, ukochany mieszkał profesor. Przeszło 70letni starzec, dzisiaj emeryt, żył jeszcze, w świecie naukowym znany i ceniony. Nastąpiły nowe powitania, a potem — wedle ułożonego planu — każdy z przybyłych jął swoje opowiadać dzieje.

Skończyli i spoglądali na siebie, a zwłaszcza na profesora, niby na sędziego, czując, że powiedzieli jeszcze nie wszystko. Były tam bowiem zwierzenia i losy ich osobiste, ziszczone nadzieje i doznane zawody, ot — zwyczajna dola człowieka — dziś smutna, jutro wesoła; ale nie było nic z tego, co sobie na ławach szkolnych, jako cel życia, wytknęli, do czego wówczas rwały się ich dusze i wyciągały ręce skore do czynu.

Profesor pierwszy przerwał milczenie, tu i owdzie rzucił pytanie, mówił o życiu, o stosunku dziejów całego narodu, albo ludzkości, wreszcie, przypominając dawne ich młodzieńcze zapaly i śluby, zawołał po prostu: — A teraz moi drodzy, niechaj mi każdy z was powie, czem się zasłużył społeczeństwu, co zrobił dla jego szczęścia? Nie pytam dla obudzenia w was pychy, lecz dla przykładu i dla tego, że każdy czynów swoich świadom być powinien.

Znowu więc dalej spowiadali się dawni koledzy. Każdy miał coś do powiedzenia; miał jakieś zasługi: ten był wzorowym gospodarzem, prawdziwym ojcem opiekunem poddanych w rozległych włościach; drugi, jako fabrykant i przemysłowiec podnosił przemysł narodowy, licznym zastępem dawał zajęcie i utrzymanie przy swoich warsztatach; inny, jako bogaty kapitalista, rozporządzał krociami i używał ich dla szczęścia współbraci; tamten był utalentowanym autorem i publicystą, którego prace i myśli niejedne błogie wydały już owoce; ów wreszcie znakomitym i dobroczynnym lekarzem cierpiącej ludzkości...

Gdy znów zapanowało milczenie, stary profesor zacierał ręce z radości i mówił: Walnymi jesteście obywatelami i chlubą kraju! ale i godnymi zazdrości, że tak wszystko sprzyja waszym pocziwym chęciom: majątek, okoliczności pomyślne, odpowiednie talenta. W imie Boga pracujcie tak dalej.

I powstał, aby się oddalić, a młodszych zostawić samych, gdy wzrok jego badawczy padł na jednego jeszcze, szóstego gościa, milczącego od dawna z smutnie pochyloną głową.

— Cóż to, młody przyjacielu, ty nic nie mówisz o sobie?

— Nikomu nie jestem potrzebnym, odrzekł dawny uczeń ponuro — pracuję, ale nikt nie ma pożytku z mój pracy.

— Nie może być! zawołał sędzia-profesor, w oczach tych dostrzegam iskry szlachetnego zapалу, tłumionego przemocą, a w drzeniu głosu namiętne pragnienia i chęci... Przypomnij więc sobie i opowiedz nam, co dobrego zrobiliście choćby jednemu tylko człowiekowi?..

— Życie moje, jakieście słyszeli, jest bezbarwne i jednostajne, odpowiedział z boleścią — wśród ciągłej troski i pracy na chleb powszedni, nie dojrzewają najlepsze zamiary i chęci, a marzenia o ich urzeczywistnieniu są szaleństwem. Próbowalem wiele rzeczy, aby się przysłużyć społeczeństwu, nic się nie powiodło, wyśmiano mnie jeszcze. Stanowisko moje jest podrzędne, zdolności nadzwyczajnych nie posiadam, a gdyby i chęć była, nie mam ani czasu, ani sposobności do dobrych, użytecznych działań. Nikomu nic dobrego nie uczynilem.

Jeszcze niżej opuścił głowę, przedwczesną okrytą sivizną, ale niebawem podniósł ją żywiej, oczy jego łagodniejszy przybrały wyraz, a głos miększe tony, gdy mówił:

— Prawda byłbym zapomniiał, choć tego wspominać nie warto... Znałem raz biednego ojca rodziny — w domu jego był niedostatek i nieład, żył w niezgodzie z ludźmi, w rozterce z samym sobą. Zbliżyłem się do niego. Nie mogąc pieniędzmi zasilać go hojnie, rozmawiałem z nim często, pozwoliłem mu wynurzać się, prostowałem jego wyobrażenia, podnosiłem go niejako do siebie i, widąc dobre poruszyłem w nim struny, bo prosił, abym przychodził częściej, a robota przy gawędzie szła mu sporzej i składniej. W końcu sam tak przywykłem do towarzystwa tego prostaka, że bywałem u niego codziennie, nauczyłem mu dzieci czytać i pisać, przynosiłem im książki i pokazywałem obrazki. Trwało to... nie pamiętam, jak długo, ale twarze moich przyjaciół były teraz weselsze, ubiór porządniejszy — zapewne powodziło im się lepiej. — Kiedy, po pewnej przerwie w moich odwiedzinach, przyszedł do mnie ów biedny ojciec rodziny i... zwyczajnie, jak prostak, płakał i dziękował mi, że jego dzieci wyrastają na porządnym ludzi, że ma z nich pociechę... mówił, ot — powiem jego słowy — że mu teraz nic nie brak, mówił... że go zrobiłem szczęśliwym... Lecz to drobnostka, nie trzeba było wam opowiadać... Machnął ręką i powstał, chcąc dać hasło do wyjścia, gdy profesor, wstrzymując go, ozwał się uroczyście:

— Słyszeliście, panowie? Ten skromny wasz przyjaciel dał nam wszystkim naukę. Nie każdemu dano bogactwo, wielkie talenta, lub szerokie do działania pole, lecz każdy — choć w najszuplejszych granicach — służyć może społeczeństwu. Alboż nie najlepiej mu służy ten, kto ludzi uszczęśliwia?... Niechby tylko każdy chociaż jednego człowieka uczynił szczęśliwym, już by nieszczęśliwych wcale nie było na ziemi.

Koledzy obstąpili współtowarzysza, któremu nagle rozjaśniło się czoło, a wielka otucha wstąpiła w jego duszę.

Z wdzięcznością uściśnął rękę profesora, potem rozeszli się wszyscy.

Co powiedzą sobie znowu — za lat dwadzieścia?...

Teresa Radońska.

Ze wspomnień poznańskich po roku 1831.

Co rzeczą niewątpliwą, to że już dla dzisiejszej naszej a stokroć więcej naturalnie dla przyszłych generacji przepadają i giną najbarwniejsze postacie, najjaskrawsze wypadki, jakie swego czasu krótko może i przemijająco, ale

charakterystycznie wypełniały widownią różnych stron kraju naszego, w zamglonej i ponurzej chwili po stłumieniu Listopadowego powstania. Co może najsmutniejsza dla prawdy historycznej smutnego jutra, tego najpotężniejszego, acz chybionego wysiłku w dziejach naszych porobiorowych ku odzyskaniu narodowego bytu, to że różnego rodzaju i ducha tradycya późniejszej epoki i późniejszej politycznej potrzeby czy doktryny, przeinaczy oblicze owej epoki, wydobędzie na pierwszy plan prądy i osobistości, którym go się w rzeczywistości zajmować nie śniło, zaludni widownią postaciami i dążeniami, o których ó w c z e s n o ś ć nie wiedziała wcale i do którychby się przynależać żadną miarą nie mogła. Niechajby każda z różnych części dawniej Polski zbierała zamierające powoli, gasnące w pamięci dzisiejszej wspomnienia owej bolesnej, ale i podniosłej chwili, a złożyłyby się może całość pełna prawdy i jaskrawej często barwności. Co przedewszystkiem ową epokę cechuje, cechuje niemniej w całej, o ile jest swobodną, literaturze i publicystyce, jak w zbiorowym usposobieniu społeczeństwa, to nie naturalny przecież po każdej klęsce upadek ducha, ale przeciwnie gorączkowy nastrój jego w patryotycznym kierunku, to nadzieja niezawodnego, szybkiego powetowania tego, co się straciło. Klęska poniesiona na wielkiej widowni walki zdawała się ówczesnej opinii wypadkiem tak nienaturalnym, tak niepojętym, tak wynikłym nie z winy wyższych powodów i głębszych przyczyn, ale z winy pojedynczych, postawionych podczas powstania niezasłużenie na świeczniku osobistości, że powtórzyć nieudane przedsięwzięcie w jakichbądź warunkach i z jakimibądź siłami zdawało się młodszemu zwłaszcza i gorętszemu żywiołom tém samém, co szczęśliwie doprowadzić je do skutku, a pomoc zachodu, Anglii, Francji, być może, iż i ówczesnych liberalnych Niemiec w razie takiego przedsięwzięcia zdawała się pewną. Nie wątpliwie była w tém ułuda, oplacająca się w długie lata później ciężkimi następstwami, ale jak wydająca z jednej strony wielkie ofiarnością i poświęceniem charaktery, tak z drugiej używająca o czystą niwę pracami i usiłowaniami organicznej natury.

Ślady drugich, — a mówimy tu wyraźnie i wyłączenie o Poznańskim, — widoczne w literaturze, w nauce, w instytucjach narodowych do tego czasu. Co się tyczy pierwszych, ocalmy od niepamięci kilka co wybitniejszych w owym czasie imion i wypadków.

Koniec roku 1831 zapełnił całe Poznańskie liczną, wojskową, mundurową i niemundurową emigracją zgnieczonego powstania. Nie było prawie polskiego domu, któryby nie był dłużej czy krócej gościł rozbitków oczyszczonej nawy w mniejszej lub większej liczbie, któryby nie był wrzał gorączkowemi wrażeniami skończonej co dopiero walki. Z krytyką namiętną, rozdrażnioną minionych wypadków, łączyło się pragnienie nowego czynu, wśród objawów dziwacznej niewątpliwie, jak nas uczy dzisiejsze doświadczenie, ale i wzruszającej patryotyzmem ułudy. Cóż powiedzieć np., jeżeli wiele młodzieży wychodziło naówczas z kraju na zachód, nie w chęci uchronienia swych osób od jakichbądź prześladowań, ale w pewnej niemal nadziei, że Francya obali rząd Ludwika Filipa, że postawiona na jego gruzach Rzeczpospolita rozpocznie do spółki z liberalnemi Niemcami krucyatę w celu oswobodzenia Polski, krucyatę, w której jeżeli komu, to Polakom samym uczestniczyć naturalnie w pierwszym rzędzie należy.

Rząd pruski ówczesny zachowywał się początkowo dość względnie i biernie w obec podobnego fermentu, a echo rozpoczynających się naówczas w rozmaitych sprzecznych z sobą często kierunkach usiłowań emigracyjnych, nie omieszkało się od pierwszej chwili odbić wiernie o poznańską widownią.

W roku 1832, równocześnie kiedy zawieżywało się wśród zaciętych walk po zakładach wychodźstwa polskiego

we Francji Towarzystwo demokratyczne, powziął generał Bem myśl utworzenia legionu polskiego w Portugalii na rzecz walczącego o koronę przeciw Dom Miguelowi liberalnego Dom Pedra. Myślą Bema było wznowić tradycją dawnych legionów polskich we Włoszech, mieć przygotowany zastęp polski pod bronią, przerzucić go w razie wyczekiwanej od dnia do dnia niemal wojny europejskiej na ziemię polską. Zapisujemy fakt i jego pobudki, nie wdając się w krytykę, która już swego czasu, mianowicie ze strony demokratycznej części wychodźstwa była nader cierpką i wywołała nawet zamach na życie generała Bema w Besançon. Na przedstawiciela swjej myśli w Poznańskim obrał sobie generał Bem Wincentego Pola. Autor późniejszych „Pieśni Janusza,” twórcza „Pieśni o Ziemi Naszej” i „Mohorta,” objeżdżał w roku 1832 Poznańskie, przebywał w wielu znajomych nam domach, werbował, jakkolwiek z nieszczególnym skutkiem, ochotników do legionu Bema, przyczem pieczęć jego osobista z literami *W. P.* miała służyć zaopatrzoną jej znakiem za legitymacją do przyszłego *W(ojska) P(olskiego)*. . . . Jak powiedziano, nie znalazła jednakże propaganda znakomitego poety szczególnego powodzenia w Poznańskim, dzięki bardzo słusznemu zresztą ze strony Towarzystwa demokratycznego postawionemu argumentowi, że „krew polska tylko do Polski należy”, a niezadługo rozpoczęła się z łona tegoż Towarzystwa akcja wręcz odmiennego charakteru, akcja, która podobnie jak pierwsza Bema, miała się oprzeć o Galicyę i Poznańskie. . . .

Mówimy tutaj o pierwszej wyprawie emisaryszów wychodźstwa polskiego w roku 1833. Chcieć mierzyć to przedsięwzięcie miarą dzisiejszych naszych wyobrażeń, przekonań i pojęć, byłoby tylko chyba dowodem nieznaomości ówczesnych krajowych i emigracyjnych usposobień. Naturalnie przedstawia się ze stanowiska zdrowego zastanowienia i prostego rozsądku, jako rzecz wyraźnego szaleństwa ów zamiar podjęcia walki w kilkudziesięciu zrozpaczonych ludzi z mocarstwem, którego kilkudziesięcio-tysięczna, dobrze uzbrojona i dzielna armia polska zwalczyć nie była w stanie. Jeżeli przeciwnie przypatrzmy się temu zastępowi idących na pewną zgubę straceńców ze stanowiska idei, która ich natchnęła i ożywiła, nie będziemy mogli odmówić uznania i podziwu ofiarności i poświęcenia, które ich wiodło prostą drogą czy to jak Artura Zawiszę i Michała Wołowicza na szubienicę w Warszawie i Grodnie, czy pod kule egzekucyjnej żołdackich, jak Winnickiego i Racięckiego, czy na leśną tułaczkę wśród walk i utarczek z nagankami kozackimi. Główny strumień emisarskiej wyprawy potoczył się z wiosną roku 1833 do Galicyi, gdzie bezpieczeństwo zdawało się większe a możność przygotowania ruchu łatwiejsza. Ztąd to ruszyły w Maju 1833 r. owe oddziały pod dowództwem Józefa Zalewskiego, Dziewickiego, Białkowskiego, Feliksa Żubieńskiego, Zaboklickiego, Henryka Dmochowskiego, wszystko z wyjątkiem kończącego męczeńską śmiercią Dziewickiego i ocalonego szczęśliwym przypadkiem Żubieńskiego, ofiar Spielberga i Kufsteinu. Przez Poznańskie szedł zastęp nierównie mniej liczny, ale z pewnością z nie mniej ofiarnych i poświęconych złożony żywiołów a wspomnienie jego co wybitniejszych przedstawicieli niechaj będzie rzeczą niniejszego wspomnienia. . . .

Artur Zawisza przedostał się przez Prusy Zachodnie pod przybranym nazwiskiem włoskiem do Królestwa Polskiego, gdzie w pobliżu miejsca rodzinnego, w lasach Krośniewickich, wpadł po rozpaczliwej obronie w ręce nasłanej nań obławy. Przez Poznańskie, ukrywając się po domach patryotycznego obywatelstwa, przedzierali się do Królestwa bliski krewny Zawiszy, świetny i piękny oficer wojska polskiego, Kalikst Borzewski, dwaj bracia Leon i Adolf Zalescy, Adam Sperczyński. Po drodze łączyli się z nimi na miejscu już inni.

Z pośród tych ostatnich pamiętna mianowicie oso-

bistość Leona Potockiego. Ułomny, chorowity, słabych sił fizycznych, wielkiego równocześnie zapалу i poświęcenia, puścił się na wyprawę z niebezpieczeństwami i grozami, z którymi nie może iść w porównanie żadna, choćby najkrwawsza i najuciążliwsza wojna regularna. Ukrywani po obywatelskich domach, tropieni już w skutek rekwizycji i doniesień rosyjskich przez policję pruską, przeprawiani od domu do domu aż ku granicy, zdolali ją przejść szczęśliwie, aby na gruncie Królestwa, po podjęciu rozpaczliwych usiłowań, po przetrwaniu strasznych trudów, po tułaniu się w lasach, dokąd im miejscowi obywatele z narażeniem się na prześladowania i niebezpieczeństwa żywności dostarczali, wśród walk i utarczek z żandarmami i kozakami, — dostać się bądź to w ich szpony, bądź przekonać się dotykalnie i nareszcie, na jak trudne, na jak niewykonalne porwali się dzieło. Biedni! Szli w dobrej wierze, iż są pionierami republikanów francuzkich, liberalnych Niemców, włoskich Karbonarów Mazziniego. Tymczasem skończyła się cała rewolucja wszech europejska na niedołężnej, stłumionej w samym zarodzie awanturze frankfurtskiej. Kraj zaś sam jakże się zachował, jakże się mógł zachować względem owych kilkudziesięciu, nieznanym mu, przychodzących rozpocząć szaloną walkę z potężnym wrogiem straceńców? Szlachcic drzał bardzo naturalnie o swe bezpieczeństwo, ale zasłaniał ich i chował według możności, za co później pokuty były liczne i ciężkie. Chłop był obojętnym, jakkolwiek na pochwałę jego można powiedzieć, iż nigdzie nie pomagał nieprzyjacielowi z dobrej woli w ich chwytności i prześladowaniu. Służba dworska, młodzi ludzie z powstania łączyli się z nimi niekiedy. Adam Sperczyński, Poznańczyk rodem, zdołał zebrać kilkunastu ludzi i uderzył na kozacką załogę w miasteczku Szadku. Przepłoszone kozactwo opuściło z początku miasto; wróciwszy w znaczniejszej sile, wyrzuciło powstańców i zmusiło ich do powrotu w lasy. Każdy mniej więcej z przeprowadzonych przez Poznańskie emisaryszów, odbył także same koleje. Borzewski spotykał się z podobnymi trudami i zawodami w rodzinnych swych stronach płockich; później przedostał się na Kujawy w okolice Lubrańca. Adolf i Leon Zaleski nastrzelawszy się z kozakami i żandarmami po lasach Kaliskiego i Łęczyckiego, wymykali im szczęśliwie z cudowną prawdziwie zręcznością; biedny Potocki, ranny, uległ, nie wiadomo gdzie, trudom, których słaby jego organizm znieść nie mógł.

Po kilku tygodniach stało się nareszcie to, co się nie stać nie mogło. Większa część ofiarnych, dzielnych, zasługujących na udział w mniej szalonem przedsięwzięciu młodzieńców znalazła się w ręku nieprzyjaciela. Liczne egzekucje na całej przestrzeni kraju, w Warszawie, Grodnie, Kaliszu, Sandomierskiem, Lubelskiem były bezpośredni następstwem nieudanego ruchu. Mniej skompromitowani poszli pokutować na Sybir. Pozostałym niedobitkom wyprawy, ocalonym dotąd cudownie, stało się rzeczą widoczną, że dłuższy pobyt w kraju, nie przedstawiając najmniejszych widoków powodzenia podjętemu przedsięwzięciu, grozi tylko prześladowaniem miejscowej ludności. Powrócili tedy w Poznańskie, gdzie przecież na ten czas, w skutek ich wyprawy uwaga władz była mocno rozbudzona a przycichłe już nieco po roku 1831 prześladowania z ponowną rozpoczęły się siłą. Kalikst Borzewski, przeszedłszy granicę w Kujawach, ścigany i poszukiwany przez władze policyjne, był ukrywany z troskliwością przez miejscowych obywateli i dostał się szczęśliwie przebrany za służącego do Drezna. Tu ztąd dostał się do Francji. Wstąpiwszy później w służbę hiszpańską, poległ w bitwie przeciw Karlistom pod Pampeluną roku 1836. Sperczyński i Adolf Zaleski przedostawszy się do Wrocławia podczas „wełnianego jarmarku”, sprowadzającego naówczas zawsze znaczną liczbę obywatelstwa poznańskiego, zostali również prze-

prawieni w Poznańskie; ztamtąd udali się do Krakowa, naówczas, jak wiadomo „wolnej i ściśle neutralnej Rzeczypospolitej“, która aż do wywołanej zabójstwem szpiega Pawłowskiego w roku 1836 katastrofy, gościła tysiące wychodźstwa polskiego. Mniej szczęśliwym był Leon Zaleski. Po przejściu powtórnem granicy wpadł w ręce żandarmów pruskich, został zaprowadzony do Poznania i osadzony w ówczesnym areszcie wojskowym, w klasztorze Katarzynek na Wronieckiej ulicy. Zagrażało mu wydanie władzom rosyjskim, w dalszém następstwie szubienicy lub rozstrzelanie. Szczęśliwy przypadek w połączeniu z własną energią wydobyl go z groźnego położenia. Wylamawszy kraty, wyskoczył oknem na podwórze, pełne gruzu i potłuczonego szkła. Mimo ciężkiego i bolesnego pokaleczenia wdrapał się na nie wysoki mur otaczający podwórze klasztorne, zsunął się zeń i był na wolności. W nocy zawędrował do wsi Suchego lasu pod Poznaniem, zapukał do okna pierwszej lepszej chłopskiej chaty i znalazł gospodarza, któremu się z całą otwartością zwierzył. Poczciwy włościanin przyjął go nie tylko gościnnie, nakarmił i opatrzył rany, ale nadto zaprzęgnął natychmiast do woza i odwiózł sam dla większego bezpieczeństwa wśród nocy, do jednego z zacnych obywateli w pobliskim powiecie szamotulskim. Tu znalazł się już Leon Zaleski bezpiecznym i został przewieziony następnie do Drezna. Czy może, aby spocząć i wytchnąć? Nie. Wszystkim tym, jak on, zacny i ofiarny młodzieniec, rozbitkom ojczystej nawy, nie pozwoliła, jak żydowi wiecznemu, spocząć ani na chwilę miłość ojczyzny, w ich ciernistym pochodzie. Dostawszy się do Krakowa, później do Galicyi w charakterze emisaryusza, zmarł w więzieniu lwowskim roku 1840 męczeńską śmiercią w chwili niemal, kiedy mu ogłoszono wyrok, wskazujący go na dwadzieścia lat w kajdanach pokuty w lochach Kufsteinu.

Otóż karta wydarta luźnie z dawnych wspomnień polistopadowych poznańskich, karta poświęcona pamięci ludzi, którym, cokolwiekby kto dzisiaj o nich i ich usiłowaniach powiedział, „wiele będzie wybaczone, bo wiele a ofiarnie kochali.“

Kazmierz Jarochoński.

TO TWOJA POŁOWA.

Z poematu w rękopisie.

Pani zasiadła z rzeszą niedorosła
Do zwykłych nauk; dziś dziecię przyniosło
Wieść smutną — jakieś słyszane zdarzenie.
W okół poważne zaległo milczenie,
Słuchano wieści.

— W bogatej stolicy, —

Tak wieść głosiła — wśród długiej ulicy,
Chodził chłopczyna z wielkim koszem chleba,
Sprzedając ludziom co komu potrzeba,
Nie wszystko sprzedął, więc czeka.

W tej chwili

Zbrojni żołnierze właśnie nadciągnęli
Wlokąc człowieka drogą do więzienia.
Pan to był; cichy jak posąg z kamienia,
Lecz z niemą skargą, co mu z twarzy biła
I o słów prawdzie wymownie świadczyła:
Cierpiał za wolność! —

Chłopak cały drżący,

Do kosza swego sięgnął wachający
I obwarzanków podając mu parę,
— Panie! — zawołał — przyjmij tę ofiarę,
To nasze! —

Przyjął — i wyrzekł te słowa
Chleb rozdzieliwszy: — Dla ciebie połowa!
Chłopak nie wiedząc sam dla czego płacze,
Łzami rzewnymi oblał swe kolacze
I biegł do matki, — matka nie wiedziała,
Co znaczą słowa. —

Pani pokraśniała!...

A ja tak byłem słów dalszych ciekawy,
Zem się obawiał ruszyć listek trawy,

Że ten szelestem w jej słowa zawadzi
I przerwie myśli, nim rzecz wyprowadzi.

Ona zaczęła: — Pan ów w proste słowa,
Które rzekł chłopcu: — Dla ciebie połowa!
Złożył myśl wielką! W imię wspólnej doli,
Dłoń mu podawał w łańcuchu niewoli
Na pobratanie. Słuchaj! tyś związany!
Wspólne ci odtąd lzy, bóle, kajdany;
Wszystkich, najtwardszych wyroków osnowa,
Nędza, tułactwo — to twoja połowa! —

Dzieje, wspomnienia, przeszłości skarbnica,
Pieśni skrzydlatych, promienie księżycy,
Wspaniałość grodów, urodzajność łąn,
Zgliszcza, ruiny, pośpność kurhanu,
Głos naszych dzwonów, ewangelii słowa,
Skarby to nasze — to twoja połowa! —

Ukochać język i dochować wiary,
Podjąć naszego zbawienia ofiary;
Iść ręka w rękę, gdzie nowa budowa
Wzrość ma na gruzach — to twoja połowa!

Módlcie się dziatki! bo nadeszła chwila,
Gdzie nas opatrność światłem swem zasila.

.....

A choć są jeszcze dusze ścięte mrozem,
Serca, niemocy związane powrozem,
Choć boleść błądzi od chatki do chatki,
Módlcie się — bólów to może ostatki.

U wrót swych wiernie stojących na straży,
Choć walka złamie — przyszłość nie oskarży.

Gniezno.

Marya Kierska.

DWIE RADY.

Wszystko na świecie zdąża do celu. Droga do celu wiodąca, to postępek. Do postępu pobudzają i zachęcają przykłady i wzory, a nie uzasadnienie i przytoczenie powodów.

Swego czasu hasła upostaciowane poświęceniem się jednostek stały się wzorzystymi przykładami, które bezwiednie prowadziły masy do postępu.

Owo sławne u Greków:

„εις ολωνος αριστος, αμυνεσθαι περι πατρος“
(Ild. XII. 243).

— to wróżba najlepsza: ratować ojczyznę; — u Rzymian „głęboka wiara w bogów rzymskich, że są potężniejsi nad wszystkich innych;“ powtarzane przez żołnierzy Kromwella: „Bogu ufać i suchy proch mieć;“ owo zdanie Koranu: „Błogosławieństwo Boga nie przestanie spływać na grzywę wojowniczego rumaka aż do dnia sądu ostatecznego, a wojownikom, co podnosili miecz za sprawę Boga, otworzą się wielkieste podwoje i wnijdą do rajy na 40 lat przed innymi.“ — to hasła, które zagrzewały ludy i tłumy wojsk do zdobycia pożądanego celu. Co im dokonać wypadło, dokonali całą swą siłą, nie oddając się ani powątpiewaniu, ani rozważnym badaniom, któreby ich w postępie powstrzymywały były.

Tego rodzaju hasła skutkowały dopóki los bitwy jedynie rozstrzygał o dopięciu celu lub chybieniu jego. Dzisiaj hasła same nie wystarczają do postępu, gdyż walka o zdobycie celu toczy się nie tylko na krwawych polach bitwy, ale na wszystkich punktach, gdzie ludzie o różnych dążnościach spotykają się ze sobą.

Postępek wymaga w dzisiejszych czasach współdziałania nie tylko wielu ludzi — lecz niemal wszystkich. Luźna praca jednostek niezespolonych w całość odniesie bardzo ograniczone korzyści. Najsurowsze ukształtowanie się pojedynczych jednostek w stowarzyszenie, najsłabszy szczep, prowadzony choćby przez niedołęznego władzcę, zdziała zawsze więcej, niż luźne, choć silne jednostki.

Pierwszym więc warunkiem postępu i rozwoju jest zeszerogowanie się w towarzystwa.

Gdzie dwa społeczeństwa stykają się ze sobą i ścierają z powodu, że oba, lub przynajmniej jedno z nich sądzi, że drugie zawadza mu w postępie, to to z nich zwycięży, którego jednostki jednomyślnie i jednostajnie powiążą się w towarzystwa. Tak jak łańcuch jest tym silniejszy i pewniejszy, gdy ogniwa jego są jednolite, tak towarzystwa skuteczniej działać będą, jeżeli składać się będą z członków tą samą ożywionych myślą, którzy chętnie i składnie będą chcieli i umieli radą i czynem wzajemnie się wspierać i sobie dopomagać. Skutek działania więc będzie po tej stronie widoczny, gdzie dążności serca i rozumu wypływające z jednostek zestrzelą się, jak promienie słońca w ognisku soczewki, w jedno niejako uczucie, które zawładnie całym towarzystwem. Ta jedność jednakże tam się tylko pokaże, gdzie panuje istotna zgodność i harmonijność w rozumie i uczuciach zespolonych jednostek.

Biada społeczeństwu, które w starciu z innym, zamiast zgodnie występować, swarom się odda!

Postęp zaś pojedynczych jednostek zawisł w życiu od pewnej umiarkowanej energii t. j. od pewnego zespolenia dzielności ducha z wstrzemięźliwością i powściągliwością umysłu. Tak energia jak wstrzemięźliwość to dary przyrodzone. Harmonijne zespolenie obu darów w jedną całość, to wynik pracy nad sobą, pracy mozolnej i ciężkiej. Trudno jest zdobyć sobie umiarkowaną energią, trudniej jeszcze zachować ją w każdej chwili i na każdym miejscu. Ale kto zdobędzie znakomitą tę cnotę, ten posiędzie równocześnie wiele innych zalet jej nieodstępnych. Doświadczenia uczą nas, że z umiarkowaną energią idzie w parze estetyczny gust i wytrawny, trzeźwy a trafny sąd. Człowiek nie posiadający dobrego gustu, może do czasu roztropnie i mądrze sobie postępować — lecz w życiu jego nie obędzie się z pewnością bez wykroczeń, a nawet grubych błędów!

Gust estetyczny i sąd wytrawny wytwarzają w nas pewną szlachetną równowagę ducha, która nie da się ani chwilowym porywom, ani gwałtownemu naciskowi z zewnątrz wywieść z swego stanowiska, lecz czeka wytrwale aż cały potok wrażeń przepłynie i wycisnie w duszy zupełny, wyraźny obraz.

Ciągła porywczosć i popędliwość świadczy o braku i sądu i gustu dobrego. Sąd ludzi porywczych i popędliwych jest zawsze przedczesny i dla tego jednostronny, gdyż czując wiele, mało myślą i działają raczej pod wrażeniem chwili, niż pod wpływem głębszej rozważki. Zamiast dysputować wydają sąd, zamiast wyroku następuje potępienie. Obraz wrażeń doznanych jest u nich jakoby za mgłą ukryty — niejasny.

Zespolenie delikatnego zmysłu piękna z szlachetnym umiarkowaniem w obejściu z ludźmi jest zupełnie naturalnym, gdyż obie cnoty wypływają z jednego źródła i ząd też oddziałują wzajemnie na siebie. Kształcenie gustu wpływa na udoskonalenie sądu i odwrotnie, a obydwie dary tworzą najcenniejszą broń w ręku ludzi dążących do postępu.

W równy sposób jak estetyczny gust oddziaływa także na umiarkowanie sądu religia, która w ogóle i w szczególności jest niezbędnym warunkiem do trwałego szczęścia.

Tak gust estetyczny, wytworzony w jakimkolwiek bądź kierunku, jak wzniosłe zasady religii wywierają powściągliwy skutek, odwodząc ludzi, społeczeństwa i narody całe od pożądlivosti nadmiernego używania rozkoszy ziemskich. Ta to pożądlivosć bowiem jest główną sprawczynią, że tak jednostki jak całe społeczeństwa w popieszczonej gonitwie za majątkiem, blichtrzem i sławą podejmują wiele rzeczy, a to wiele źle wykonując, popadają ostatecznie w hańbę i ubóstwo.

Jeżeli na czele stowarzyszeń, prac społecznych i społeczeństwa całego przewodzą osoby uzbrojone w umiarkowaną energią, to jest to szczęściem dla nich, gdyż

poprowadzą je do prawdziwego postępu i zbliżą do pożądanego celu.

Wilda, dnia 8-go Sierpnia 1885.

Dr. Kuzstelan.

BEZ GRANIC.

Bóg wszystkim tworum swój kres położył —
I gwiazd miliony, które utworzył,
Popchnął do życia, trzyma na szali —
I kres im wskazał by nie szły dalej.
Ziemi bezmiernej, morza głębinie
Dał swoje prawa, póty nie zginie
Ani kropelka bez jego woli,
Póki jej Pan Bóg życia dozwoli. —
Wszystko w porządku, surowym ładzie
Rodzi się, żyje, aż ku zagładzie
Wszelchmocne słowo, wskaże je Pana —
Gdy przyjdzie chwila kresem wskazana.
Lecz jest istota, co nie zna granic,
Która na żadne zapory, na nic
Nigdy nie zważa, loty śmiałości
W przestrzeń się wznosi, uchodząc z ziemi,
Która świat cały ogarnąć zdoła —
Raz taka jasna, jak skroń anioła —
To znów groźna, jak burza, grzoty,
Rozdaje wojny, lzy, lub pieszczoty...
Odkrywa światy i przed tron Boga
Śmiało się wznosi — wie kędy droga
W przyszłe i przeszłe świata koleje
I jedną chwilę, stulecie, dzieje
Ogarnąć może, bez granic, bez końca —
Prędsza od wiatru, szybsza od słońca —
To myśl człowieka, którą ogarnie:
I nieba szczęścia, piekiel męczarnie!

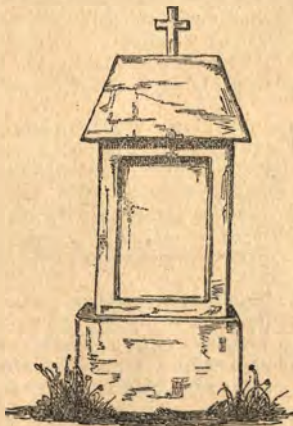
Marya Keler.

Czerniejewo, w Sierpniu 1885.

NAGROBEK.

Jest zwyczajem wznosił, że groby zmarłych otaczamy czią przynależną; bogaty stawia wspaniałe pomniki i nagrobki, ubogi skromny krzyż z napisem, lub jeżeli go nawet na to nie stać, okłada grób starannie darną i sadzi kwiatki. Smutne zaiste robi wrażenie grób opuszczony i całkiem zaniedbany — widać nie ma w pobliżu już rodziny, któraby pielęgnowaniem uchroniła go od powolnego zniszczenia i zapomnienia... lub może grób ten chowa zwłoki nieszczęsnego wygnańca, któremu los ciężki nie pozwolił spocząć między swemi i na własnej ziemi.

Grób takiego tułacza znajduje się w Schlippenbeil, miasteczku w Wschodnich Prusach, nie daleko od polskiej granicy leżącym, na pagórku Wallberg zwanym. Jeszcze do roku 1872 stał tam skromny, z cegieł zbudowany nagrobek, ozdobiony u góry krzyżem żelaznym, którego rysunek obok podajemy. Brak troskliwych rąk rodziny i czas zniszczył ten pomnik i dziś tylko resztki cegieł z fundamentu sterczą. Wkrótce i to zniknie i nie pozostanie śladu mogiły, mieszczącej w sobie szczątki żołnierza polskiego.



Leżą tu zwłoki księcia Józefa Giedrojcia. Walcząc za niepodległość ojczyzny w roku 1831 przeszedł granicę pruską z innymi oddziałami wojska polskiego, jako major 12 pułku ułanów, i dostał się na kwaterę do miasteczka Schlip-

penbeil wraz z 38 oficerami, 9 szeregowcami i 39 urzędnikami cywilnymi.

Księga kościelna tamtejsza podaje, że dnia 8 października 1831 roku umarł tam major 12-go pułku ułanów — w aktach magistratu wymieniony 13-ty pułk — księżę Józef Giedrońc w 60 roku życia w zapalenie płuc. Pogrzeb odbył się 10 października z ulicy Młyńskiej nr. 77. Najstarszy z znajdujących się tam oficerów, major sztabowy Wiktor Lubowski, przeznaczył na złożenie zwłok wspomniany pagórek, ponieważ oficerowie polscy będąc wyznania katolickiego, nie chcieli pochować towarzysza broni na luterskim, jedynym cmentarzu. Burmistrz ówczesny Beyer w odnośnych aktach zapisał: „nie miałem żadnej racji temu przeszkodzić, a i tutejsi duchowni nie czynili żadnych trudności; przeciwnie sądzę, że zostawić wypada wszelką swobodę w tym względzie oficerom polskim.“

Oficerowie sztabowi Wiktor Lubowski, Grabowski, Józef Zawierski, Ignacy Krzywobłocki i Edmund Korabiewicz kazali postawić skromny ów nagrobek, jako dowód miłości i przywiązania do towarzysza, który zasłaniając swą pierśią ojczystą ziemię, nie znalazł w niej ostatniego odpoczynku.

Zmarły pozostawił według własnego zeznania w kraju żonę i troje dzieci. Przypuścić należy, że członkowie rodziny jego jeszcze żyją, a nie wiedzą, gdzie przodek ich umarł i pochowany. Żałując, że nieznanym mi był opisany fakt przed trzema laty, kiedym poznał szambelana księcia Giedrojcia z Litwy w Karlsbadzie, któryby najlepszych mógł dostarczyć informacji, należąc bez wątpienia do bliższej lub dalszej rodziny; — mam jednak nadzieję, że publikacja niniejsza i na tej drodze dopnie swego celu, uchroni grób od zapomnienia, polecając staranie najprzód rodzinie, a gdyby ta się nie zgłosiła... rodakom. Pośrednictwo i pomoc chętnie ofiaruję.

Lubawa w sierpniu 1885.

Dr. Rzepnikowski.

Konserwatyzm i Postęp, czyli Liberalizm.

Aforyzmy polityczne.

Point de véritable progrès sans conservation,
point de véritable conservation sans progrès.

Cieszkowski, „De la pairie.“ pag. 95.

L'amour du passé est bien beau, sans doute,
mais la passion de l'avenir est plus belle encore.

Cieszkowski, „De l'aristocratie moderne.“ pag. 143.

W znakomitę dziele swém „Ateny“ mówi Wojciech Dzieduszycki, opisując konserwatystów starożytnej Hellady, że byli jak wszyscy konserwatysty pesymistami. „Leży to już w samej naturze rzeczy. Konserwatystami bywają ludzie, którym chodzi o to, by zachować to co było i to co uchodzi. A że z mianą wiecześnie światu prawem, więc konserwatysty mogą co najwięcej na chwilę zmianę powstrzymać. Świat uchodzi im wiecznie z rąk, i oni wiecznie mówią, że świat się psuje. Oni po wszystkie wieki skazani na to, by ponosić ciężkie klęski rzadkimi tylko i polowicznymi zwycięstwami osłodzone.

Przeciwnie im stronnictwo (postępowe) różowo w świat patrzy. Zwolennicy zmiany, przyzwyczajeni do zwycięstwa. Dla nich przeszłość i terażniejszość przygotowaniem tylko do bliskiej i koniecznej przyszłości, w której ich ideał stanie się rzeczywistością. Gdy zwyciężą, przez krótką chwilę ucieszą się, a potem zaraz staną się smutnymi konserwatystami. Terażniejszość nigdy w przyszłość a zawsze w przeszłość obrócić się musi, i każdorazowi zwycięzcy muszą koniecznie wkrótce stać się zwycięzonymi.“

...W powszechności dzielą się ludzie z przyzwyczajenia, z przekonania, z powodu pozycji socjalnej itd. na dwa obozy, jednych, co przeważnie wtył patrzą — i to są konserwatysty, a takich, co naprzód wzrokiem sięgają — to jest postępców. Między konserwatystami trzeba rozróżnić tych, (t. j. wielki ogół), którzy z miejsca, do którego się zaszło, są zadowoleni, więc dalej ruszyć się nie chcą, — i garstkę takich, którzy utrzymują, że już za daleko się zaszło, że trzeba nawrócić do dawniejszego stanowiska — i to są reakcyoniści, partya niezmiernie sprężysta, mająca wśród siebie intryganckie głowy.

Pomijając tedy reakcyę — o samym konserwatyzmie trzeba wyznać, iż leży w naturze rzeczy i jest potrzebny jako vis inertiae,

to jest siła bierna, która w sobie nie ma bodźca do akcji i dopiero czynną zostaje, gdy ze spokoju swego wyrwana zostanie. Dyspozytą konserwatysty jest: używać w spokoju darów bożych i pewna duchowa kontemplacja. Ztąd wiara, rodzinne uczucia a nawet fantazyja są czynne u konserwatysty, lecz analizujący i kombinujący rozum nie ma podniety, bo kto zadowolony ze świata, ten nie bada pierwiastków i natury rzeczy, co właśnie najulubieńszą czynnością jest tych, co nie są kontenci ze status quo i zmiany żądają, to jest wszystkich liberalistów. Naturalnie, że konserwatyzm w tych warstwach ludu panuje, które na utrzymaniu tego, co jest, byt swój opierają, więc w szlachcie i w duchowieństwie. Gdzie szlachta lub kościół straciły swe wpływy, tam też konserwatyzm już nie potrafi się utrzymać. Zdarza się, że przyciśnięty okolicznościami konserwatyzm, rozpoczyna też sam reformować, lecz niezgrabna jego ręka i brak sił produktywnych skoślawiają jego reformy, które stają się raczej restauracyami, to jest przywracaniem tego, co czas już osądził i wywrócił.

... Liberalizm jest dzieckiem rewolucyjnej pierwszej francuzkiej, czynnością jego jest uwalniać z więzów (feodalnych i całego starego porządku). Pozytywnej zasady niema w nim wcale, i to jest jego potępieniem, bo wywracać zawady na drodze, wyzwalać skrepowane stosunki, jest bardzo chwalebna i użyteczna czynnością, lecz potrzeba mieć stały program i pewne niewzruszone zasady przy takiej czynności. Wolność wypisana na sztandarze liberalizmu jest miłym i pożądanym dźwiękiem i dla tego to masy garną się do niego. Ztąd taka popularność go spotyka, ale niestety on tylko rozwiązywać umie a nie zawiązywać, więc po chwili radości, następuje rozczarowanie.

Programu niema w liberalizmie; agitować i demonstrować to całe jego zatrudnienie. Czynów brak, ale pełno frazesów. Z liberalizmem żądza popularności jest połączona, która jest epidemią najszkodliwszą.

... Ruch wstrzymujący jest równie potrzebny jak ruch poruszający. Ztąd z góry więc wyrok wydać można, że wołanie: bij, zabij! czy to na konserwatystów czy liberalistów, jest nonsensem, bo mimo wad, które oba stronnictwa mają, oba są dziś i na bardzo długo jeszcze w polityce potrzebne. Muszą więc być konserwatysty (reakcyonarze zawsze niepotrzebni) i chociaż im niekiedy rozum odmawiają (Mill), przyznać trzeba, że liberalni, którzy także są potrzebni, bynajmniej z rozumem nie słyną, bo podejmują zwykle kampanię bez oznaczonego celu. Powiedźmy: albo meliores, — albo raczej, że to rzecz przypadkowa, w którym obozie danego czasu przewaga inteligencji się znajduje. Co zaś do charakteru, to niezaprzeczenie konserwatyzm odznacza się większą stałością i wiarą w Opatrzność Boską, a zatem wart jest większego zaufania, niż liberalizm, jeżeli w szturmie burzenia i z religią zrywa. Ale konserwatyzm jest egoistyczny, nie ofiarny a głównie brak mu zdrowej inicjatywy i odwagi. Ztąd to pochodzi, że zawsze ulega bądź to reakcyi z własnego łona powstałej, bądź naciskowi (teroryzmowi) partyi liberalnej. Przez brak stanowczości, nie zaś rozum, tłumaczy się, dla czego u nas t. z. biali nie wstrzymali powstania 1863 r. ani poprzednich, chociaż wszystkich byli przeciwnikami, a przez to stali się bardziej winnymi, niż ci, którzy z przekonania, choć bez dostatecznej odwagi, powstanie podnieśli.

... Czy Polak ma być konserwatystą czy liberalnym? — A więc cóż chcesz zachować, miły konserwatysto? Czy wiesz też dokładnie co wymawiasz, mieniąc się z przechwałką dziś, że jesteś konserwatystą? Rozumiem, że język, religiję, obyczaje chcesz zachować, bo to i każdy Polak czyni, jakiegobądź teoretycznoby był zdania w polityce, — z wyjątkiem chyba bardzo rzadkich, niedowarzonych socjalistów. Cóż więcej z obecnego położenia zachowania godnym uznajesz? A więc naprzód, czy jesteś za zachowaniem na wieki położenia politycznego, czy też aspirujesz (w myśli, rozumie się, bez narażania się na kodeksa karne) do powrotu do dawnego państwa polskiego? A jeżeli to ostatnie, — do jakiego okresu historii nadszłej, czy do starej szlacheckiej republiki, liberum veto itd.? — czy też do tej Polski testamentowej, zreformowanej konstytucyą 3 maja, która dziś także jest prześcigniętą? — Zbyt ważne to są pytania, bo z odpowiedzi na nie może wynikać, że wcale konserwatystą nie jesteś, albo że jesteś reakcyonarzem, utopistą. Jakże to niebezpiecznie Polakowi przyznawać się tak lekko bez objaśnień: jestem konserwatystą!! Zła to firma, która sama nic nie tłumaczy, tylko zgadywać się każe, a pod którą dużo przeszliżnąć się może. Liberalny natomiast Polak o tyle jaśniej swe oblicze odkrywa, że wątpliwości nie zostawia, iż ze stosunkami politycznymi, w jakich żyje, się nie zgadza.

... W narodzie, który tak dawno z przeciwnościami losu walczył, jedna jedyna myśl tylko dominująca go zajmuje, to jest Ojczyzna. Ztąd też cała energia i zasób liberalności w Polsce ku jednemu temu kierunkowi Ojczyzny był skierowany. Ztąd to partya liberalna była inicjatorką powstań. Gdy atoli cały naród po 1863 roku się przekonał, że droga, którą szli liberalni, to jest: mocą odbierać, co nam moc wydarła, — jest zgubna, skoro consensus omnium postanowiono, stanowczo zaniechać zbrojnego dobijania się wolności, wtedy liberalna partya z całą szczerością abdykowała z tego jej przywileju powstańczego. Każdy liberalno myślący Polak jest odąd zarazem tak dalece konserwatystą, jak być potrzeba, i ma w swym programie zachowanie wszystkiego tego z przeszłości, co zachowania jest godnym, więc naturalnie języka, religii, obyczajów. W praktyce zatem jest dziś obojętną rzeczą, czy prawy konserwatysta, czy

liberał w sprawach naszych publicznych przewodzi, teoretycznie zostaje jednak między temi stronnictwami ta różnica, że stronnictwo liberalne nie aspiruje do dawnej Polski, lecz chce Polski zgodnej z myślą postępową całego świata, Polski w cywilizacji zrównanej z resztą Europy.

Władysław Kosiński.

Copoty - Sopoty - Západy.

Czemuż tak urocze miejsce, jakim są kąpiele morskie w Copotach, nazywamy tak mało uroczem mianem? Copoty!! Jakoś to brzmi niezrozumiale, po barbarzyńsku, ani po polsku ani po niemiecku. Nazwa ta utarła się u nas z niemieckiej pisowni „Zoppot“, a w niemieckim z wymawia się jak nasze *c*.

Nie ulega wątpliwości, że nazwa niemiecka jest przejawem dawnej nazwy słowiańskiej, kaszubskiej, która dla ucha polskiego brzmieć musiała zrozumiałej, przyjemniej. Dla tego też od niejakiego czasu wszyscy autorowie korespondencyjni kąpielowych, chwalebny pobudzeni puryzmem, silą się na odtworzenie prawdziwej nazwy pierwotnej i piszą zamiast Copoty — Sobota, Soboty, nawet Sobótka. Nazwę tę zadekretowali oni bez dowodu, że takim właśnie było miano starodawne tamtejszej miejscowości. Trudno też byłoby zapewne o dowód, a prawdopodobność niejaką chyba ztąd wywieśćby można, że ponad Copotami jest pełno pagórków leśnych, na których się ongi sobótki palić mogły. Jednakże chrzest nowoczesny, używający tak sympatycznego miana, nie pozostał bez wpływu nawet na naukę. Już S. Zarański (Geogr. Im. Słow.) pisze „Zoppot, Soboty“, nawet dr. Kętrzyński 1878 (Nazw. miejsc.) w r. 1879 podaje „Zoppot-Sopoty (al. Sobótka, Copoty itp.)“, a God. Ossowski na mapie geol. Prus Zachodnich i Wschodnich (r. 1880) napisał „Sobótka.“ W spisie kaszubskich miejscowości, ułożonym przez Wojkasena (Skorb), jest wprawdzie „Sobota“ i „Sopot“, ale te oznaczają dwie różne miejscowości powiatu grudziądzkiego. Naszych Copot autor wcale nie wymienił. Obiedwie miejscowości powiatu grudziądzkiego podaje i Kętrzyński w formie Sapott, Sapoty.

Bawiąc tego lata kilka dni w Copotach, skorzystałem z nadarzonej sposobności, żeby zebrać nieco naukowego materiału, który się przyczynić może do wyjaśnienia zagadkowej nazwy.

Gwary ludowej, a zatem bardzo ważnego czynnika, na prędko zbadać nie mogłem, bo trudno dziś już na miejscu o prawdziwych autochtonów (analfabetów), którymby kultura nie zepsuła rodzinnego języka. Dziad 80-letni (jak twierdził) w Oliwie, wymawiał dobitnie: „Sopoty.“ Więc uzyskawszy bardzo uprzejme pozwolenie od miejscowej władzy kościelnej, zająłem do ksiąg parafialnych w Oliwie, sięgających końca XVI wieku. W r. 1593 pisano Soppot. W r. 1597 Zoppot i pisownia przez *Z* utrzymuje się przeważnie mniej więcej do połowy XVII wieku, jednakże pod r. 1624 i 1639 jest znów Soppot a w r. 1643 Sopat, później zaś a mianowicie od roku 1671 prawie bez wyjątku Soppot, aż w r. 1824 (a więc w rok po założeniu kąpeli) zjawia się *Zoppad*. Stwierdziłem następnie, że starsza mapografia używa formy *Zappot*. Tak ma w r. 1734 mapa przedstawiająca oblężenie Gdańska przez Moskali. Tak w roku 1788 jest na mapie F. A. Schraembl'a, a również na mapie nowszej daty Fleminga.

Że początkowe *Z* i *S* oznaczają jedno brzmienie i to właśnie *Z*, dowodzi nazwa sąsiedniej miejscowości *Saspa*, którą księgi kościelne przez wszystkie wieki piszą: Saspa, Sasp, a Wojkasen pisze *Zaspa*, co zatem niewątpliwie odpowiada polskiemu *zaspa* a oznacza miejscowość, zbudowaną na niskim wybrzeżu morskim, usypanem jego piaskami. Od Gdańska ciągną się w dużym półkolu w niejakim oddaleniu od morza wzgórza lesiste, które dopiero tuż za Copotami w Worlimdworze (Adlershorst) przytykają

do samego morza stromem urwiskiem. Wzgórza te są oczywiście dawnym wybrzeżem morskim, a dolina po części usypiskiem morza, po części opadliskiem gór. Im bliżej Gdańska, Oliwy i morza, tém piaszczystszą jest ta równina. Tam leży nie tylko miejscowość i jezioro Zaspa, ale mówią, że wszystkie wioski bliżej morza położone na wschód od Copot (Glettkau-Głodków 1597, Broesen-Brzeźno 1594), leżą „na zaspie“, na morskim zasypie (Nehring.) Przytaczam to dla przeciwieństwa, które się zaraz wykaże. Wyjechawszy bowiem na morze, z kąd najlepiej objąć lądową panoramę, spostrzega się wnet, że jeśli okolica nadmorska od Gdańska do Copot mogła być nazwana Zaspą, to jest dość prawdopodobnem, że gwara ludowa mogła okolicę dalszą od Copot ku Worlimdworowi nazwać Západem, bo tu już się wzgórza zupełnie przybliżyły do morza a główki wysuniętych ramion i cały brzeg wywyższony pousuwały się ku morzu i do morza, tworząc piaszczyste zwały (w Karpatach zleby), z których gdziegdzie wyziera dyluwialna glina, dziś skrzętnie przerabiana na cegłę. Cała górna część Copot leży jakoby na tarasie usuniętym ku morzu a wszakże przez parowę tam i most wiszący zbudować musiano. Im dalej za Copotami aż ku Oksywiu, tém większe widać z morza „zapady“, które się od Copot zaczynają. Jest tedy prawdopodobnem, że nazwa miejscowości, zaznaczającej przeciwieństwo do zasp, brzmiała pierwotnie západ lub z kaszubska Zopot.

Głosownia języka kaszubskiego zdaje się nie być w sprzeczności z naszym wywodem. Obydwa *a* w polskim wyrazie západ muszą być w kaszubskim pochylone na *o*, kiedy już w polskim należą do rodzaju pochylonych (ob. Hilferdniga, Stremlera i księdza Malinowskiego.) To też w Skorbje Wojkasena czytamy *zochod* zam. *zachod*, *zokłod* zam. *zakład* itp. Co do końcowego *d* i *t*, to Konopat pochodzący przeciw niewątpliwie od padania koni, pisze się po kaszubsku zawsze przez *t*. Może zresztą i Sopotin (Zapadnin), wieś położona ku urwistym brzegom Wisły w pow. świeckim, służyć może za analogią do tworzenia się na Pomorzu tej nazwy od zapadających wyżyn.

Zachodzi jeszcze pytanie, czy miejscowość nosiła pierwotnie nazwę liczby pojedynczej czy też mnogiej. Księgi kościelne piszą zawsze Sopot, Zopot, a gwara ludowa, jeśli wierzyć mamy dziadowi oliwskiemu, używa liczby mnogiej: Sopoty. Być może jednak, że łacińskie *ex Sopot*, bo w tej tylko formie nazwę znajdujemy, oznacza także liczbę mnogą formy ludowej. Zresztą zapewne i tu używano raz liczby mnogiej, raz pojedynczej, jak się używało Saspa i Sasp (1671) a za dzisiejsze Pelonken, Polanki (1608), Polanka (1698.) Nie „Pielonki“, jak pisze Ossowski.

Koniec końców utarte Copoty, korespondencyjne Soboty a kaszubskie Sopoty, wedle powyższych wywodów rozumieć należałoby jako Západy. Czy tak ktoś pisząc zechce, to rzecz inna. Nauka ma swoje prawa, ale — usus tyrannus. Mojem zdaniem powinno się pisać wedle żywej jeszcze mowy: Sopoty.

Dr. Władysław Łebski.

CHYBIONA WYPRAWA.

Ramotka z czasów szkólnych w roku 1863

przez

Ignacego Sz.

Było to w pierwszej połowie czerwca 1863 roku.

Poznań, po pierwszych wrażeniach z początku roku, które nim wstrząsnęły do głębi, przybrał postać ponuro spokojną. Wczesna roku onego wiosna lała wraz z bujną zielonością i wonią kwieciami wzburzone i zbolale serca balsam otuchy i spokoju i napawała nadzieją, że z krwawego siewu, jakiś przecie plon zejdzie...

W nas, młodzi szkólni, wrzało ustawnie jak w kotłach. Każdą wiadomość z pola bitew chwytało i omawiano po swojemu. Co tylko zdolne było do dźwigania jakiegokolwiek broni i znoszenia trudów obozowych, opuściło już w pierwszych tygodniach powstania Poznań — reszta zrywała się, by niebawem podążyć za drugimi. Przerzedziły się znacznie ławy w klasach najwyższych — ulatniał się atoli również tu i owdzie co silniejszy i wyroślszy terycaner a nawet kwartaner. Pozostały w szkole niedorostki.

Ponieważ komitet organizujący wyprawy zbiorowe nieuwzględniał nas, malców, przeto zrywaliśmy się na własną rękę — w pojedynkę, najczęściej zaś w dwójkę lub trójkę, w nadziei, że dobiwszy do granicy i dotarłszy do jakiego oddziału powstańczego, mimo młode lata — spotęgowaną odwagą i dzielnością zyskamy uznanie i — wawrzyny.

Na wyprawy takie obierano zwykle wieczór sobotni lub niedzielę, a przedsiębrano je, acz nieraz dziecinnie, ale z dobrą wiarą i szczerem przejęciem się sprawą.

Co sobotę mógłś naonczas na nabożeństwie nieszpornym w kościele poddominikańskim, widzieć kilku z naszego grona, zamierzających opuścić niebawem dom i rodzęństwo i wyruszyć na noc lub dnia następnego do powstania — a spowiadających się z skruchą przed dziś już śp. księdzem Stammem lub śp. ks. Neumanem. Żeśmy właśnie ku temu te dni wolne od obowiązków szkolnych obierali — był to instynkt dziecinny — pewne warowanie sobie drogi odwrotu, by w razie niedotarcia do celu lub nieprzewidzianej przeszkody, z najmniejszą stratą czasu i bez rozgłosu w poniedziałek znów zasięść na ławie szkólni i — odczekać soboty lub niedzieli następnej ku nową wyprawie.

Rzecz prawie dziwna, iż spotęgowana gorączka nie demoralizowała nas i nie odrywała od nauki. Każdy zdawał się nawet siły i czuł, iż spełniając obowiązki szkolne, pracuje dla kraju. — Pamiętam jak dziś, iż przyszedłszy w sobotę nad wieczorem pożegnać się z współuczniem, który tegoż dnia nocą wyruszyć miał do powstania, zastałem go siedzącego najspokojniej nad lekcjami poniedziałkowymi.

— Czy niepójdziesz? — cóż tak jeszcze ślęczysz nad lekcjami? — zapytałem nieco zdziwiony.

— A gdyby nam się nieudało, jak to często bywa? — odrzekł tamten — wróciłbym w poniedziałek do szkoły, a nie podobna wracać bez lekcji!...

Wyruszył rzeczywiście tejże jeszcze nocy — wyprawa się udała — i po kilku tygodniach doszła nas najpewniejsza wiadomość o chlubnej jego śmierci...

W pierwszych dniach czerwca wreszcie dojrzał i we mnie, czternastoletnim wówczas terycanerze, zamiar podążenia za drugimi. Zmówiło się nas troje niedorostków do wspólnej wyprawy. Za sprzedaną za bezcen żydkom zbyteczną garderobę oraz książek kilka u starego Mojżesza, ponabywaliśmy równe, dość pokaźne noże, rzeczywiście strzelające pistolety, przedewszystkiem zaś — splaszczone do wódki manierki — ów najniezbędniejszy, zdaniem naszym, rekwizyt żołnierza-powstańca. Zaopatrywać się w cobądź więcej, mianowicie w środki żywności lub nawet pieniądze na drogę, uważaliśmy za rzecz zgoła zbyteczną, spodziewając wyżywić się w drodze rekwirowaniem żywności bezpłatnem, w razie potrzeby nawet przymusowem.

W niedzielę rano po nabożeństwie gimnazjalnem, wyruszyliśmy przez Chwaliszewo i Śródkę, bramę Warszawską — z bijącym nieco sercem, ale i z otuchą i zapalem oraz pełnemi manierkami.

Dzień był nadzwyczaj pogodny — pogoda prawdziwie niedzielna. Przedpołudniowa cisza uroczysta w połączeniu z niezwykłym nastrojem ducha upajała nas i unosiła. To też mimo wzmagającego się coraz to więcej upału, kroczyliśmy początkowo rażno i krzepko. Po kilku atoli

godzinach upał oraz znużenie kilkumilowym już marszem coraz to więcej zaczęły dawać się nam w znaki. Mające nas krzepić na ciełe i duchu manierki nasze, wypróżniły się, a zbytni użytek tak niezwykłego napoju sprawił nas tylko w rodzaj odurzenia a nie wywarł cudownych skutków, jakich się po nim pierwotnie spodziewaliśmy. Osłabieni, spragnieni a nadewszystko głodni — przebywszy mil kilka, postanowiliśmy wreszcie chwycić się środka rekwizycji i wstąpić gdziekolwiek, by się pokrzepić i wypocząć.

Dzień chylił się ku wieczorowi, gdyśmy się zbliżyli do wsi leżącej nad drogą. Nienamysłając się długo wstąpiliśmy do pierwszego domu.

Była to szkoła.

Zastaliśmy samego pana nauczyciela, osobistość już niemłodą, na pierwsze wejście niezwykle poważną, a w dodatku — zgryźliwą i szorstką. Na grzeczne i tchnące pewnością siebie przywitanie nasze, nie ruszając się z miejsca, ledwie nam odpowiedzieć raczył. To też obmyślane i ułożone przez nas wezwanie do godnego przyjęcia nas i spełnienia obowiązku obywatelskiego, jakie wystósować zamierzaliśmy, a które w razie potrzeby poprzeć mieliśmy i groźbą — rozwiało się jakoś, i zaledwie któryś śmielszy z nas, jękając się, wy dobył zapytanie:

— Daleko jeszcze do — W...?

W miejsce odpowiedzi zmierzył nas pan pedagog przenikliwie i badawczo od stóp do głowy i osnuł sobie widocznie wystarczający sąd o nas i o zamiarach naszych — do czego, dodajmy nawiasem, w stronach onych w roku 1863, zbyt wielkiej przenikliwości nawet nie było potrzeba. — Niepytając nas o szczegóły, rzekł z wyrzutem, tonem prawie opryskliwym i szorstkim:

— Potrzebna wam to? — jesteście mali i słabi, ani niedojdziecie do granicy — a z resztą co tam po was? Lepiejbyście w domu siedzieli i uczyli się!...

Apostrofa ta, acz do podobnych byliśmy malcy wnczas dość przywykli w domu, lecz na jaką tutaj już zgoła nie byliśmy przygotowani, zbiła nas do reszty z tropu, aczkolwiek była nam teraz, nad miarę zmęczonym i osłabionym, zrozumiałszą jak kiedykolwiek. — Staliśmy tak chwilę, milcząc i namyślając się co odpowiedzieć i co począć. Nogi trzęsły się pod nami z utrudzenia i słabości — okrutnik zdawał się paść oplakany naszym stanem, nie kwapiąc się jakoś bynajmniej do przyjęcia godniejszego. Spoglądaliśmy po sobie, pytając się niejako nawzajem badawczym wzrokiem, czy wynieść się natychmiast i ukarać nieproszonego doradcę milczeniem i wzgardą, czy też stawić groźnie czoło i pokazać mu, jak niebezpieczną jest zadzierać — z powstańcami.

Z wątpliwego położenia wy dobył nas wreszcie sam pan nauczyciel, który teraz dopiero powstawszy z siedzenia i zbliżywszy się do nas, rzekł już nieco poufalej:

— Nie wątpię, iż macie chęci jak najlepsze, ale do granicy jeszcze daleko — a tu żandarmów i wojska tyle, iż trudno przypuścić by wam, niedoświadczonym, przeprawa udać się mogła. Schwycą was — poturbują — na nic się niezdacie — a nawet do szkoły powrócić wam potem nie będzie wolno; radzę wam więc szczerze wracać natychmiast — pokąd czas jeszcze!

Żle już, czy dobrze — odrzekł wreszcie któryś z nas — ale do domu powracać niemyślimy a nawet niemożemy. Ucieczkę naszą jutro rano, skoro się do klasy niestawimy — spostrzegą wszyscy — cały Poznań będzie już o niej widział. — Zbyt wielkie widocznie mieliśmy o sobie rozsunienie.

— Gdyby tak wrócić można przed ranem — aleć to niepodobna, a zresztą — o tem ani myślimy... dodał drugi, zwracając uwagę tę równie do towarzyszy, jak i do gospodarza.

Odpowiedzi nasze pobily widocznie nudnego gospodarza, gdyż przekonany najwyraźniej o ich słuszności nie mówiąc już ani słowa odwrócił się od nas ku oknu,

przez które wyglądając, stał chwilę w zamyśleniu. — Nagle, jakby mu myśl jakaś szczęśliwa przyszła do głowy, zwrócił się uśmiechnięty ku nam i zapytał żywo i zgoła uprzejmie:

— A zapomniałem! — Głodniście?

— I bardzo! — odpowiedziały chórem trzy gardła.

— Zaraz przyniosę cobądź — rzekł odmieniony jakby różczką czarodziejską. — Ale wypadnie nam gospodarzyć sobie samym, gdyż żona moja wyszła wraz z dziećmi do pani ekonomowej. Obiecałem przed kolacją pójść po nią, choć wam głodnym niepodobna czekać tak długo.

Wyszedł i wrócił niebawem z sporym garnkiem mleka, chlebem i masłem, które już oczyma pochłaniailiśmy.

Zastawa i przysposobienia do stołu były krótkie i proste — jak dla powstańców. Zachęciwszy nas jak najuprzejmiej do spożycia tymczasem tego, co podał, gospodarz nasz pogawędził z nami, ciesząc się wilczym naszym apetytem, poczem przypominając, iż przyrzekł był wstąpić na chwilę po żonę i dzieci „do dworu“ i obiecując wrócić niebawem, wezwał nas do czekania póki niepowróci, ostrzegł przed niezliczonymi niebezpieczeństwami, grożącymi w tej okolicy nad wieczorem — gdybyśmy bez jego bliższych wskazówek w dalszą drogę wyruszyć śmieli i dodał, wychodząc:

— Przyprowadzę wam kogoś, który wam może wyprawę ułatwi i zapewno przewiezie aż do samego obozu.

Pozostawszy sami i posiliwszy się należycie, odyskaliśmy humor, ciesząc się z tak gładkiego rezultatu pierwszej naszej rekwizycji. Nakazany nam wypoczynek był nam wielce pożądany a obiecane przez gospodarza ułatwienie dalszej wyprawy, uśmiechało nam się tem bardziej, o ile iż w niebezpieczeństwa, jakimi nam groził, wierzyliśmy aż nadto.

Nieza długo wrócił też nasz gospodarz, wprowadzając z sobą do pokoju, wesołego i krzepkiego, acz już nieco szpakowatego jegomości z wąsem zawieszonym i twarzą od słońca ogorzalą, który spostrzegłszy nas, w głos się śmiać zaczął i przywitał z nami jak najserdeczniej.

— Przedstawiam wam — odezwał się nasz gospodarz — pana W..., do którego proszę mieć zaufanie nieograniczone; należy bowiem do komitetu i trudni się ułatwianiem wypraw do obozu. — Winniśmy mu przeto wszyscy bezwarunkowe posłuszeństwo...

Skloniliśmy się z uszanowaniem urzędnikowi organizacji narodowej, który też niebawem zasiadłszy przy nas, dobroduszenie i jak najpoufalej z nami rozprawiać zaczął, żartując i śmiejąc się serdecznie, czem nas od razu dla siebie zobowiązał. Ujęło nas wielce i to, iż zacny pan W... ani słówkiem zamiaru naszego nie tłumił i nie ganił...

To też w chwil kilka z zacnym urzędnikiem komitetu byliśmy już w najpoufalszej i najlepszej komitywie a ufnosć i szacunek jakie doń powzięliśmy, przeszedł w uwielbienie, gdy, korzystając z chwili, w której gospodarz nasz z pokoju się wysunął — skinął na nas tajemniczo i przykładając rękę do ust — by nikt niepotrzebny tego niepodłuchał — oznajmił nam półgłosem:

— Dobrzeście trafili — składa się to dla was znakomicie: z tutejszego dworu wyprawiam dziś właśnie kilku wozami transport broni, żywności i ubioru do obozu. Zajedziecie aż na miejsce, niepotrzebując iść pieszo ni kroku... Tylko sza!... nic nie mówić i czynić co każę. — Sam zresztą jadę z wami.

Spojrzeliliśmy z uwielbieniem i wdzięcznością wszyscy najpierw na pana W..., poczem po sobie i — niepytaliśmy już o nic więcej.

Tymczasem wszedł gospodarz nasz, wnosząc sporą butelkę, którą wraz z kieliszkami postawił przed nami.

— Pijcie, wiara, na apetyt, zanim wniosą kolację! — Najczystsza to „obozówka“, do której w drodze już przy-

zwyczać wam się należy, bo nie żołnierz to, komu obozówka niesmakuje!

Któżby z nas w ówczas na takie wezwanie nie był pił obozówki! To też mimo, iż wypróżnione manierki nasze dotąd nam jeszcze sprawiały zawrot, piliśmy z obozówki — by pokazać, że sprostamy obozówce — zwłaszcza, iż i gospodarz uprzejmy napił się jej do nas i niezrównany urzędnik komitetu, któremu posłuszeństwo ślubowaliśmy — przypijał do każdego z nas, bodaj czy nie potrójnym kieliszkiem. Pan W... w oczach naszych okazał się i tutaj prawdziwą wielkością — pił obozówkę jak wodę — nie dziw! — stykał się zapewno często z obozem...

Przy kolacy, którą zacna pani nauczycielowa wnieść kazała, daliśmy raz jeszcze dowody równie nieustraszonego żołnierskiego apetytu, przyczem, rozumie się, nie szczędziliśmy nieopuszczającej nas na chwilę obozówki.

Tymczasem pan W..., którego obowiązek wzywał na dziedziniec dominialny, by wydać tam ostateczne dyspozycje do wyprawy, mającej wyruszyć, skoro tylko zmrok zapadnie — opuścił nas, napiwszy się do nas kilkakrotnie przy rozstaniu i obiecawszy łaskawie przyjść po nas osobiście, gdy czas do wsiadania nadejdzie. — Zostaliśmy sami z gospodarzem i nieodstępną obozówką...

W głowach zaczęło się nam coraz to więcej rozjaśniać — duchem widzieliśmy się już w obozie — wśród szcęgów broni i wrzawy wojennej — krzyczeliśmy — ścisnęli się nawzajem — płakali z radości — oblewając szczęście nasze wciąż rzęsiście obozówką, której nam gospodarz nie skąpił.

W prawdziwym już upojeniu — spędziliśmy resztę wieczoru. Na dworze zmrok już zapadł zupełny.

Wszedł wreszcie pan W..., oznajmując nam poważnie, iż wszystko gotowe a schwyciwszy kieliszek i nakazawszy nam spełnić, nie wiem już ile — „na udanie się“ — wezwał, byśmy pospieszyli za nim.

Wyszliśmy; — na nogach trudno już nam się było utrzymać. — Piękna, pogodna noc czerwcową zdawała nam się czarną i ciemną. — Trudy dnia, doznane w nim wrażenia — nadewszystko zaś obozówka, wprawiała w senność, której słabo tylko opierać się zdołaliśmy.

Raczej wleczeni, jak prowadzeni przez naszych szanownych opiekunów po ciemnej i nieznannej nam drodze wiodącej do dworu, stanęliśmy wreszcie u celu.

Wszedłszy na dziedziniec dworski, zastaliśmy rzeczywiście gotowe już zaprzęgi i wozy ciężko jakoś i wysoko naładowane — ruch — bieganie — migające tu i ówdzie latarki — rzenie koni — nawoływanie ludzi; poznawaliśmy jeszcze niekiedy gromki głos pana W..., około którego rzeczywiście wszystko się obracało i który widocznie był duszą całej wyprawy. — Lubo szczegółów rozpoznać — słów i rozkazów zrozumieć niezdolaliśmy — przecież wszystko znajdowaliśmy naturalnem i zrozumiałem — przytem wspaniałem — wielkiem. — Wszystko wzbudzało tu nasz podziw i uwielbienie — jako przeznaczone do wielkich zadań i celów. — Konie i ludzie wyrosły w oczach naszych w fantastycznych olbrzymów — a dopiero ogromne one wozy — obarczone Bóg wie jakimi potrzebami wojennymi — oświetlane wśród cieni nocnych światłem migającej tu i ówdzie latarki, zdawały się wyraźnie piętrzyć ku niebu...

Wydano ostateczny rozkaz do wsiadania. Wciągnięto nas — nie pomnę już, czy po drabinach, czy innym sposobem — każdego z osobna na inny wóz — zapewno by nas lepiej ukryć. — Pamiętam tylko jeszcze, iż niestrudzony pan W..., który był przy wszystkim i wszędzie — kazał nas ułożyć i okryć jak najszczelniej i polecił surowo i pod karą — każdemu z nas w ostatniej jeszcze chwili — nieruszać się wśród drogi, nieukazywać nawet głowy, niepytać o nic, by sprawy całej nie narazić na zgubę. — O ile w stanie naszym sądzić jeszcze zdołaliśmy — i ten nakaz przezornego organiza-

tora wydał nam się słusznym i mądrym — aczkolwiek był już zgoła zbyt, gdyż każdy z nas, nie rzekłszy już ni słowa, spoczął, jak go ułożono — szczęśliwy, iż wreszcie nadarzyła mu się sposobność pofolgowania upragnionemu snu, któremu dłużej nie podobna było się opierać... Zasnęliśmy też natychmiast snem twardym — prawie zanim konie z miejsca ruszyły, śniąc o powstańcach i o obozie, wśród którego za godzin kilka znajdować się mieliśmy.

Nie spaliśmy pewno w życiu lepiej.

Silne ujęcie za ramię i gwałtowne wstrząsanie przebudziły mnie. Wbrew przykazowi uniosłem głowę. Światło dnia jasnego osłepiło mnie w pierwszej chwili — słyszę około siebie gwar i turkot miejski — przecieram oczy i — o rozczarowanie! — znajduję się wśród Garbar poznańskich na wysoko naładowanej furze z wełną!

W Poznaniu rozpoczął się właśnie jarmark wełniany...

Wstrzymano wiozące nas wozy, by nas zsadzić.

W głębi, na bruku, przy wozie ujrzałem stojącego i uśmiechającego się do mnie wdzięcznie — choć nieco złośliwie, pana W....

— Dzień dobry, kawalerze! — zawołał okrutnik śmiejąc się — jakżesz ci się spało? — Siódma niebawem, spiesz się więc do domu, byś zdążył jeszcze do klasy! — To rzekłszy, udał się do innego wozu.

Wyjaśniło mi się teraz dopiero wszystko.

Na wańtuchu przyległym odczytałem szablonowe: „Dominium J...“ — w panu W... mniemanym organizatorze, domyśliłem się wreszcie — ekonomia.

Wstydząc się sam przed sobą, zsunąłem się z lekkością kota z méj wyżyny na prozaiczny bruk poznański, nacisnąłem czapkę na uszy i podążyłem, nie obróciwszy się nawet, do mieszkania.

O godzinie pół ósméj, znajdowaliśmy się wszyscy troje, — jakby zgoła nic nie zaszło — na mszy rannéj u Bernardynów, a następnie w klasie. — Byliśmy nawet przysposobieni na lekcye.

TUTAJ NA ZIEMI.....

(z Sully Prudhomme'a).

Tutaj, na ziemi wędną powoje, —
Milknie srebrzysta piosnka słowika,
Tu żar wysusza kryniczne zdroje!...
Więc marzę wiosnę, która nie znika,
Ale trwa wiecznie.

Tu bólem płacisz rozkoszy chwile,
Różanych ustek zabija tchnienie,
W miodowej czarze piotunu tyle!...
Więc o rozkoszy marzę jedynie,
Która trwa wiecznie.

Przyjaźń stargana, miłość zdradzona,
Rozpacz wydają poblądle twarze,
Z złudnych snów wcześniej dusza zbudzona!...
Więc taką przyjaźń i miłość marzę,
Co trwają wiecznie.

Teofila Radomska.

Słówko

o pokładach jurasowych w W. Ks. Poznańskim.

Napisał

Prof. Szafarkiewicz.

I. Historya.

W r. 1859 natrafiono przy poszukiwaniach soli kuchennej w samym mieście Inowrocławiu i w najbliższej jego okolicy w różnej głębokości pod powierzchnią skałę wapienną.

W dalszym ciągu badań pokazało się, że skała ta wapienna całe wzgórze, na którym Inowrocław położony, nakształt płaszcza osłania i że pod płaszczem tym margiel gipsowy, gips, anhydryt i sól kuchenna się kryją.

Prawie równocześnie odkryto przypadkowo przy kopaniu studni w lesie we wsi Krotoszynie pod Barcinem, w majątku p. H. Brzeskiego, i to w głębokości zaledwie 2—3 metrów pod powierzchnią, nowy pokład

kamienia wapiennego.

Krotoszyn jest w północno-zachodniej stronie o 2 $\frac{1}{3}$ mili od Inowrocławia oddalony. Wyższy radzca górnictwa, p. Runge, który naówczas poszukiwania Inowrocławskie prowadził, nie mógł dla braku skamieniałości wieku geologicznego obu pokładów oznaczyć, lubo je petrograficznie za bardzo do siebie zbliżone uważał. Dopiero gdy w lat kilka dziedzic Krotoszyna w spółce z p. Michałem Levy, bankierem inowrocławskim, znaczną przestrzeń pokładu wapiennego z rumowiska obnażył i wielką wapiarnią pod nazwą

„Wapienno“

założył, znaleziono przy łamaniu wapienia tyle charakterystycznych skamieniałości, iż przy pomocy najznakomitszych ówczesnych geologów, jak: prof. Beyricha, prof. Römera, prof. Berendta, kandydata górnictwa Gelhorna, wspieranego naukowo przez prof. Dames i t. p. zdołano oznaczyć dokładnie wiek geologiczny pokładów.

W r. 1883 wreszcie odkryto w Piechcinie (Hansdorf) tuż pod Pakością, na pół drogi z Inowrocławia do Wapienna, 2 metry pod diluwium nowy pokład

wapna skalistego.

Utworzyła się niebawem spółka do eksploataowania tego mineralnego bogactwa pod nazwą;

„Wapiarnia Pakoska.“

Pokład pakoski został przez podpisanego kilkakrotnie zwiedzony i przez niego to odebrało Towarzystwo fizyczno-ekonomiczne w Królewcu w Pr. wraz z kilku charakterystycznymi skamieniałościami pierwszą wiadomość.*)

II. Skamieniałości.

1. Skamieniałości z Wapienna

pochodzące, są przeważnie w Muzeum prowincyalnem Towarzystwa fizyczno-ekonomicznego w Królewcu w Pr. zachowane. Za łaskawem pośrednictwem naczelnego ge-

*) *Schriften der physikalisch-oekonomischen Gesellschaft in Königsberg in Pr. 24 Jahrgang. 1883. II. pag. 45.*

„Ganz neuerdings (1883) ist noch ein weiteres Jura-Vorkommnis aufgefunden, dessen Kenntniss ich der Mittheilung des Herrn Prof. Szafarkiewicz, Mitgliedes des „Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu,“ verdanke. Derselbe sendet Namens des letzteren Vereins mir einige Petrefakten zur Bestimmung mit folgender Erläuterung vom 8 November 1883:“

„Im Laufe des diesjährigen Sommers ist bei „Pakosć in der Feldmark Piechcin (Hansdorf) ein Jurarakalklager, kaum 2 m. unter Diluvial-Geschiebemergel aufgefunden worden. Dies Lager habe ich „besichtigt und gefunden, dass es etwa $\frac{1}{2}$ ha von „Abraum befreit, augenscheinlich horizontal liegt und „an der Oberfläche stark zerklüftet in einer ca. 1 m. „betragenden Tiefe in einen zusammenhängenden „Kalkfels übergeht. Pakosć liegt auf dem halben „Wege zwischen Inowrocław und Barcin (Wapienno). „Aus der Identität beiliegender Versteinerungen folgt, „dass Wapienno und Piechcin derselben geologischen „Formation angehören. In Inowrocław konnte ich „keine Versteinerungen auftreiben.“

„Die übersandten Petrefackten konnte ich folgendermassen bestimmen:

- „3 Stück Rhynchonella lacunosa,
- „1 „ „ Var. Cracoviensis,
- „3 „ Terebratula bisuffarcinata,
- „2 „ Ammonites bplex,
- „1 „ Belemnites hastatus.“

ologia tegoż Towarzystwa, p. dr. Jentsch, udarowane zostało Muzeum nasze w Poznaniu gipsowemi odlewami najważniejszych w Wapiennie znalezionych skamieniałości.

a. *Oryginały w Muzeum Królewieckim, odlewy gipsowe w Muzeum Poznańskim.*

Ammonites (Perisphinctes) biplex.
Ammonites (Perisphinctes) polygyratus.
Gervillea tetragona.
Cypryna Brongniarti.
Isoarca texata.
Pleurotomaria superjurensis.
Exogyra spiralis.
Ostrea pectiniformis.
Trochus jurensis.
Pliosaurus giganteus (zęb).
Dacosaurus maximus (zęb).

b. *Oryginały w Muzeum Poznańskim.*

Rhynchonella lacunosa
incl. Var. Cracoviensis 24 okazy.
Terebratula bisuffarcinata 14 okazów.
Ammonites (Perisphinctes) biplex 3 okazy.

2. *Skamieniałości z Wapniarni Pakoskiej.*

Oryginały w Muzeum Poznańskim.

Dublety dla Muzeum w Królewcu przeznaczone.

Rhynchonella lacunosa
incl. Var. Cracoviensis 16 okazów.
Terebratula bisuffarcinata 18 okazów.
Ammonites (Perisphinctes) biplex 2 okazy.
Belemnites hastatus 1 okaz.
Ostrea pecten 3 okazy.
Pecten subtextorius 1 okaz.
Lima notata 1 okaz.
Pleurotomaria sp. Qu. 1 okaz.

Skamieniałości wyżej wymienione, tak z Wapienna, jak z Wapniarni Pakoskiej pochodzące, świadczą o tem:

1. że pokłady W. Ks. Poznańskiego są najmłodszym ogniwem formacji Jura, Jurą białą czyli oxfordzkim zwanem; i
2. że są geologicznie spóczesne pokładom jurasowym, znajdującym się na Górnym Śląsku, w Krakowie (Wawel), w Krzeszowicach, w Ojcowie, w Piaskowej skale i t. p.

III. Tablica geologicznych pokładów osadowych, uwydatniająca wiek względny formacji Jurasowej.

Dział.	Oddział. Formacja.	Pododdział. Ogniwo.	U w a g i.
A. Czwartorzędny.	I. Aluwium.	1. A. młodsze.	Obecne łożyska rzek.
		2. A. starsze.	Pierwotne łożyska rzek. — Piasek dolinowy pomiędzy Wildą a Ratajami w Poznaniu.
	II. Diluwium.	1. D. młodsze.	Margiel i piasek z głazami — bez Paludina diluviana (Kunth).
		2. D. średnie.	Margiel i piasek z głazami — z P. diluviana.
		3. D. starsze.	Margiel i piasek bez głazów, z P. diluviana. Głindow pod Poczdamem, Zabikowo pod Poznaniem. Cegła szlafowa, zwykle biała.
B. Trzeciorzędny.	III. Formacja trzeciorzędna.	1. Pliocen.	
		2. Miocen.	
		3. Oligocen.	Wieliczka (gips i sól); Borysław w Galicji (nafta, wosk ziemny); u nas (głina septaryjna, węgiel brunatny). Cegła septaryjna czyli z starszej gliny.
		4. Eocen.	
C. Drugorzędny.	IV. Kreda.	1. Biała. Opoka.	Toruń 208—335 metrów pod powierzchnią. Ciechocinek. Thierenberg na Żmudzi 110—154 m. pod powierzchnią.
		2. Piaskowiec zielony.	
		3. Neocomien.	
	V. Jura.	1. Jura biały cz. oxfordski.	Wawel w Krakowie; Krzeszowice; Ojcow; Piaskowa skala; u nas: Inowrocław, Pakość, Wapienno.
		2. J. brunatny.	
		3. J. czarny — Lias.	
VI. Trias.	1. Keiper, margiel pstry.	Pokłady gipsu i soli kuchennej w Inowrocławiu, jako też gips we wsi Wapno należą zapewne do formacji Trias. Dla braku skamieniałości nie da się wiek geologiczny dokładnie oznaczyć.	
	2. Wapieni muszlowy.		
	3. Piaskowiec pstry.		
D. Pierwszorzędny.	VII. Dias. F. permska.	1. Zechstein, tupek miedziany.	Niektórzy geologowie zaliczają pokłady Inowrocławia i gips w Wapnie do Dias.
		2. Czerwony piaskowiec martwy.	
	VIII. Węgiel kamienny.	1. Węgiel kamienny.	
		2. Piaskowiec węglowy.	
		3. Wapieni węglowy.	
	IX. Szarowaka. Tromat.	1. Devon.	Nasze głazy diluwialne, które miejscami wiele szczątków wapienia Szarowaki (Devon) zawierają, są w skamieniałości bardzo bogate.
2. Sibir.			

IV. Skład chemiczny.

Wapień Pakoskiej Wapniarni jest prawie czystym węglanem wapna, jak się to z analizy chemicznej w laboratorium wyższej szkoły rolniczej w Berlinie przez Dr. Degnes dokonanej, pokazuje.

Zawiera on na 100 części:

97,77	węglanu wapna,
0,32	niedokwasu żelaza i glinu,
0,20	magnezyi,
0,12	wody,
0,04	rozpuszczalnego kwasu krzemowego,
1,55	niedoboru.

100.

V. Do wiadomości.

Staraniem Wydziału przyrodniczego Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu zostaną najcharakterystyczniejsze skamieniałości pokładów Jurasowych w W. Ks. Poznańskim w osobnym piśmie opisane i ilustrowane. Jeżeli się w głazach naniesionych naszego diluwium na takie same skamieniałości natrafi, natenczas można to jako dość pewną wskazówkę uważać, że w okolicy pokład jurasowy się znajduje. Będzie to przeważny cel broszurki.

Każdy uczestnik zeszłorocznego Zjazdu Przyrodników i Lekarzy Polskich w Poznaniu będzie miał prawo zażądania bezpłatnego nadesłania tego dziełka.

Z pastuszka profesor.

Nad brzegiem Wisły pod słomianą strzechą, ujrzało świat dziecię włościańskie; niechaj mu będzie imię Stasiek. Nieba mu dały wzorowych rodziców. Wyniańczyła go matka najlepsza, a ojciec prócz serca zanego miał głowę nie od kształtu tylko. Dawniej dziad, teraz ojciec, wójtami byli we wsi, a tak rozumnie, dzielnie opiekowali się gminą, że w jej sprawach pono obaj po kolei odbywali podróże aż do dalekiej stolicy i gminie bardzo wiele wyświadczali dobrego. Kto tak umie opiekować się i władać gminą, ten też nie poskąpi rozumnej, uczciwej troski dla własnego domu i dzieci.

To też wójt a ojciec Staśka karnie wychowywał dziatwę, a dbał, by się dzieci uczyły z młodu, czego potrzeba. I Stach nauczył się czytać, pisać w szkółce; a gdy zjawił się we wsi kapral weteran, uczony biegle na książce, i począł dzieciom prawić rzeczy ciekawe o świecie, zachęcać do książki, to znalazł w Stachu ucznia najgorliwszego.

Ale coś po latach czternastu zapotrzebował ojciec wyrostka już syna do gospodarki, więc trybem zwyczajnym kazał Stachowi pasać bydło na błoni. Rad nierad mianowany pastuszkiem wypędzał ciołki na trawę, ale z nim razem szła zanadrem ukryta książka; i już tedy oczy i myśl cała zamiast wodzić za stadkiem, zatapiały się chciwie w „Wieczorach pod lipą“, w „Pielgrzymie z Dobromiła“, lub w innej książce zachwyconej od weterana mentora.

Goręcej niż samo słońce na odkrytem błoniu rozpałały głowę Stacha te książki — skarby, zawsze skrycie chowane w zanadrzu.

Któregoś dnia, sam gospodarz zaszedł na pastewnik, by popatrzeć, jak tam zachowuje się chłopiec — aż tu czujny pies wywleka z zarośli węzełek i kładzie do stóp swego pana. Było to ubranie Staśka odświętne, związane zwyczajnie jak w drogę. Ojciec wziął chłopaka na spytki, ten zaczerwieniony po same uszy bełkoce i — wydaje się zdrada. Stach chciał umknąć po kryjomu!

Nastąpiła ostra kara rodzicielska. Lecz chwilo-wa burza domowa nie stłumiła w chłopcu zamiłowania do książki, nie złamała ducha.

Lato było na schyłku, gdy prerażenie nagłe i lament zapanowały w chacie wójta. Już późny wieczór, Staśka nie widać nigdzie; tylko odzież jego zbrukana leży nad samym Wisły brzegiem. „Kąpiąc się utonął“, wołają ojcowie z rozpaczą. — „Dziwne to było, ale dobre, kochane chłopczyko!“

Gdy takie rozlegały się żale i poszukiwania daremne za topielcem, nasz pastuszek wykąpany i przebrany w czystą sukmanę, pędził co tchu zakryty gęstą krzewiną w stronę, gdzie o mil kilka opętanych było większe miasto powiatowe. Po długiej błakaninie, w pocie czoła stanął u celu. Z drzeniem na chybi trafi przystąpił do któregoś z brzegu domu na przedmieściu, ucałował ręce w progę stojącej imości, i rozpoczął spowiedź.

Poważna imość złażała tylko dzieciucha wło-częgę. Szczęściem nadszedł małżonek, kotlarz, i łaskawiej wysłuchał przybysza. Kotlarz był ojcem dwóch malców, którym czas już było nauczyć się głosek. Poszedł więc poczciwy majster po rozum do głowy, oparł się gderaniem żony, i dał Stachowi przytułek, mianując go bakałarzem dwojga dzieci.

Nazajutrz młody mentor, nakarmiony do syta, zabrał się do spełnienia obowiązku, i tak spłynął dzień jeden i drugi ku wielkiemu zadowoleniu już obojga rodziców.

Lecz trzeciego ujrzał kotlarz zalanego łzami. „Uciekłem z domu — tłumaczył się Stasiek — żeby dostać się do szkoły, bo sam nic prawie nie umiem — a ja tu mam innych uczyć, nie siebie.“ Skarga ta znowu podbiła serce kotlarza; poradził więc chłopcu udać się wprost do pana dyrektora gimnazjalnego.

Dyrektor wszelako odprawił z niczem pastucha w sukmance, zwłaszcza, że nie miał pisma od ojca, ni grosza na opłatę szkolną, ni żadnej rzeczy prawem szkolnem przepisanej.

I znowu zapłakany wrócił Stach do swych gospodarzy. Wtenczas kotlarz kochany pomacał się po kieszeni niebogatej, przebrał chłopca w jakąś kurtkę miejską, ruszył z nim pocziwiec do pana dyrektora, przedstawił się jako opiekun Stacha, zapłacił wpisowe — i tak przed kilku dniami bosy pastuszek ujrzał się na ławie szkolnej najniższej klasy. O radości nieopisana!

Po roku zyskał Stach znakomite świadectwo jako uczeń najlepszy, i postąpił do klasy wyższej.

Dwa dni później rozlegał się okrzyk szczęścia po chacie wójta. Opłakiwany dotąd jako topielec syn, dał znak życia; po raz pierwszy od owego dnia rozpaczy, błagając serdecznym listem o przebaczenie, dołączał chwalebne świadectwo. Odzyskane dziecię zawsze drogicę rodzicom — a cóż tak odzyskane! Uradowany ojciec założył koniki do wózka, i popędził do miasta po zgubę kosztowną. Kamień niepokoju i wyrzutów spadł z serca naszemu gimnazyście, bo spoczął znowu na łonie swoich, na kilka tygodni feryjnych, znowu zawiązał zerwane węzły z ukochaną rodziną, ze wsią — kolebką lat dziecińczych.

Już rodzice ani pomyśleli odrywać od szkoły Stacha, swęj chluby. On od roku do roku przebiegał z klasy do klasy, we wyższych coraz więcej dopomagał sobie w wydatkach, udzielając lekcji młodszym uczniom.

Po świetnym egzaminie dojrzałości, udał się Stanisław na wszechnicę, obierając zawód nauczycielski. Po takiej kolei młodego życia, czyż mogła dusza jego szlachetna inny wybrać zawód? Tylko

jedna mogła go ożywiać myśl wdzięczności: „Sam dzięki dobroczyńcom zdobyłem dla siebie tyle pożądaną naukę; niechaj z innymi znowu dzielę się tem, com osiągnął.“

Po latach piętnastu pracy nasz zrazu pastuszek stanął w rzędzie profesorów, w kole mężów nauki i powagi, i oto świat „wyższy“ utworzył przed nim swe podwoje.

I co dzisiaj czuje, myśli i działa z pastuszką profesor? Czy zarzuca z lękliwą starannością jakąś zmyśloną osłonę na „nizkie“ gniazdo rodzinne? Czy nazwiska gminne zamienił dorabianą końcówką na „lepsze?“

Tak wprawdzie wielu, niestety aż nadto wielu myśli wzbijać się jeszcze „wyżej“, jak gdyby nie wiedzieli istotnie, że ich otoczenie zbada zawsze tę ukrywaną przeszłość, i tylko z politowaniem wzdyga ramiony na lichą maskaradę. I oto chcąc się „zrównać“, poniżają się sami tylko ludzie małego serca. Nie do ich rzędu należy nasz profesor.

Po całorocznej pracy w gimnazyum, poświęcanej młodzieży, po ślęczeniu na szerokim polu głębszej nauki, nasz profesor na ferye spieszy — do ukochanej wioski rodzinnej, by tam jako wierny Stach rzucić się w objęcia matce sędziwej, bratu gospodarzowi. Zaczny ojciec, wójt, już nie dożył tak wielkiej pociechy.

Tu profesor zbudował sobie domek skromny, tu spoczywa tygodniami w kole swych braci po krwi, im otwiera serce szlachetne, przemawia do ich pojęć, rozszerza poglądy, dla nich pisze, działa. Syn ludu, zawsze z nim zbratany gorąco, ja w nie i otwarcie, „nosi przed ludem oświaty kaganiec.“

Gdyby nasze opowiadanie było wysnutem z własnego pomysłu, z tendencją zastosowaną do chwili i miejsca, można by je osądzić według upodobania. Ale że ono streszcza tylko po prostu szczerą prawdę, wziętą z teraźniejszości, i podaje bez upiększeń szczegóły z życia nie urojonego profesora, przeto mniemamy, że jeden tylko odezwać się może głos:

Daj Boże Polsce tysiące takich synów włościańskich!

Tem ożywieni gorącym życzeniem, wstępujemy z naszym opowiadaniem o tyle śmielej w szeregi „Okreźnego.“

Julian Bukowiecki.

Polskie nazwy zbóż.

Lingwistyka porównawcza, zdumiewającymi rezultatami badań swoich poszczycić się może. Pokazała już ona, że ludy t. z. indoeuropejskie, a więc starzy Indowie, Persowie, Celtowie, Grecy, Rzymianie, Germanowie, Słowianie i Litwini, kiedyś przed wiekami u stóp gór Himalaja nad źródłami rzeki Indus jeden naród tworzyły i jednym mówiły językiem, wykazała nam z czasów, o których nawet najstarsze mity i podania milczą, pojęcia religijne, stosunki rodzinne, początki rozwoju państwowego, pierwsze stopnie oświaty, jakich lud ów pierwotny doszedł. Z kilkuset pierwiastków składał się ten wspólny język, z niego wytworzyła się z wiekami po opuszczeniu siedlisk pierwotnych pod wpływem przeróżnych stosunków klimatycznych i historycznych wielka rzesza języków, jakimi mówią ludy Europy i zachodniej Azji, a w których do dzisiaj żyje wspomnienie wspólnej macierzy. Do nich należą i języki słowiańskie. Lingwistyka porównawcza uczy nas, że istniał rzeczywiście jeden naród mówiący jednym językiem słowiańskim. Kiedy zaś z tego pnia słowiańskiego

wyrósł język polski, to trudno datę taką dokładnie oznaczyć, wiemy tylko, że język nasz w pierwszych chwilach istnienia swego niezawodnie był bardzo zbliżony do czeskiego, łużyckiego i połabskiego języka, ale powoli się od nich oddalał. Historyczna epoka języka polskiego rozpoczyna się z wiekiem dwunastym.

Na tle tem pobieżnie tylko rzuconem zamyślam podać na „Okreźne“ kilka etymologicznych szczegółów, dotyczących polskich nazw zbóż, których pierwotne znaczenie z wiekami się zatarło.

Pszonica. Uprawa pszenicy sięga zamierzchłej przeszłości, najstarsze podania przypisują pierwszą znajomość tego zboża osobom mitycznym, i tak bogini Izyda miała ją przynieść do Egiptu, Demeter do Grecji, cesarz Chin-nong na trzy tysiące lat przed Chr. do Chin. Według najnowszych badań ojczyzną pszenicy jest Mezopotamia, a z tamąd rozszło się ziarno pszenicy w ciągu wieków, szukając zawsze odpowiedniego, bardzo umiarkowanego klimatu, na wszystkie strony świata. Przodkowie nasi wcześniej poznali to zboże, jak jasno dowodzi nazwa wszystkim plemionom słowiańskim wspólna, a więc w czasach, kiedy Słowianie jedną jeszcze nierozdzieloną całość stanowili — Cóż oznacza wyraz pszenica? Greckie *πυρός*, łacińskie *triticum*, litewskie *k w e t y s* niemieckie *Weizen* trudności nam nie rozwiązują, bo każdy z tych wyrazów z innego pierwiastku utworzony. Wyraz pszenica pochodzi według Mikłosicha od starosłowiańskiego słowa *pchat i*, które znaczy tłuc, trzeć a odpowiada zupełnie polskiemu *pchać*, od którego z równem przejściem spółgłosek utworzone: *pycha*, *pyszny* i t. p. Porównaj starszy wyraz polski *pszono* = proso wymłócone. „Pszenica“ oznacza tedy zboże, które się tłucze, rozdrabnia na kaszę lub mąkę. Na nazwie tej sprawdzić możemy znaczny już postęp ludów, które dotychczas ziarna na ogniu prażone lub zaschłe w naturalnej postaci spożywały. Analogią przekonującą mamy w łacińskim mianie pszenicy, *triticum*, które wywodzi się od słowa *terere* = trzeć, a więc i w tym języku nazwa na równem pojęciu jak u Słowian polega. Greckie *ἀλεύρον* od *ἀλέω* mleć, trzeć, oznacza mąkę pszenną.

Żyto, reż. Etymologia pierwszego wyrazu nie trudna, pierwiastek w nim ten sam, co w „żyć, życie, żywot.“ Tak jak romańskie narody pszenicę, której klimat południowy sprzyja, ogólnem mianem *frumentum*, *formento*, *froment* (= zboże) nazywają, tak i słowiańskie plemiona nazwały główny plód siedlisk swoich w strefie umiarkowanej, który wałną część ich pierwotnego gospodarstwa i głównego pożywienia stanowił, żytem. I Niemcy rozumieją w podobny sposób przez wyraz „Korn“ ziarno *κατ' ἐξοχήν* t. j. żyto. Czy greckie *σιτος* zboże, pożywienie, do tegoż pierwiastku odnieść można, nie chcę rozstrzygać. Z języka starożytnych Traków, który niestety tylko w drobnych okruszynach znamy, mogli snadno Grecy wyraz ten przejąć.

Lecz mieliśmy w dawniejszych czasach osobny wyraz na oznaczenie dzisiejszego żyta t. j. *reż* genit. *rży*, dochował się on do dzisiaj w przymiotniku *rżany* (chleb *rżany*, mąka *rżana*) i w rzeczowniku *rżysko*. Inne słowiańskie narody mają ten sam wyraz, i tak w rosyjskim języku *roż*, w czeskim *rež*, w łużyckim *rož*, *rejsz*, w słowiańskim *ras*, *ra x*, w kroackim *hers*, *ers* i t. d. Nie mniej i plemiona germańskie używają na oznaczenie żyta wyrazu pokrewnego bardzo brzmienia i tak w staroniemieckim języku brzmi on *rocco*, w nowoniemieckim *Roggen*, w anglosaskim *ryge*, w duńskim *rug*, w szwedzkim *rog*, *råg*. I litewski język ma wyraz tego samego pochodzenia i znaczenia *rug g y s*, liczba mnoga *rug g e i*. Takie pokrewieństwo, pojawiające się w wyrazie „reż“ u Słowian, Germanów i Litwinów, naprowadza nas na inne wnioski. Ani język starych ksiąg świętych indyjskich t. j. sanskrycki, ani staroperski, ani celtycki, ani grecki, ani łaciński, żaden z tych języków nie ma wyrazu „reż“, ani też podobnego na oznaczenie żyta. Z historii porównawczej języków wiemy, że po rozłączeniu się szczepu celto-greko-italskiego pozostałe plemiona europejskie t. j. germańskie, słowiańskie i litewskie jedną całość

stanowiły i podówczas jednym tylko językiem mówiły. Z wielką pewnością w razie takim twierdzić możemy, że wyraz, który się do dzisiaj jedynie u tych trzech ludów dochował, z owiej germańsko-słowiańsko-litewskiej epoki pochodzi. Z wielkim prawdopodobieństwem możemy nawet i okolicę oznaczyć, w których wyraz „reż“ powstał. Geografia roślin podaje nam jako ojczyznę żyta kraje położone między morzem Czarnym a Alpami, obejmujące więc dzisiejsze państwo austriackie. Po wyruszeniu zaś Celtów, Greków i Italów ku południowi i zachodowi zajęli, Europę południowo-wschodnią Germanowie, Słowianie i Litwini, zawsze jeszcze, jak powtarzam w jedną całość związani, poznali w tych właśnie stronach nową roślinę i dali jej wspólne miano, które do dzisiaj dźwięczy w wyrazach reż, Roggen, ruggys.

Twierdzenia naszego nie zbija wcale fakt, że w kilku językach jak w fińskim, estońskim i węgierskim wyraz „reż“ w formie *ruis*, *ruvis*, *rukki*, *rügga*, *rosz* i w różnym znaczeniu się pojawia. Ludy te, jak to już z samych względów jeograficznych wynika, poznały ziarno żytnie u sąsiadów, i tak Finowie i Estończycy u Litwinów, Węgry u Słowian i przejęły razem z uprawą i jego miano. Podobnie i wyraz rhygen, rhyg w kambryjskim języku, odłamie pnia celtyckiego, dostał się tam od sąsiadujących Anglosasów, tak jak w dyalekcie francuskim w Dauphiné mamy wyraz „*riguet*“ żyto, który zaszedł tam z jakim germańskim szczepem.

Cóż oznacza wyraz „reż“? Uczony niemiecki Grimm porównywał ten wyraz z łacińskim *secale*, żyto, włosk. *secale*, franc. *seigle* i twierdzi, że Rzymianie, którzy późno bardzo poznali żyto, użyli na oznaczenie jego wyrażenia, jakim oznaczyć można każde zboże, jakie się kosi, tnie, (*secare* = ciąć). Jeżeli zaś *secale* od *secare* pochodzi, to i polskie „reż“ odnieść należy do słowa rzezać w znaczeniu ciąć; dodaje jednakże Grimm, że głoski syczące nie zgadzają się z sobą w tych wyrazach. Lecz oprócz tej gramatycznej trudności przemawia i znaczenie słowa rzezać, które w żadnym słowiańskim języku nieoznacza ciąć, kosić, przeciwko takiemu przypuszczeniu.

Sympatyczniejszą nam daleko etymologia, podana przez sławnego lingwistę Benfeya, który powiada, że niem. Roggen, a więc i nasze reż i lit. ruggys nie co innego znaczy jak zboże (dosłownie) różowe, czerwone i znajduje ten sam pierwiastek w niemieckich wyrazach *roth*, *rosten* i t. d. Na pozór awanturczka to konjektura, znajduje jednakże znakomite poparcie w innym wyrazie, który według zdania wszystkich uczonych z podobnego pojęcia i zapatrywania ludów dawniejszych się wywodzi. Mówimy tu o niemieckim wyrazie „*Weizen*“ pszenica. Gotycki wyraz *hvaiteis*, a dzisiejsze *Weizen* nie oznacza bowiem nic innego, jak „białe“ ziarno. *Weizen* jest tylko starsza forma przymiotnika *weiss*, biały. Ludy germańskie nazwać tak mogły pszenicę dopiero w późniejszych czasach, kiedy już poprzednio inne zboża ciemniejszej barwy były poznały. Dla odróżnienia zaś, a zarazem i dla jasnego koloru pszenicy, bardzo oku podpadającego, nazwano ją białem ziarnem co się zowie. Podobnie więc i wyraz „reż“ wywieść będziemy mogli od różowego, czerwonego koloru ziarna żytniego, które szczep germańsko-litewsko-słowiański w wschodnio-południowej Europie poznał i takim mianem je różniąc od innych dotychczas uprawianych zbóż nazwał.

Jęczmień. W dzikim stanie znaleziono jęczmień w stepach nad morzem kaspijskim między Lenkoranem a Baku, na południe od Kaukazu i w południowej Persyi, tam więc też będzie jego ojczyzna. Uprawiali go Indowie, Żydzi, i Egipcyanie, z Egiptu dostał się do Grecyi. Dzisiaj zboże to najwięcej ku północy wysunięte, z łatwością bowiem zimny klimat znosi, pod samym biegunem północnym jak w Laponii, w Kamczatce, na wybrzeżu Labrador stanowi główne pożywienie tamtejszych mieszkańców. Słowianie z dawnych już czasów jęczmień poznali, niezbitym znowu dowodem tego wspólna nazwa tego ziarna we wszystkich językach słowiańskich, chociaż wcale odmienna od wszystkich

innych narodów indoeuropejskich. Greckie *χριθή*, łacińskie *hordeum* (hiszp. *ordeo*, włosk. *orzo*, franc. *orge*), angielskie *gorse*, niem. *Gerste*, które na jedno źródło wskazują, ani litewskiego *meže*, wcale nam etymologii słowiańskiego wyrazu „jęczmień“ nie wyświecają. Na zwyczajny wywód nazwy zboża tego od jadać (jadło, jeść) nie zgadzam się już z samych względów gramatycznych. Wyraz „jęczmień“ zdaniem mojem odnieść należy do prastarego pierwiastku „*a k*“ = przeniknąć, wniknąć, od którego liczne bardzo pokolenia we wszystkich językach indoeuropejskich ród swój wiodą. W sanskrycie mamy wyraz *akana* bodziec, kolec, ościę, również i w staroperskim języku *akana* kolec, greckie *αχνη* znaczy u Homera źdźbło, plewy, a *gna* w bardzo starym pomniku łacińskiego języka oznacza kłos, a *cus* plewy. W niemieckich językach napotyamy z podobnym znaczeniem w got. *ahana*, w staroniem. *agana*, w nowoniem. *Achel*, *Hachel*. A dalej do celu zdążając znajdujemy w sanskrycie *akman* ostrze, to samo znaczą greckie wyrazy *αχμή* i utworzone od tego *αχμαιοσ*, *αχμηρός*, łaciński *acumen* czubek, *acus* igła, *acer* ostry, litewskie *aszmu* ostrze. Nawet nasz wyraz „kamień“, który oznaczał pierwotnie ostrze, grot, z tego samego rodu pochodzi. Z pierwiastku „*ak*“ pochodzi i wyraz *jęczmień*, przejście z *k* na *cz* jest organiczne i w polskim bardzo częste. Znalazłszy zaś w wyrazie „kamień“ nawet to samo zakończenie, co w wyrazie „jęczmień“, może i mniej dowierającego rezultatem lingwistyki porównawczej przekonał się o słuszności naszych wywodów. Jęczmień tedy oznacza zboże, które długimi wąsami, ościami czy kolcami od wszelkiego innego zboża się wyróżnia, a nazwę tę nadano wtedy, kiedy już inne zboża bez tego odznaczającego znamienia Słowianie poznali. Czytamy, że na wyspie Cyprze nazywał się jęczmień *δσοσθ*, bez wątpienia z tego samego powodu.

Owies. Kwestya pochodzenia owsa dotychczas nie wyjaśniona, szukano ojczyzny tego ziarna w przeróżnych stronach świata, jak w Persyi, w pustyni koło góry Synaj, nawet na odległej wysepce Juan-Fernandez, w stanie zdziwczalym znaleźli je w Europie wschodnio-południowej. Starożytne narody jak Żydzi, Egipcyanie, Grecy, Rzymianie uprawiali już owies. Pliniusz opowiada nam, że Celtowie i Germanowie chleb z niego piekli. Kiedy zaś i więcej ku północy uprawiać zaczęto pożywniejsze rośliny, ustąpić musiał chleb owsiany smaczniejszemu pieczywu, dzisiaj jeszcze mieszkańców Szkocyi bieda do tego specyału zniewala.

Nazwa owsa wszystkim słowiańskim narodom jest wspólna.

Wedle bystrego spostrzeżenia Grimma roślina ta pozostaje w jakimś związku z kozłem albo owcą, czy to że zwierzęta te uganiały się na polu za owsem lub podobnym mu zielskiem, czy też je w dawniejszych czasach owsem pasano. Zestawienie z kilku języków pouczy nas, że twierdzenie to prawdziwe, przekonamy się z tego, że i polski wyraz „owies“ nie inne ma pochodzenie, boć etymologią, jaka mi dotychczas znana, od owiesić, obwiesić, obwisnąć, podaje tylko *pour égayer la matière*.

W greckim *αίγίπυρος*, *αίγίλωσ* oznacza gatunek dzikiego owsa, *αίξ*, *αίγός* = koza. Łacińskie *avena* (franc. *avoine*) owies, *ovis* owca (widać z tego, że *ovis* brzmiał u italskiego szczepu dawniej *avis*, przejście podobne z *a* na *o* mamy w skr. *navas* w łac. *novus*, skr. *navan*, łac. *novem*). W fińskim języku *kaura* owies, *kauris* kozielec. W niemieckim *Haber* (w Hafer głoska *f* wcale nieprawidłowa) owies, w got. *hafer* kozielec z łacińskiego *caper*.

Nazwanie owsa zielskiem czy paszą dla owiec wskazuje nam, że Słowianie przedtem już znali inne ziarna do życia potrzebne, jak pszenicę, jęczmień, a nową roślinę nazwali owsem t. j. zielskiem, które owce zjadać lubią. Dzisiaj wprawdzie służy owies głównie za paszę dla innych zwierząt domowych, jak dla koni i drobiu.

Tatarka, poganka, gryka, hreczka. Pochodzenie tataraki, której ojczyzną południowy Sybir, Chiny północne i stepy turkestańskie, wywieść łatwo, bo nazwa sama jest bardzo wymowna. Tatarka pochodzi już z czasów history-

cznych, a tatarskie hordy czy to z Azji, czy z Krymu i z nad Wołgi przybyłe do nas ją przyniosły. Istotnie bowiem mongolska nawała, jaka się Polsce szczególnie mordem i pożogą tyle razy dała ciężko we znaki, obok okropnych klęsk i nieszczęść sprowadziła do ziem naszych ziarno nowe t. j. tatarkę. Ziarno wraz z nazwą przeszło ze stron naszych do pogranicznych narodów, Niemcy nazywają je *Taterkorn*, *Tatelkorn*, Finowie *tattari*, Estończycy *tatri*, Węgrzy *tatarka*.

Wyraz *poganka*, głównie na Szląsku używany, oznacza podobnie ziarno od *pogan*, Tatarów przejęte. W czeskim *pohanka*, *pohanina*, w węgierskim *pohanka*, Niemcy i to oznaczenie od nas przejęli i przetłumaczyli na *Heidenkorn* (błędnie dzisiaj piszą *Heidekorn*, jakoby na miejscach pustych, ugorach zboże to poznali). Niemiecki wyraz *Buchweizen*, używany w Niemczech północnych na oznaczenie tego samego ziarna, powstał na innej drodze, i to z podobieństwa ziarna tataraki do bukwi, buczyny; z północnych Niemiec dostał się ten wyraz do Holandii pod nazwiskiem *bockweyt*, ztąd dopiero do sąsiedniej wschodnio-północnej Francji, jak to wyrazy *bouquette*, *bucaïl* wykazują.

Gryka, z rusińskiego *hreczka*, znaczy dosłownie, greckie zboże w tym sensie, że jest obce, jakoby z południa pochodzące. Również romańskie narody związ tatarkę *blé sarrazin*, *grano saraceno* (w tłumaczeniu łacińskim *turcicum frumentum*) nie wyrażają przez to, jakoby tataraka wprost z Turcyi pochodziła, lecz podają ogólnie jako ojczyznę tataraki strony azyatyckie, pogańskie, po za światem chrześcijańskim leżące. Jeżeli Czacki w dziele „O Litewskich i Polskich prawach“ T. II. str. 246. powiada, że „w dawnych inwentarzach przed panowaniem Zygmunta Augusta o hreczce nic nie czytamy“, to nie dowodzi, jakoby do połowy szesnastego wieku tataraki w Polsce wcale nie znano, milczenie takie w źródłach piśmiennych jest przypadkowym, które tem tylko można tłumaczyć, że nie tak wiele jeszcze wówczas tataraki siano, jak w czasach późniejszych.

S. D.

PAN KALASANTY

czyli

POZORY CZĘSTO MYŁA.

Obrazek z bruku Poznańskiego

naszkicował

Konstanty Paten.

Przyjacieli mój, p. Kalasanty, jest to człowiek słusznego wzrostu, tuszy średnioproporcjonalnej, trzyma się, chociaż w wojsku nie służył, prosto jak świeca, czupryną, którą zrzadka tylko gdzieś przypruszył sronek, cieszy się jeszcze dość okazałą, słowem pod względem fizycznym przedstawia się dosyć pokaźnie.

Wykształcenie jego, lubo nie jest specjalistą, do wcale poważnych dochodzi rozmiarów: żaden nieomal zakres wiedzy nie jest mu obcym, przytem czyta i rozmyśla wiele i bacznie śledzi postęp nauki i nowych wynalazków.

Co do charakteru p. Kalasanty łagodny jest jak baranek, oburza się tylko na widok cierpiącego, niezasłużonego nieszczęścia, a tryumfującej niegodziwości ludzkiej. Bieda i nędza najsilniejsze obudza w nim współczucie i nie zna on większej przyjemności, jak gdy cierpiącemu przyjść może z pomocą.

Pomimo niepoślednie zalety przyjaciel mój dotąd się nie ożenił i pewnie już się nie ożeni, albowiem w hierarchii starokawalerskiej, że użyję terminologii głośnego w swym czasie „Wojtusia z Zawad“, przysługuje mu tytuł co najmniej dziecka, jeżeli nie prałata kawalerów.

Trzy razy starał się on dostać do nieba (?) małżeńskiego, trzy razy go doń nie wpuszczono; czwarty raz kołatać więc nie myśli.

Wiadomo, że są dzieci szczęścia, o których mówi przysłowie, że się w czepku rodzili: tym i szydła gołą, podczas gdy innym nawet brzytwa golić nie chcą. Pan Kalasanty do ostatniej liczy się kategorii.

Gdy mu bardzo spieszo, albo deszcz leje jak z cebra, a wypadnie mu przejść na drugą stronę ulicy, może nawpół być pewnym, że długi szereg wozów zatrzyma go w biegu. Gdyby coś podobnego rzadko zachodziło, przyjaciel mój nie zwróciłby na to prawdopodobnie uwagi; ale że los go w tem stale prześladować się zdaje, zwykł on żartobliwie o sobie mówić, że jest dzieckiem nieszczęścia bajecznych rozmiarów.

Dotkliwą ułomnością, na którą i p. Kalasanty niestety słabuje, jest krótki wzrok. Słabość ta liczne mu już sprowadziła i nieustannie prawie sprowadza przykrości i w tych, co go bliżej nie znają, fałszywe o nim wywołuje mniemanie.

Wskutek bowiem krótkiego wzroku czoło jego mocno zmarszczone budzi na pierwszy rzut oka w każdym przypuszczeniu, że mój przyjaciel wiecznie jest w złym humorze, że to śledziennik, którego nic nie bawi i nie interesuje, który kwaśnym humorem oziębic zdolę najweselsze towarzystwo; lecz po bliższym poznaniu zniknąć musi niekorzystne to, a z wodniczym tylko pozorem wywołane o nim wyobrażenie.

Prawda, że p. Kalasanty w liczniejszym gronie, mianowicie osób, z którymi po raz pierwszy znajduje się w towarzystwie, zachowuje się milcząco, nie dla tego, żeby nie umiał po równo z drugimi przyczynić się do ożywienia rozmowy, lecz że zwykł on wprzódy studyować charakteru ludzi, z którymi los go lub przypadek razem sprowadził, zanim bliższą z nimi zabierze znajomość.

Za to gdy się znajdzie w małym gronku osób, z którymi łączy go stosunki przyjaźni lub tylko wzajemnej życzliwości, ożywia się on i zmienia do niepoznania.

Słabemu wzrokowi mój przyjaciel już niejedną przykrość zawdzięcza: to się nie uklonił na czas, komu się należało, to znów nie spostrzegł, gdy jemu się kłaniano i nie oddał winnego ukłonu, a już najgorsza pod tym względem sprawa z nadobnymi piękniejszej połowy rodu ludzkiego przedstawicielkami, które o ile szczyt się mogą serduszkami, przystępnymi dla uczuć najwznioślejszych i najtkliwszych, o tyle przebaczyć nie potrafią uchybieniu, czy to rozmyślnemu, czy to mimowolnemu.

Nawet i mężczyźni, rozumie się, ci co go bliżej nie znają, najbłędniej zwykle oceniają p. Kalasantego.

Boli mnie nad wszelki wyraz, ilekroć słyszeć mi się zdarzy uwłaczającą mu opinią, że to zarozumialec napuszony, niewiedziec z jakiego tytułu, próżniak, który wstręt ma do pracy i t. p. W takich razach już z obowiązku przyjaźni wstępuję w jego obronę, co czynię tem chętniej, że, znając go od lat wielu, nauczyłem się cenić dodatnie charakteru jego strony i wiem najdokładniej, że ani o sobie nie ma zbyt wygórowanego pojęcia, ani też stroni od pracy, przeciwnie, mając nader skromne dochody, szuka jęj ustawicznie.

Są tacy, co robią mu zarzut z tego, że, należąc do ludzi wszechstronnie prawie wykształconych, nie zgłasza się na członka Towarzystwa Przyjaciół nauk i t. p.

Odpowiedź na to prosta: oto niemożność opłacania rocznej składki; wydać się to może dziwnem, lub, co gorsza, nieprawdopodobnem, ale ja, co znam stosunki i finanse jego dokładnie, zaręczyc mogę, że tak jest rzeczywiście.

Pan Kalasanty, pomimo że wcale nie chce uchodzić za bogatego i ze stanem swym majątkowym bynajmniej się nie tai, w oczach ludzi uchodzi za człowieka zamożnego, a kupcy nieproszeni narzucają mu się ze swym kredytem — czemu? bo z niego nigdy nie korzysta.

Ale nie u samych tylko kupców i przemysłowców przyjaciel mój mimowoli wywołuje p o z ó r człowieka zamożnego; lecz nawet w komunistach starego jak świat autoramentu, t. j. w wyszkiwaczach miłosierdzia ludzkiego, widok poważnie kroczącej osoby pana Kalasantego budzić się zdaje najśmielsze nadzieje obfitę jałmużny.

Zastęp żebraków bezwstydných w czasach ostatnich zmniejszył się wprawdzie znacznie — nie zaginął on jednak jeszcze zupełnie i niby drugi fenix ciągle odnawia się z własnych popiołów.

Starsi mieszkańcy Poznania pamiętają zapewne dobrze pewnego utrucyusza, który, objąwszy po zacnych swych rodzicach imię nieskalane wraz z majątkiem znacznym i bez długu, od tego zaczął karierę wielkiego człowieka do małych rzeczy, że w złocistej karecie o pozłacanym dyszlu, zaprzężonej piątką dzielnych siwoszów, któremi albo sam, albo stangret w liberyi, od złota kapiącój, z wysokiego powoził kozła, rozbił bruk poznański i z miną nadętą ledwo raczył spojrzeć na tłum zwykłych śmiertelników.

Ale pańskości tej nie długo starczyło.

Karty i rozliczne hulanki kosztowne wnet wyczerpały zapasy gotówki; usłuźni w takich razach żydkowie na wyścigi biegali z potrzebną gotówką, dopóki tylko majątek dostateczną przedstawiał pewność hipoteczną; lecz gdy rozpusta i lichwa wartość majątku doprowadziła do zera, ani się spozstrzegł, jak wieś mu sprzedano na subhaście i nagle ujrzał się bez grosza przy duszy.

Cóż miał biedak wtedy począć?

Pracować na kawałek chleba nie nauczył się za młodu, a nawet byłby się wstydził jąc jakiego zajęcia; więc wołał wysiadywać na ławkach alei poznańskiej i wyglądać, rychło zjawi się kto z licznych jego znajomych i litością zdjęty kupi mu obiad lub starym obdarzy przyodziewkiem.

Takich egzemplarzy, od których dawniej roily się ulice, dziś już nie spotkasz w Poznaniu. Za to pleć piękna zajęła tymczasem miejsce niezbyt zaszczytne, które dotąd wyłącznym było udziałem płci brzydkiej.

Pewna imość, ubrana czarno i dość przyzwoicie, strzeże nader pilnie hotelów pierwszorzędných, mianowicie tych, w których polska stawa publiczność.

Imość ta, skoro tylko spostrzeże, iż do hotelu zawiał ktoś z możniejszych obywateli wiejskich, czatuje na niego, dopóki nie wyjdzie na ulicę. Wtedy, upatrzwszy sobie chwilę sposobną, ze łzami w oczach, które widocznie ma na zawołanie, błaga litości i wsparcia, które zawsze prawie otrzymuje.

Ale przed niedawnym czasem nadzieje jej srodze zawiedzione zostały, gdy do przyjaciela mojego, biorąc go za jakiegoś krezusa wiejskiego, przypuściła zwykły szturm obfitemi łzami i słowy, płaczącym wymówionemi głosem:

— Jaśnie Wielmożny Panie! Ulituj się nad nieszczęśliwą sierotą i wesprzję nędzną jakim datkiem.

P. Kalasanty, zdumiony i atakiem i tytułem, do którego nigdy rościć nie myślał pretensyi, odrzekł z wielką powagą:

— Pani, ubolewam niezmiernie, że ustną swą ekspedycją pod tak niewłaściwym wystósowałaś adresem. Bo ani nie jestem „jaśnie wielmożnym“, ani też w możności uczynić prośbie twój zadość, i pokazał jej swą portmonetkę, ledwo kilkudziesięciu fenygami obciążoną.

— Jak też to pozory mogą mylić, zawołała na to imość, zarumieniona zapewne nie tyle ze wstydu, co z żalu, że nadzieja tym razem zawiodła ją tak okropnie.

Tytusa Makcyusza Plauta

„MILES GLORIOSUS.“ JUNAK.

Akt I. Scena I.

Pomiędzy utworami starożytnego rzymskiego komedyopisarza „Junak“ należy do udatniejszych i omissis omissis mógłby w przekładzie polskim być publikowany.

Pyrgopolinices i Artotrogus stanowią dwie najwybitniejsze postaci tego utworu.

Pierwszy, Pyrgopolinices (twierdzi i miast zdobywca) to pyszałek, samochwalca, blagier i kłamca, jakich mało, coś, niby to nasz Albertus, ale wyduży do wielkości jakiego waligóry, lub wyr-

widęba, w gruncie głupiec, tchórz, i mizerak ostatni. Charakteryzuje go wybornie wiersz II i 12 aktu II. Artotrog (Bochenkiewicz) pasożyt, wiecznie głodny, wiecznie o jedzeniu myślący, widocznie od dawna już jest w służbie u Pyrgopolinicesa, gdyż myśli jego zgaduje i rzekomo bohaterskie zmyślone czyny a tempo powtarzać umie.

Podaję tutaj przekład pierwszej sceny I aktu, korzystając ze sposobności, aby filologom naszym przypomnieć potrzebę polskiego przekładu klasyków, których komplet we własnym języku wszystkie już prawie wykształcone narody posiadają.

Tekst tej komedyi nie jest jeszcze zupełnie ustalony; starałem się wybrać najodpowiedniejsze lekcye, korzystając z różnych wydań, mianowicie Fr. Ritschla.

Rzecz cała dzieje się w Efezie; scena pierwsza przed mieszkaniem Junaka, który wychodząc tak się odzywa do pachółków w głębi domu pracujących.

PYRGOPOLINICES.

A baczcie mi, by jaśniejsz tarcz moja błyszcziała
Niżli słońca promienie w dzień pogodny błyszczą;
Aby, gdy walczyć przyjdzie w zbitym wrogów tłumie
Nieprzyjaciół wzrok samym olśniewała blaskiem!
Ja zaś ten oto topór ugłaskać zamierzam;
By nie jęczał nieborak, ani desperował,
Że mu oddawna żadnej nie daję zabawy,
Choć pożąda pohulać na wrogich on karkach!
Ale gdzie Artotrogus?

ARTOTROG.

Owom tuż przy tobie,
Mężu dzielnym i szczęścia kochanku, królewskim
Iście rycerzu! Dal' bóg! samby się nie ważył
Mars porównać dzielności swojej z mężstwem twojem.

PYRGOPOLINICES.

Co tam Mars! Ażalim go nie darował życiem
W polu gorgonidońskim, gdzie to Bombomachit
Klytimestorydysarch, wnuk Neptuna, wojskom
Przywoził?

ARTOTROG.

Pomnę dobrze, wszakże o tym mówisz,
W złotej zbroi, któregoś dumne zdmuchnął szyki
Jednym tchnieniem, jak liście albo snopki z dachu
Wiatr zdmuchuje!

PYRGOPOLINICES.

Niczem to, widzi Bóg, jest dla mnie!

ARTOTROG.

Dal' bóg! niczem! — Tak samo, jak i to, co powiem.
(na stronie)

Czegoś nigdy nie działał! jeśli kto większego
Kłamcę, lub samochwalcę nad niego gdzie widział —
Niech mnie weźmie za swego — w służbę jego pójdę!
Jedne tylko oliwki wściekle zjadać lubię.

PYRGOPOLINICES.

Gdzieżeś jest Artotrogu?

ARTOTROG (mówi dalej).

... Albo jako w Indyach

Słoniowi jedną pięścią zgruchotałeś udo.

PYRGOPOLINICES.

Co? udo?

ARTOTROG.

Nie, przepraszam, chciałem mówić biodro.

PYRGOPOLINICES.

Wzdyć tylko od niechceniarn uderzył!

ARTOTROG.

Zaiste!

Gdybyś się był wysilił, przez skórę, jelita,
I przez trąbę słoniową ramiebyś był przebił.

PYRGOPOLINICES.

Nie chcę dziś o tem mówić!

ARTOTROG.

Zaprawdę! nie potrza

Słuchać mi cię, znam dobrze twoje mężstwa dzielność.
(na stronie)

Głód wszystkiego przyczyną! trza uszu nadstawiać,
By zęby coś dostały i wżdy potakiwać
Na wszystko, co mu ślina do gęby przyniesie

PYRGOPOLINICES.
Cóżem to chciał powiedzieć?
ARTOTROG.
Wiem ja dobrze Panie
Co chcesz mówić. Tak było! pomnę, że tak było!
PYRGOPOLINICES.
Cóż takiego?
ARTOTROG.
Ot co bądź!
PYRGOPOLINICES.
Masz tabliczkę z sobą?
ARTOTROG.
Czy werbować zamyślasz? mam i rylec nadto.
PYRGOPOLINICES.
Doskonale swój umysł stósujesz do mego.
ARTOTROG.
Znać obyczaj twój Panie bardzo mi przystoi
I starać się, by zgadnąć, co czynić zamyślasz.
PYRGOPOLINICES.
Czy pamiętasz?
ARTOTROG.
Pamiętam! stu i pięćdziesięciu
W Cylicyi; dalej setka Sykolatronidów;
Trzydziestu Sardów, dwakroć tylu Macedonów!
Wszystko to z twojej ręki w jednym dniu zginęło!
PYRGOPOLINICES.
Iluż ich wszystkich razem?
ARTOTROG.
Coś na siedm tysięcy.
PYRGOPOLINICES.
Tylu właśnie być winno, dobrześ wyrachował!
ARTOTROG.
Choć wcale nie pisałem, tak dobrze pamiętam.
PYRGOPOLINICES.
Nadzwyczajną masz pamięć.
ARTOTROG.
Głód mi dopomaga.
PYRGOPOLINICES.
Jeśli takim wzdę będziesz, jako teraz, zawsze
Ze mną jeść będziesz, kęssem każdym się podzielę!
ARTOTROG.
Lub w on czas w Kapadocyi, gdzie pięć sotni naraz
Z twojej miało ledz ręki... lecz się topór ztępił.
PYRGOPOLINICES.
Sprzykrzyły mi się rzezie! Myślałem, niech żyją!
ARTOTROG.
I cóż więcej mam mówić? wszyscy o tém wiedzą,
Że Pyrgopolinika drugiego na świecie
Nie było, ani będzie, nikt mężstwem, urodą,
Ni czynami zwyciężyć ciebie nie jest zdolny!
Wszystkie za tobą słusznie szaleją kobiety,
Boś zbyt piękny! Ot! wczoraj za płaszcz mnie
[chwytały,
Podpytując,
PYRGOPOLINICES.
Gadajże, co mówiły wczoraj?
ARTOTROG.
Mówiły: nie jest li ten iście Achill wtóry?
I owszem, „brat jest jego“ — przytaknę, a druga:
Piękny, bo na Kastora, rzekła mi, a jaki
Przystojny! Patrz: te włosy jak go cudnie zdobią.
PYRGOPOLINICES.
Tak mówiły?
ARTOTROG.
A nadto jeszcze zaklinały,
Bym ciebie, jak w procesyi koło ich mieszkania
Poprowadził.

PYRGOPOLINICES.
Zaiste! ogromna to bieda
Być zbyt pięknym! Już mi się sprzykrzyły te baby!
Proszą mnie i nachodzą, choćby widzieć pragną,
Do siebie zapraszają, tak, że swemi sprawy
Człek się zająć nie może! A czas już doprawdy
Pospieszyć mi na rynek, i żołnierzom moim
Wczoraj do służby wziętym, żołd należny spłacić!
Oto bowiem Seleukus, król i mój przyjaciel,
Usilnie o to błaga, bym mu ich werbował.
Trzeba mi dzień dzisiejszy poświęcić królowi.
ARTOTROG.
Nuże więc, chodźmy tedy.
PYRGOPOLINICES.
Za mną pachotkowie.
(Odchodzą.)
Ks. Dr. Kantecki.

Prawdy żywotne.

Największy rozum — cnota.
Najwyższe cnoty: wiara, nadzieja, miłość.
Wiara — w rządy Boga na świecie i w przyj-
ście na ziemię Królestwa Bożego.
Nadzieja — w sprawiedliwości Bożej a przez
nią w zwycięztwie każdej świętej sprawy.
Miłość — tego wszystkiego, co Bóg kochać
przykazał, a przedewszystkiem miłość ziemi, języka,
przeszłości i tradycyi.
Dwa nam Bóg dał szczegółowe przykazania
miłości — i to najprzód: będziesz miłował Pana Boga
twego z całego serca swego, z całej duszy twojej,
ze wszystkich sił twoich a bliźniego twego, jak sie-
bie samego! W życiu narodów miłość bliźniego
znaczy — braterstwo narodów. Polska zawsze tą
miłością się rządziła.
Drugie przykazanie: „nie czyń bliźniemu twemu
co tobie nie miło“, niechajby sobie wzięli do serca
nasi sąsiedzi, pamiętając, jak im samym nie miło,
gdy ich ziomkom gdziekolwiek najmniejsza krzywda,
choćby pozór krzywdy się wyrządza.
W pracy nad oświatą ludową przedewszystkiem
na powyższe prawdy baczyć należy, bo kto budzi
i pielęgnuje owe trzy cnoty główne, ten najlepiej
i najskuteczniej pracuje nad oświatą ludową. Naród,
w którego sercu krzewią się owe cnoty, nie zgi-
nie — nigdy!
Dr. Z. Celichowski.

W IMIĘ KRZYŻA.

Wyjątek z dramatu.

Poselstwo krzyżackie błaga Świętopełka, księcia na Pomorzu,
o pomoc przeciw pogańskim Prusakom.

Akt II. Scena I.

KOMTUR.

..... Krzyż błaga
Przez nasze usta.

ŚWIĘTOPEŁK.

Krzyż? O przestań bluźnić!

Ja szych od złota potrafię odróżnić,
Odczuć obłudę z poświęconych kształtów.
Na waszych płaszczach wryty krzyż pański
Jest wam płaszczykiem tylko krzywd i gwałtów;
Nie zbawić wyście przyszli lud pogański

Ale ujarzmić; nie wywieść do słońca,
Ale pograżyć w ciemności niewolę:
Jako Słowianin, a więc krzywd obrońca,
Na to bezprawie nigdy nie pozwolę!

KOMTUR.

Bo nie rozumiesz misyji, posłannictwa,
Które nam każe nieść wiary pochodnie.
My zakonnicy, a żądza dziedzictwa
Obcą nam.

ŚWIĘTOPEŁK.

Ale znané gwałty, zbrodnie,
I wiarołomstwo!

KOMTUR.

Strzeż się!

ŚWIĘTOPEŁK (wyniośle).

Śmiesz mi grozić!

KOMTUR.

A ty uragać rozkazom papieża?
Czyż nową klątwę ma ci legat wozic?

ŚWIĘTOPEŁK.

Moje sumienie jemu się powierza
Lecz nie cześć moja. Niech przyjdzie kardynał,
Wytrzymam jeszcze klątw jego potęgę;
Wolę niech wyklnie, niżby mię przeklinał
Mój lud, że daną złamałem przysięgę.

KOMTUR.

Przysięga w obec pogan!

ŚWIĘTOPEŁK.

Jam Słowianin,

Więc dla mię każda przysięga jest świętą.

KOMTUR.

Tyś barbarzyńiec! —

ŚWIĘTOPEŁK.

Może, lecz chrześcianin!

Próżne twe słowa, groźbą ni ponętą
Nie wzruszysz woli méj; w waszej obronie
Pomorskie z pochew nie zabłysną miecze,
Póki Prusakom na własnym zagonie
Nie będą prawa zwrócone człowiecze.
Jakto? — wy chcecie nawracać poganów,
A tych gnębicie, których chrzest oczyścił,
I z apostołów zmieniacie się w Panów? —
Oby mi Stwórca tak zbawienie ziścił,
Jako tu klnę się na te rany boże,
Że ku tój zbrodni ręki nie przyłożę!

.....

A teraz idźcie, waleczni posłowie
I waszej radzie nieście me orędzie:
Że przy tój stronie miecz mój się opowie,
Gdzie prawo boże, i gdzie krzywda będzie

KOMTUR.

Dobrze; lecz pomnij: my nie stoim sami,
Jeżeli rolę obrałeś rozjemcy,
Wiedz, że choć garstka nas tylko, za nami
Jest Rzym i Cesarz, i potężne Niemcy:

ŚWIĘTOPEŁK.

A za mną prawo i mężni Słowianie!
O, wiem ja dobrze, że wasze zagony,
Że wiarołomne wasze panowanie
Mieczem i ogniem spustoszy te strony;
Że wasza chciwość, i podstęp, i zdrada,
Co w imię Boga miłości — ciemieży,
Potężnie niegdyś tym krajem zawiada,

.....
Ale przezemnie sprawi boża łaska
Że się myśl czysta przechowa w mym ludzie,

I z piersi Słowian strzeli grom, co strzaska
Krzyż samozwańczy na waszej obłudzie!

Józef Kościelski.

SKARGI ŻYDÓW

nad gruzami świątyni Salomona.

Żydzi Jerozolimscy zbierają się co piątek przed rozpoczęciem Sabatu, u stóp na wpół rozwalonego muru, który podług ich mniemania ma być ostatnim szczątkiem dawnej świątyni Salomonowej. Zebrawszy się, śpiewają chórem psalmy, swą monotonną smętnością do głębi wzruszające i nie rzadko istotnymi zalewają się łzami. Psalmy te starałem się spolszczyć zachowując rytm i melodyą wiersza oryginalnego.

U stóp królewskich grodów
Pośród gruzów wilgotnie
Obrastających mchami,
My żebracy narodów
Tęsknimy dziś samotnie
Zalewając się łzami.

I nad świątyni zrębem,
Ach! dziś już niepowrotnie
Rozburzonej przed nami
Zniszczenia ostrym zębem,
Tęsknimy tu samotnie
Zalewając się łzami.

I wśród tych murów świętych,
Przez najeźdźców sromotnie
Wyszczerbionych grotami,
Pośród zgłiszczy pogiętych
Tęsknimy dziś samotnie
Zalewając się łzami.

Za majestatem ludu,
Jak szum wiatru przelotnie
Tak przebrzmiałym z wiekami,
Tu wśród kału i brudu
Tęsknimy dziś samotnie
Zalewając się łzami.

I dla naszych proroków,
Przez barbarzyńskie sotnie
Porażonych mieczami,
U rozburzonych stoków
Tęsknimy dziś samotnie
Zalewając się łzami.

Kędyż skarby klejnotów,
Co błyszczały żywotnie
Królewskimi blaskami
U ołtarza namiotów?
Dziś tęsknimy samotnie
Zalewając się łzami.

I z powodu lewitów,
Tak nikczemnie, ohotnie
Pohańbionych zdradami,
U zapadłych tych szczytów
Tęsknimy dziś samotnie
Zalewając się łzami.

A że ojce — Jehowy,
Ach! i niejednokrotnie
Pogardzili prawami
W próch pochylamy głowy,
I tęsknimy samotnie
Zalewając się łzami!

Józef Kościelski.

Dawna Fara poznańska.

Nowy Rynek w pobliżu Fary, był przez kilka wieków uświęconym miejscem, na którym się wznosiła jedna z wspanialszych świątyń Poznania, kościół parafialny dla całego miasta, zamkniętego w obrębie murów obronnych, pod nazwą kolegiaty św. Maryi Magdaleny. Nie wiadomo jest założenie starożytnej Fary, zdaje się jednakże, że ją wzniesiono w czasie rozszerzenia się miasta na lewy brzeg Warty, a zatem w połowie XIII. wieku. Następnie przebudowano ją i upiękniano w miarę zamożności miasta, tak że w końcu nie ustępowała w niczem biskupiej katedrze. Patrycyusze miejscy prześcigali się w szczodrobliwości dla swego parafialnego kościoła, w 17 wieku rozszerzonym został kilkunastu przybudowanymi kaplicami, i fundacją mnóstwa ołtarzy bogato ozdobionych. Ściany okryte były pięknymi marmurami pomnikami, wystawionymi ku pamięci zgasyłych dostojniejszych mieszczan i przydawały wspaniałości świątyni. Skarbiec kościelny mieścił nie małą ilość drogocennych naczyń, między niemi szczerzłote monstrance, kielichy i puszki wysadzane klejnotami.

I lud uboższy miał tu ku służbie Bożej swoje kosztowności, każde bractwo miało swoje osobne srebra, nie rzadko grubo pozłacane, służące do odprawiania nabożeństwa.

Ornaty, kapy, antypedia wyrabiane były z materii aksamitnych złotem i prawdziwymi perłami wyszywanych, inne z złotogłowia i jedwabiu ozdobione haftami przedziwnej piękności.

Ale nietylko samego kościoła aparaty odznaczały się pięknnością i bogactwem, niemniej i bractwa starały się aby ich skarbczyki mieściły ozdobne przybory ołtarza; łatwo więc pojąć ile w skarbcu kościoła Farnego kosztowności było nagromadzonych.

Wszystko się to stało łupem najezdźników 1657.

Karól Gustaw król szwedzki wkroczył był do Polski z licznymi wojskami, wśród których garstka była tylko Szwedów, z resztą żołdactwo najęte przez niego lub jego sprzymierzeńców, głównie składające się z Niemców. Ci nie tyle dla żołdu, co dla łupów pospieszyli w szeregi szwedzkie, i ich to ręce rozszarpały skarbiec starożytnej poznańskiej Fary, podpaliwszy następnie przybytek Boży 10 lipca 1657.

Od tego czasu nie odzyskał już dawniej swęj świetności, mimo ofiar ze strony miasta, w czasie tej wojny wycieńczonego kontrybucjami i rabunkami. Podźwignięto jednakże jako tako gmach z gruzów, ale ogolony z dawniej świetności i bogactw, nie odzyskał ich już nigdy, dawna zamożność a z nią szczodrobliwość mieszczan, nie podniosła się już odtąd z upadku.

W czterdzieści kilka lat po zburzeniu tej starożytnej Fary, z początkiem 18 wieku, znów Szwedzi grasowali w Polsce, wojsko Karola XII. zajęło Poznań, obłożywszy go ciężkimi kontrybucjami, co nie ochroniło miasta od rabunku i pożogi.

Zubożałe niesłychanie miasto powoli podnosiło się z gruzów, kościół Farny stał się przedmiotem jego troski, ale znać małe fundusze przeszkadzały gruntownej budowie, uległ burzy a następnie zapadnięciu się ścian w czasie budowy. Tej ostatniej klęski dopełnił jeszcze wewnętrzny pożar wszczęty przez nieostrożność, i zakończył istnienie tej wiekowej wspaniałej świątyni.

Po zniesieniu zakonu OO. Jezuitów, przekazano pozostały po nich kościół na Farę poznańską, istniejącą po dziś dzień.

Bibianna Moraczewska.

O potrzebie higieny.

Aczkolwiek zdrowie jest nieoszacowanym darem i stanowi najwyższe dobro na ziemi, to jednakże znajomość środków utrzymania zdrowia i przedłużenia życia jest jeszcze po dziś dzień bardzo zaniedbaną a mało kto stara się zapoznać z najgłówniejszymi prawidłami higieny. A przecież nauka to tak ważna i tyle ciekawych zawiera wiadomości!

Dla przekonania się, jak wielkiem jest znaczenie higieny, dość przejrzeć wykazy co do śmiertelności i długowieczności np. między klasą biedną a zamożniejszą jedną i tej samej miejscowości; przynajmniej połowa chorób, jedna czwarta przedwczesnych śmierci dałaby się uniknąć, gdyby ludzie prawidła higieny spożytkowali na korzyść swego zdrowia. Długość życia powinna w przybliżeniu wynosić około 90—100 lat, a wynosi rzeczywście zaledwie 40, średnia śmiertelność powinna wynosić 10 na 1000, a rzeczywście przypada najmniej 20—30, często 40—50, pomiędzy którymi na śmierć ze starości przypada zaledwie 2—4%; w klasie niezamożnej stosunek ten stokrotnie gorszy.

A zatem tak jednostki, jak gminy i władze powinny żyć i postępować wedle zasad i wymagań higieny. To sa-

mo dotyczy całych narodów, których pomyślność moralna i fizyczna tem większa, im lepsza znajomość praw higieny. Pomijając tych warunków nie wolno, bo prawo karne przyrody, aczkolwiek łagodne i często wyczekujące, dotyka każdego, który sobie lekceważy przepisy higieny, i niestety tem boleśniej, że przychodzi wtedy, kiedy już za późno pokutować i naprawiać co się zepsuło, bo zdrowie już spożyte i utracone. Jakże często dopiero w starości zaczynamy się zastanawiać i nabierać przekonania, że można było inaczej zachowywać się w młodości; dopiero podczas choroby, w obec grożącej śmierci poznajemy ważność zdrowia i kierunek, jaki należało nadać życiu naszemu.

Higiena powinna się stać własnością wszystkich i każdy roszczący sobie prawo do jakiegoś takiego wykształcenia, powinien się zapoznać z prawidłami tej tak ważnej nauki, wywierającej na ogólne wykształcenie wpływ wcale nie mniejszy, od tylu innych gałęzi wiedzy ludzkiej. Do rozszerzenia zaś tej nauki między ludem potrzeba, aby była wykładana po szkołach publicznych, bo wtenczas dopiero wniknie w naród i rzeczywiste odda usługi klasom uboższym, które najwięcej tych przepisów potrzebują, a wszędzie stanowią najlicniejszą kategorię ludzkości.

Ważność i potrzebę tej nauki uznając już nasza Komisya edukacyjna, wydała przed stu temu laty rozporządzenie, aby po wszystkich szkołach narodowych wykładano popularną higienę, ale okoliczności różnego rodzaju nie pozwoliły dotychczas wprowadzić w życie tego mądrego przepisu przodków naszych. Nasi „najserdeczniejsi“, lubiący nas pomawiać o nieuctwo i zacofanie, wiele później, bo dopiero w nowszych czasach, uznali wielkie znaczenie higieny i starannie zaczęli się około niej krzątać.

Dr. Stanisław Jerzykowski.

Fraszka.

Płochości kobiet nie znając
Mawiałem: „panna nie zając“;
Dzisiaj rozpoznawszy ich stateczność marną,
Zającem nie nazwę panny, ale — sarną.
S.

Kobieta w obec medycyny.

I.

O „emancypacji kobiet“ w znaczeniu zachodnio-europejskiem lub zgola amerykańskiem u nas w Polsce niema mowy: marzenie o emancypacji politycznej obcem pozostanie naszej kobiecie zapewne na zawsze.

Inna rzecz z kwestyą zarobkowości kobiecej, czyli — jak ją w Niemczech pospolicie nazywają „Frauenfrage.“ Jest to sprawa żywotna — sprawa dotycząca ekonomicznego bytu wielu tysięcy kobiet, wskazanych na utrzymanie się z pracy fizycznej, lub umysłowej.

Rodaczki nasze w Polsce Kongresowej — a przedewszystkiem w Warszawie — i pod tym względem zdobyły sobie zaszczyt przodownictwa; tam bowiem już pod niejednym względem praktycznie przeprowadzono „kwestyą zarobkowości kobiecej,“ — jeżeli bowiem gdzie na biednej naszej polskiej ziemi, to tam najwięcej wyrabia się takich społecznych stosunków, w których kobiety zmuszone są do samodzielnego zarobkowania. Ale nie tylko w Warszawie — wszędzie u nas, a zwłaszcza w większych miastach znajduje się znaczna liczba kobiet niezamężnych, owdowiałych, a nawet i zamężnych, które na utrzymanie siebie i rodziny zarabiać muszą. Szycie i nauczycielstwo prywatne — to jedyna ucieczka naszych kobiet; zabijająca konkurencja i bolesne nieraz poniżenie, to chleb powszedni obu tych zawodów kobiecych.

Ztąd poszło, że w Anglii i w Niemczech starano się już od dawna o rozszerzenie zakresu zarobkowości kobiecej nie tylko w kierunku pracy ręcznej, ale nawet w kierunku zawodów naukowych, którym się dotychczas tylko mężczyźni poświęcali. Jedynie na ostatniej z wymienionych powyżej aspiracji naszego świata kobiecego ciąży zarzut „emancypacji.“

Nie mamy jeszcze u nas w Polsce adwokatki, ani sędziów rodzaju żeńskiego, ale mamy już doktorów medycyny z tytułem „pani doktor“... , a chociaż tytuł ten w języku naszym brzmi nieco dziwnie, niegrammatycznie, to jednak liczyć nam się należy z faktem, że już mamy Polki, które na mocy dyplomu uniwersyteckiego trudnią się praktyką lekarską. W naszej dzielnicy jeszcze to dzisiaj nie możebne, ale kto wie, czy Niemcy nie pójda za przykładem Rosyi i Anglii, boć i tu i tam rządy długo się opierały, aż wreszcie zwyciężyła — jak to chce kto nazwać — wytrwałość, czy upór.

Badź co badź przebieg tej walki i dla nas nie jest bez interesu. Początek tej nowości datuje się od roku 1849 wystąpieniem Angielki miss Blakwell, która skończywszy studia w Ameryce, powróciła do Anglii i uzyskała pozwolenie praktykowania. Wrażenie było niezwykle — ale sympatyi dla sprawy tej tak mało, że dopiero w dziesięć lat później jakiejś pani Garret udało się pójść śladem swojej rodaczki. Gdy jednak w Anglii wszelkimi sposobami starano się kobietom utrudniać studia lekarskie, próbowały szczęścia w Szkocyi. W r. 1869 pani Jex-Blake wraz z pięcioma innymi damami wniosła prośbę do wydziału lekarskiego w Edynburgu o pozwolenie słuchania wykładów. Mimo różnych przeszkód decyzya wydziału wypadła przychylnie — i przez dwa lata słuchaczki spokojnie swoim oddawały się studjom, gdy w tem na fakultecie inny wiatr zawiął i naszych koleżanek do egzaminu wcale nie przypuszczono. Panie lekarki wdały się o to z wydziałem w proces, który przegrały i odtąd kobietom całkiem wzbroniono wstępu na wykłady. Energia i wytrwałość kobiet angielskich temi przeszkodami złamać się nie dała — nie mogąc na swoim postawić w Szkocyi, powróciły znów do Anglii i tutaj założyły własną żeńską szkołę lekarską, której urządzenie nie różni się niczem od fakultetów, a kolegium lekarskie w Dublinie lekarkom z tej szkoły podobno bez kwestyi udziela dyplomy z prawem do praktyki.

Nowszymi czasy na kontynencie zyskał sobie uniwersytet Zurychski pewien rozgłos w kwestyi studiów lekarskich kobiecych. Sławna ta szkoła szwajcarska była jedną z najpierwszych, dokąd się zgłaszały kobiety ze swemi do wyższych nauk pretensjami. Już w roku 1867 Rosyanka Nadeżda Susłowa promowana tam była na doktora medycyny i chirurgii, a po niej w r. 1870 Angielka miss Morgan. Promocya tej damy stanowiła zwrot we frekwencyi kobieczej w Zurychu: kiedy bowiem w r. 1870 było na wszystkich wydziałach 40 studentek, w zimie r. 1872/3 jest ich już 63, a w lecie tegoż roku szkolnego liczba studentek wynosi 114, między niemi samych studentek medycyny 80. Główny, bo prawie wyłączny przyrost pochodził z Rosyi, lecz w miarę wzrostu liczby słuchaczek znać było coraz mniej pilności, a przedewszystkiem coraz mniej taktu. Nie dziw więc, że studentki straciły sympatya rzeczywolipolitej naukowej — a uniwersytet zaczął na serio myśleć nad odwróceniem grożącego mu ze strony Rosyanek niebezpieczeństwa. Nim jednak sam zdecydował się na krok stanowczy, przyszło mu bardzo w porę rozporządzenie rządu rosyjskiego, który po zamachu Neczajewa zakazał studentkom rosyjskim dalszego w Zurychu pobytu, nie zamykając przeto jednak przystępu innym przyzwolonym żywiołom. Wypędzone studentki Rosyanki rozproszyły się po Szwajcaryi, Francyi i Niemczech, pukając o przyjęcie, którego im jednak w ówczas stanowczo odmawiano. Obecnie na żadnym uniwersytecie cesarstwa niemieckiego kobiet na żaden wydział, a więc i na lekarski, oficjalnie nie zapisują — podobno tu i owdzie wolno profesorom prywatnie przypuszczając kobiety do słuchania wykładów; na klinikach niemieckich nigdzie mi się jednak nie zdarzyło spotkać z spódniczkowym kolegą.

Co powiedziano o Niemczech odnosi się także do Austrii. I w tym klasycznym kraju szpitali i nauk lekarskich ani o przypuszczeniu kobiet do słuchania kursów, ani do praktyki lekarskiej, jak na dziś, mowy niema. Wiadomo nam też o jedynej w tym kierunku nieudanej próbie. W r. 1882 zgłosiła się panna Bogusława Keck z Karolinenthal do władz uniwersyteckich w Pradze o notyfikacya uzyskanego w Zurychu dyplomu. Wydział lekarski w obec takiej nowości udał się do ministerstwa oświaty z prośbą o zasadnicze rozstrzygnięcie tej sprawy. Wkrótce też nadeszła odpowiedź odmowna ze względu na dotychczas obowiązujące ustawy. Ustawa mówi o „słuchaczach“ i o „lekarzach“, rozumiejąc przeto to plec męzką — powiada pan minister, ale pewno miał na myśli możliwość innej jeszcze interpretacyi — w danym razie.

W krótkim historycznym poglądzie naszym pominieśmy Amerykę, bo studium lekarskie jest tam rzeczą czysto prywatną i rząd się do tego wcale nie miesza. W Rosyi zaś — o ile nam wiadomo — było wolno słuchać kobietom wykładów w petersburskim szpitalu mikołajewskim — ale i to podobno już ustało. Natomiast w Paryżu, według doniesień prasy niemieckiej, ostatnimi czasy 40 kobiet różnej narodowości studyowało medycynę — czy jednak z prawem do praktyki — nie wiemy.

Badź co badź — jakkolwiek kwestya ta wypadnie w przyszłości — rządy nie mają prawa odmawiania kobietom sposobności słuchania nauk lekarskich. Studya kobiece uniwersyteckie nie są niczem nowem — owszem w pierwszym okresie uniwersytetów, zwłaszcza we Włoszech w czasie rozkwitu nauk, studyowały razem z mężczyznami. Bolonia np. ma mnóstwo kobiet między swemi doktorami i profesorami — w nowszych nawet czasach widzimy tam kobietę na katedrze profesora anatomii (Anna

Morandi Mazzolini † 1774). Dopiero w czasie, gdy uniwersytety, zwłaszcza w Niemczech, stały się instytucjami państwowymi, a gimnazya oddzielono od nich jako szkoły przygotowawcze lacińskie, audytorya uniwersyteckie przed kobietami coraz się bardziej zamykały.

II.

Odmawiając rządowi i ich ministrom kompetencyi decydowania o tem, czego kobiecie uczyć się wolno, a czego uczyć się nie powinna — kontrolę tę wolelibyśmy złożyć raczej w ręce społeczeństwa, od którego etycznych poglądów zależy, jak się w danej chwili zapatruje na zadanie kobiety.

Kobieta-lekarka w naszym społeczeństwie długo jeszcze pozostanie czemś wyjątkowem, ani się też u nas nie objawia tendencya do rozszerzenia zarobkowania naszych kobiet za pomocą studiów uniwersyteckich kobiecych w ogóle. I słusznie. Dajmy kobietom naszym tyle nauki, ile to w mocy naszej; jeżeli jej pod tym względem nie możemy zrównać z mężczyzną, dopełnijmy jej wykształcenie, lecz niechaj to światło będzie takim, aby w niej nie zaćmiało charakteru kobiety. Rozum nie ma nic do nadmienia przeciw lekarzowi pici żeńskiej — ale uczucie nakazuje uważać taką kobietę za anomalią. W obie płcie wlał Stwórca wdzięk im właściwy — różnica natury kobiecej i męskiej ciągnie je ku sobie: przemienić kobietę w mężczyznę jest to zabić miłość i rozredzić romans ludzkiego istnienia.

Lekarskie posłannictwo kobiety w innym dąży kierunku, a droga do niego wiedzie nie przez pozbycie się kobiecości, lecz przez najobszerniejsze właśnie jej zużytkowanie w obcowaniu z chorymi i wypełnianiu powierzonych sobie przez lekarza funkcji. Wykształcona kobieta z sercem i głową, — to nasza i naszych chorych najlepsza towarzyszka przy stole operacyjnym. Do tego zaś najwznioślejszego posłannictwa nigdy uczciwej kobiety nie popycha myśl „emancypacyi“, jeno szczerą miłość bliźniego, a często także poświęcenie dla sprawy ojczystej, czegośmy w krwawych dziejach naszych niejednokrotnie mieli przykłady. Wiele też kobiet znalazło w pielęgniarstwie stałe zajęcie i źródło przyzwoitego utrzymania.

W najdawniejszych czasach chrześcijaństwa pielęgowaniem chorych trudnił się szlady kościoła — ale już w owych czasach obok dyakonów występują kobiety, jak np. Phoebe, o której wspomina św. Paweł. Służba ta uważana była za wielce pobożną, ubiegały się o nią nawet cesarzowe, jak np. Flawilia, żona Teodoryka, Jedne poświęcały się pielęgowaniu chorych za pokutę (Fabiola), inne przy tej służbie chrześcijańskiego miłosierdzia o własnych chcieli zapomnieć cierpieniach.

W późniejszych czasach powstają klasztory i rycerskie zakony, które sobie biorą za zadanie pielęgowanie chorych. Do Polski już w XII wieku Jaksza herbu Gryff sprowadził Miechowitów (kanoników stróżów św. grobu jerozolimskiego), a Przemysł, książę Wielkopolski zbudował dla nich (1243 roku) szpital i kościół św. Jana na gnieźnieńskim przedmieściu i jedenastu wioskami go uposażył. Szpital ten pod zarządem i obsługą Miechowitów istniał do roku 1820, w którym to roku „to wiano, ręką przodków naszych zawiązane“ rząd pruski zniósł i zakonnikom kazał się rozsejść.

Działalność Miechowskiego zakonu nie może jednak iść w porównanie z olbrzymim wzrostem, jakiego doznało pielęgniarstwo zakonne w w. XVI i XVII przez powstanie zakonu Braci Miłosierdzia, Bonifratrami u nas nazywanych, tudzież później przez Siostry Miłosierdzia, które do Polski sprowadziła w r. 1655 Marya Ludwika, żona króla Jana Kazimierza, poznański zaś szpital Szarytek datuje się od 1 grudnia 1822 r.

Szarytki polskie mają już swoją świetną kartę w dziejach lecnictwa krajowego, ale dopiero w chwilach nadzwyczajnych wstrząśnień i wojen imię ich szerszym rozbrzmiewa rozgłosem. W kilku już pokoleniach żyje w Warszawie tradycya śp. siostry Ewy Czeladzińskiej; szczupła, wysmukłej postawy, ze śladami pięknych rysów, w białym swym kornecie jak duch opiekuńczy uwijała się wśród chorych. A gdy podczas wojny r. 1830 i 1831 zabrakło rąk do pielęgowania chorych, ona wycieńczona pracą i bezsennością, na siłach nie upadła i zdawało się wtedy, że to watek ciała wykute ze stali. Siostra Ewa podobno nawet wykonała kilka małych operacyi, a między innymi miała oficerowi Modlińskiemu wyjąć kulę karabinową z pod łopatk.

Za przykładem zakonów katolickich ostatnimi czasy poszli także i protestanci w organizacyi swoich „Dyakonisek.“ Jest to rodzaj dyakonatu w pierwotnej formie z czasów apostołskich. Organizacya ta w dzisiejszej postaci występuje dopiero w r. 1836.

Od ostatniej wojny krymskiej datuje się nowy kierunek w przyspasabianiu kobiet do służby szpitalnej. W tymto bowiem czasie zaczęto myśleć o organizacyi świeckich pielęgniarek — z powodu, że liczba sióstr zakonnych, zwłaszcza w czasie wielkich wojen, jakich byliśmy świadkami, okazała się niedostateczną, a nadto umiejętne pielęgowanie chorych po domach prywatnych wymagało nowych sił, któreby na każde można mieć zawołanie.

Inicytywę dała kobieta, pani Nightingale, Angielka. O działalności tej niezwykłej kobiety świadczą liczby. W ciągu dwóch lat wysłała Anglia do Krymu 83 tysiące wojska, z tych piąta część stała się ofiarą braku organizacyi służby lazaretowej i braku opieki. Gdy się miss Nightingale ze swemi czterdziestu towarzyszkami na dobre rozgospodarowała na teatrze wojny, zmienił się stan sanitarny szpitali angielskich jakby za dotknięciem różdżki czarodziejkiej —

śmiertelność zmniejszyła się o trzecią część — tysiące ludzi ocalało.

Po wojnie pani Nightingale założyła szkołę pielęgniarek przy londyńskim szpitalu św. Tomasza. Warunkiem przyjęcia jest przede wszystkim dobre wychowanie i pewien stopień wykształcenia — o nauce anatomii nikt tam nie myśli — praktyczne zajęcia i przykład, tudzież wytworny takt ze strony dam przełożonych stanowią główne elementy wykształcenia fachowego. Pielęgniarki mają wolne utrzymanie w zakładzie, tudzież 50 funtów (1000 mrk.) rocznej pensji, w razie niezdolności do pracy zapewniona im jest emerytura. Dziś już wiele kobiet angielskich z wyższych stanów poświęca się temu zawodowi i utrzymuje stan świeckich pielęgniarek w ogólnym poszanowaniu.

W Niemczech instytucja ta rozwija się bardzo pomyślnie. Berliński dom macierzysty (Victoria-Haus) kształcił swoje pielęgniarki początkowo w Kiel i Londynie, obecnie zaś w szpitalu miejskim (Friedrichshain) w Berlinie. W klinice dr. Bergmanna mieliśmy sposobność dłuższego obserwowania znakomitych usług, jakie oddają w charakterze naddozorczyń lub jako pomocnice przy stole operacyjnym.

Niezmiordowanej energii i pracy prof. Billrotha zawdzięcza Wiedeń swój klasycznie urządzonej, wyłącznie kształceniu świeckich ochraniarek poświęcony zakład zwany „Rudolfinum.“ W pięknym, odosobnionym parku na przedmieściu Döbling mieści się wzorowy szpital, który służy za szkołę dla „Rudolfinek,“ czyli świeckich pielęgniarek, mieszkających w zakładzie pod dozorem swej przełożonej, osoby poważnej, wdowy po urzędniku. Tak w Berlinie jak i tutaj w Wiedniu, „siostry pielęgniarki“ w czasie służby noszą niby mundurek, składający się z perkalikowej sukni, białego pod szyję fartucha i białego czepeczka, poza zakładem ubierają się, jak się której podoba, byle nie rażąco. Służba, zwłaszcza w Wiedniu, nie jest łatwa, to też znaczny procent kandydatek po miesiącu lub dwóch porzuca zakład — jakoby na dowód, że choć duch rwie się do czynu, ciało kobiety niejedną walkę z naturą stoczyć musi, nim się oswoi z widokiem cierpienia.

Jak się te niemieckie szkoły dalej rozwijać będą, dziś jeszcze przesądzać nie można; — w każdym jednak razie fakt ich istnienia zasługuje na uznanie jako jeden z czynników praktycznego rozwiązania kwestyi zarobkowości kobiecej i zwrócenia kobiecej działalności w odpowiednią jej usposobieniu sferę.

Kobieta-lekarka, to anomalia; pielęgniarka z głową i sercem — to szczyt marzeń lekarza i tych, których życie w jego złożoności ręce.

Pisałem w Wiedniu, sierpień 1885.

Dr. Zieliewicz.

Nieznany dotąd spiszek.

Gdy wszystkie niemal spiski porozbiorowe miały i mają swoich kronikarzy i historyków, jeden tylko nie ma tego zaszczytu a zasługuje na to, choćby dla tego, że dzieje jego efemeryczne mogą posłużyć za pewną naukę i przestrożę, czego w danej chwili robić nie należy.

Spiszek ten, o którym mówimy, związany został pomiędzy młodzieżą polską uniwersytecką w Moskwie w r. 1847.

Podaję dzieje jego na podstawie listów pisanych do mnie przez jednego z głównych jego uczestników.

Oto te dzieje:

Duch i cały nastrój nasz na uniwersytecie był tak patryotyczny, że potrzeba było jakiegobądź okoliczności, najmniejszej przyczyny, aby, jak się to wówczas praktykowało po całej niemal Polsce, zawiązać i utworzyć spiszek polityczny z celem wyswobodzenia ojczyzny.

Tę okoliczność stworzył Erazm M., student na wydziale prawnym z Kaliskiego. Erazm M. była to dusza gorąca, wychowana w szlacheckim, patryotycznym domu. Ruchliwy, namiętny weredyk, zaraz po przybyciu swym do uniwersytetu zgromadził wokół siebie dość liczne kółko kolegów, któremu przewodził i za pośrednictwem którego usiłował zaprowadzić pewne reformy pośród młodzieży polskiej. Gdy mu się to nie udało, jał marzyć o zawiązaniu spisku. I dokonał swego.

Pewnego wieczora przyszedł mocno ożywiony do swych bliższych znajomych i zakławszy ich o sekret, począł opowiadać, iż na bulwarze Twerkim zaczął go jakiś nieznajomy człowiek, prosząc, aby z nim poszedł na stronę, ma mu bowiem coś ważnego do powiedzenia. Naturalnie Erazm przychylił się do jego prośby. Weszli na boczną ulicę, a tam przy świetle latarni ów nieznajomy okazał Erazmowi papiery dowodzące, iż jest wysłańcem towarzystwa demokratycznego paryzkiego, umocowanym do budzenia ducha w Polsce, a szczególnie pomiędzy młodzieżą. Gdy się tak wylegitymował, zaczął badać Erazma, jaki jest duch pomiędzy młodzieżą uniwersytecką i czy myśli o Polsce i pracuje dla niej. Rozumie się, iż Erazm odpowiedział mu, że młodzież tęga myśli o Polsce, ale żadnej pracy nie podejmuje dla niej, bo nie wie co i jak ma począć. Emisaryusz wówczas dał mu pewne wskazówki i rozkazał zawiązać spiszek polityczny, który powinien rozgałęzieniem swem sięgać do innych uniwersytetów i do kraju, opasując go cały swą siecią. Całe to opowiadanie, jak się łatwo domyśleć, było płodem fantazyi Erazma i od początku do końca ani słowa w nim prawdy nie było. Ale z obecnych nikt, znając charakter prawy i szlachetny Erazma, ani na chwilę nie podejrzewał go o wymysł. Wszyscy uwierzyli mu święcie. Skoro zaś w proka uwierzyli, nie pozostało nic innego, jak tylko uwierzyć i w jego naukę. Rada więc w radę — zgodzono się na zawiązanie spisku. Erazm napisał zaraz ustawę, która określała cele spisku, obowiązki każdego spiskowego, a wreszcie rotę przysięgi na dotrzymanie tajemnicy. Celem tego spisku było ni mniej ni więcej, jak wywołanie powstania. Do tego prowadzić miały budzenie ducha za pośrednictwem t. z. zakazanych książek; dalej zbieranie pieniędzy na broń i inne potrzeby powstańcze; zawięzywanie wszędzie, gdzie tylko okoliczności pozwolą, towarzystw tajno-politycznych; zawiązanie stosunków z emigracją, a nadewszystko z towarzystwem demokratycznym polskim. Prócz tego specjalnie każdy członek moskiewskiego związku obowiązany był: 1) płacić pewną składkę miesięczną lub też kwartalną, celem zebrania funduszu na zakupno zakazanych książek i wysyłkę ich do kraju: na wysyłanie także podczas wakacji emisaryuszów z grona spiskowych; na wysyłanie emisaryuszów do innych rosyjskich uniwersytetów, celem skłonienia ich do solidarnego i wspólnego z tym pierwszym związkiem postępowania i kierunku; 2) pracować i kształcić się umysłowo a owoce swęj pracy udowodniać przed ogółem spiskowych, odczytując na zebraniach wypracowania dotyczące literatury, historyi — zgoła życia polskiego tak przeszłego, jak ówczesnego. Zebrania odbywać się były winny co tydzień, a na nich każdy spiskowy zobowiązany był być obecnym. Ustrój ten, jakby stworzony był do tego, by rząd rosyjski prędzej lub później mógł od razu wszystkich wyłapać.

Przysięga była okropna — były tam takie klękcia, jakichbyśmy napróżno gdzie indziej szukali.

Do zawiązujących ten spiszek nie należałem, bo z całym tem stronnictwem, którego Erazm był głową, byłem w owym czasie na bakier. W parę dni wszakże dowiedziałem się, iż zaraz na pierwszym zebraniu postawiono wniosek, czy zaproponować mi wejście do tego spisku lub nie? — Jednogłośnie postanowiono wezwać mnie do niego. Erazm i przyjaciel mój T. K., zwany Landziem, upoważnieni zostali do rokowania ze mną. Przyszli do mnie wieczorem na Nikitską ulicę, gdzie wówczas mieszkałem, a serdecznie ściskając mi ręce i zapewniając,

iz pomimo sporów nigdy nie wątpili ani o mój szlachetności, ani o mem sercu i głowie, szczerze opowiedzieli mi wszystko i prosili, bym razem z nimi dla ojczyzny pracował. Nie potrzebuję chyba dodawać, że odrazu przystałem na ich propozycyę. Nie widziałem w tem ani nic nadzwyczajnego, ani żadnego zuchwalstwa; zdawało mi się to tak naturalnem, jak gdyby mi ktoś z dobrych mych znajomych zaproponował wypicie z nim szklanki herbaty. Opowiedzieli mi genesis swego zawiązku — i owego emisaryusza i liczbę stowarzyszonych, zgoła wszystko nic nie ukrywając. Naturalnie, że i ja w emisaryusza uwierzyłem.

W parę dni udałem się na zebranie. Było to wieczorem podczas zimy. Zebranie miało miejsce w domu na Trubnym bulwarze. Szedłem sam; udrapowałem się w płaszcz jak w togę rzymską i krokami starożytnych bohaterów szedłem na narady. Na złość serdeczną moją nikt z przechodniów nie zwrócił na mnie uwagi, a zdawało mi się, że każdy powinien był spojrzeć na męża, który z ciężkimi dumami szedł tworzyć olbrzymie plany. Byłem tak mocno przejęty ważnością swęj osoby, byłem tak dumny i pyszny, że wszystko to biło z mój twarzy. Spisek tyle ma zawsze uroku dla młodości a zwłaszcza, jeśli ta młodość ma choć trochę ognia i fantazyi w sobie. A mnie wszystko przedstawiało się w niesłychanie poetycznej barwie. Począć spisek w sercu Rosyi na zgniecenie jęj — och! mój Boże! ileż w tem było uroku i piękności! Ponury, jak na spiskowca przystało, wszedłem do tego przybytku, gdzie pieśń życia dla Polski rozpoczynała się. Wszyscy porwali się i powitali mnie serdecznie. Pełen wzruszenia, uroczyście wykonałem klęcząc przysięgę. Rozpoczęły się narady; obrany zostałem za jednego z przywódców — a miałem lat 18.

Odtąd rozpoczęła się praca. Zależała ona na tem, by jak największą liczbę młodzieży wciągnąć do zawiązku. Następnie, ponaznaczane były rozmaite prace dla stowarzyszonych. Na mnie wypadł odczyt: O posłannictwie Polski. Wypracowałem go na następne posiedzenie; przewyższyłem sam siebie i zdziwiłem wszystkich. Jak dziś przypominam sobie, było tam wiele pięknych słów, dość ognia, gorąca; ale żeby sensu, treści było wiele, nie przypuszczam. Zakup książek rozpoczął się na dużą skalę, — składki płynęły obficie, — każdy oddawał prawie ostatni grosz. Codzień przybywali liczni prozelici — wszystko szło jak najlepiej. Wyznaczaliśmy już wysłańców do kraju i innych uniwersytetów — aż wreszcie cała ta piękna budowa runęła pewnego pięknego poranku doszczętnie. Jeden z stowarzyszonych, nazwiskiem B. z Wilna, zaproponował przyjęcie do związku, swego gimnazyalnego kolegi Z. Z., studenta literackiego fakultetu. Zgodzono się na propozycyę i oznaczono przyjęcie go na pierwszym zebraniu. Wprowadzony przez B., zasiadł pomiędzy nami; wezwany jednak do przysięgi, wykonania jęj odmówił, oświadczając wyraźnie, iż do przysięgi najmniejszej wartości nie przywiązuje i że bez niej święcie tajemnicy dochowa. Przedstawiano mu, iż to jest warunek ustawą postawiony, którego pominąć nie można. Gdy wszakże wszelkie przedstawienia nic nie pomogły — wówczas, starszyzna i ja wraz z nią udaliśmy się na naradę do drugiego pokoju, i tam jednogłośnie wydaliśmy na Z. wyrok śmierci gwoli dobru spisku i bezpieczeństwu ogólnemu. H. Żmudzin, również spiskowcy, jeden z najsilniejszych fizycznie w całym uniwersytecie, przeznaczony został na wykonawcę tego wyroku przez uduszenie Z. Na twarzach wszystkich zapanowała uroczyista powaga. Zenon był zgorącz-

kowany, ale nie zatworzony. Serce ścisnęło mi się z boleści, wyrok miał być wykonany zaraz po rozejściu się. Jakoż wkrótce wyszliśmy wszyscy na ulicę. H. stanął przy swojej ofierze, a było to ogromne chłopisko — szerokie, rozroste, prawdziwie niedźwiedzia natura. Brunet, o oczach przygasłych, bez wyrazu — cały zdaje się tylko z kości, tak potężnych, jak u mamuta, i z żył tak grubych, jak liny okrętowe, zbudowany. Był na medycznym wydziale, a uczył się nieszczęólnie. Zdania żadnego. Był dumny z swęj istotnie niezwyčajnej siły i rad się nią był popisować. Szczęólniej miał pasyę do bicia muzyków rosyjskich po twarzy. Policzek przez niego dany muzykowi, zwyczajnie zwałał uderzonego z nóg. Nie przeszedł nigdy spokojnie przez ulicę — a raczej koledzy jęgo nie dali mu przejść spokojnie. Jak tylko bowiem spostrzegli idącego ogromnego brodacza, krzyczeli: „Józefie uderz go.“ Mój Józef, jak na komendę, ani się zająknął, tylko szedł za rozkazem. Taki to człowiek wybrany był na wykonawcę wyroku. Była północ — mróz był trzaskający — wyszliśmy jak powiedziałem, wszyscy razem, a było nas do pięćdziesięciu. Ale Józef nie spieszył się rzucić na Z., i nikt też nie miał do tego ochoty. Rozeszliśmy się wszyscy spokojnie do domów. O wykonaniu wyroku na Z. już więcej nikt nie myślał.

Na drugi dzień, zebraliśmy się w mieszkaniu Erazma. Zebranie składało się jedynie z tęższych. Rozpoczęła się narada. Na niej uchwalono: a) utrzymać nadal spisek i iść dalej w tymże samym kierunku, b) słabszych członków wydalic, zawiadamiając ich i Zenona, iż cały związek stanowczo rozwiązany, c) wreszcie dla wzmocnienia się przyjąc do związku Adama Ch., spodziewaliśmy się, że on ożywi na nowo spisek i poprowadzi go jak należy. Adam Ch., rodem z Wielkopolski, syn biednego rzemieślnika, miał blisko lat trzydzieści. — Sam więc wiek, w stosunku do nas, cośmy nie mieli po lat dwadzieścia, dawał mu już ogromną przewagę nad nami. Jeszcze zaś większą przewagę dawało mu życie praktyczne, w którym obracał się dłuższy czas w świecie. Po ukończeniu bowiem szkół, wstąpił do szkoły farmaceutycznej — a następnie jako prowizor pracował kilka lat w różnych aptekach. W roku 1844 czy 45, pragnąc pozyskać stopień magistra farmacyi, udał się do Moskwy. Tam, koledzy poznawszy jęgo zdolności, poradzili mu wstąpić do uniwersytetu na wydział lekarski. Adam posłuchał ich, zdał egzamin do uniwersytetu i był uważany za jednego z najzdolniejszych uczniów medycyny. Fundusów na utrzymanie nie miał żadnych, ale koledzy pamiętali o wszystkim. Zdolności posiadał niewątpliwe, ale przedewszystkiem jak powiedziałem, górował nad nami znajomościę życia praktycznego. Otóż tego praktycznego człowieka postanowiliśmy przyjąc do związku, aby mu dodał siły. Jak tylko rozpocząłem z nim rozmowę, a rozpocząłem z daleka, przerwał mi zaraz mówiąc, że wie o wszystkim i zgadza się na wszystko. Zaręczał, że wyczytał to z naszych fizyognomii i pewien jestem, że mówił prawdę, bo wszyscy za widocznie drapowaliśmy się na bohaterów. Pochwalił nasze zamiary i usiłowania i przyrzekł z całą duszy nam dopomagać. Oświadczył jednak, że żadnego dygnitarstwa nie przyjmie. Odtąd zatem choć w zmniejszonym kole zbieraliśmy się co tydzień i radziliśmy jak rozszerzyć spisek na całą Polskę, pod zaborem rosyjskiem się znajdującą.

Tymczasem nadchodziły wakacje. Postanowiliśmy wysłać z pośród nas jednego jako emisaryusza do Kongresówki. Głosy padły na Adama, misyę te przyjął chętnie. Zaopatrzyliśmy go w pieniądze na podróż, w adresy do naszych rodzin i daliśmy

mu znaczną ilość książek zakazanych, jak dzieła Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Mochnickiego i innych dla rozdania ich w Kongresówce pomiędzy patryotów.

Adam przyrzekł spełnić jak najgorliwiej i najświęciej powierzoną mu misję a za powrotem zdać z swych starań, usiłowań i zabiegów sprawę.

Na początku lipca 1847 wyjechał.

Ale cóż się stało? Oto przedewszystkiem, jako mąż ostrożny a praktyczny wszystkie książki pozostawił na Białorusi u jednego aptekarza. I istotnie takiego kufra książek, w jaki został zaopatrzony, niepodobna było przewieźć przez granicę a pamiętać należy, że istniała wówczas granica celna pomiędzy Kongresówką a Litwą i Rosją.

Następnie wykryło się, że Adam wszedł do związku jedynie dla tego, by go zabić, bo jako dojrzały czuł, że rezultat takowego nie będzie inny, tylko że wcześniej lub później wykryje go rząd rosyjski i nas wszystkich na Sybir wyśle. Takie mając zamiary udał się do brata Erazma, który w Kaliskiem mieszkał i temu opowiedział rzecz całą, cechując cały spisek jako robotę niedojrzałych młodzieńców.

Toż samo opowiedział znanemu patryocie bernardynowi księdzu Bonawenturze Mańkowskiemu.

Od obojgów otrzymaliśmy piorunujące listy, zaklinające nas, byśmy natychmiast się rozwiązali i pamiętali, żeśmy do uniwersytetu pojechali po to, żeby się uczyć a nie spiski robić; że ucząc się, najlepiej służyć będziemy ojczyźnie.

Posłuchaliśmy ich rady; spisek rozwiązany został a każdy z spiskowców zasiadł do książki, aby wynagrodzić czas stracony. Adam powrócił i chciał nam zdawać sprawę z swęj podróży — aleśmy naturalnie słuchać go nie chcieli tém bardziej, że wykrył się, iż nas wcale nie oskarżał, tylko nie chcący się wymówił.

Dość długo byliśmy nań bardzo rozsierzeni — ale jako pomiędzy młodymi bywa — nastąpiła zgoda.

Tak się zakończyły dzieje tego spisku.

Franciszek Dobrowolski.

Ze zbioru baśni Tatrzańskich.

(Z podań ludu Zakopiańskiego.)

Zakłęci rycerze w Giewoncie.

Szeroko nad Zakopanem rozparł się Giewont siwy i dumnie stawił wyniosłe czoło, a ma czego być dumnym olbrzym granitowy, bo cuda mieści w swęj piersi kamiennęj.

W jego wnętrzu świat istnieje oddzielny, świat czarów zakłęty. Rycerze bitni, co padli w obronie ojczyzny, w nim drugie znaleźli życie, życie-sen, z którego kiedyś zbudzeni będą do walki za świętą sprawę, za rodzinny kraj.

Na rycerzach lśni zbroja w ogniu hartowana i miecz długi, zwieszony u boku, lecz więcej jeszcze blasku mają skarby liczne, któremi śpiący otoczeni wojacy; więcej świeci z dyamentów świątynia słoneczna, wznosząca się w pośrodku zakłętego koła.

Wnętrze świątyni zdaje się płonąć od blasku drogich kamieni, od światła siedmdziesięciu siedmiu gwiazd,

które tam zastępują świeczki nasze ubogie. U wieży dzwon srebrny się zwiesza, poruszany co siedm lat. Harmonijny dźwięk jego budzi drzemiących rycerzy. Wstają z cichym szmerem, w świątyni wstępują podwoje, przed majestatem Boga głowy pochylają kornie i modlitwa błagalna westchnieniem z tysiąca ulatuje piersi. W tem dzwonu milkną tony, jak mary znikają wszyscy, by siedm przespać lat.

Nad tym krajem cudów u stóp starego Giewonta staw niewielki roztacza szmaragdową toń, a tajemniczy wianek bujnej zieleni niemożliwym czyni przystęp do niego.

W głębinach stawu smoki strzegą skarbów i dziwów, zakłęte przez króla czarowników. Biedni więźnie nieraz swe pęta zerwać usiłują, ale daremnie, bo najmniejsze ich poruszenie sprawia wicher gwałtowny, na którego świst ponury, nadbiega czarownik i znowu dawny porządek przywraca; ludziom tylko przysparzają biedy, bo wicher młóci owies niedojrzały, łamie drzewa, chaty rozrywa, a przed trzema laty las cały wyrwał z korzeniami, co dziś jeszcze goście tatrzańscy z trwogą podziwiać mogą, jadąc z Zakopanego do Kościeliskiej Doliny.

Dawniej o tych wszystkich cudach ludzie nie wiedzieli, darmo w głowę zachodzili, zdążyć się wicher bierze; przed więcej jak stu laty, dopiero juhas, przez wietrzną trąbę rzucony na głębię stawu, wszystko sam widział i opowiedział. Porwały go smoki owe, by je wyswobodził, lecz gdy siedm lat czekały napróżno, wypuściły go znowu do ludzi.

Opowiadanie to powtarzają z hal podgiewontskich juhasi, do których dochodzą czasem dzwonu tony harmonijne, zniewalające do wspólnej z zakłętymi rycerzami modlitwy o lepszą dolę.

O skamieniałych rycerzach.

Po bitwie wielkiej, rozpaczliwej, wszyscy kraju obrońcy polegli, sam dowódca pozostał tylko. Dłonią zakrył oczy, by ujść okropnego widoku krwawego pola; przed myślą ujść jednak nie zdoła, że jego kraj zgubiony. Boleść mu serce ścisła, lecz nie płakał; duszy męczarnie zbyt wielkie były, by im ulżyć łzami. Pierś jego pusta nawet jęku wydać nie umiała, podobna do dzwonu, któremu serce wyjęto i strzaskano. Siwy-Staruszek przechodził drogą i ujrzał cierpienie rycerza. „Ja wasz ból ukoję,“ rzekł głosem miękkim, „jeśli mi tylko zaufać chcecie.“ I wzrokiem litosnym powiódł po nieszczęśliwym, jakby już oczyma przelać chciał w niego spokój i szczęście wewnętrzne, w które sam tak zdawał się być bogatym.

„Próżne nasze słowa,“ głucho w końcu odparł za-pytany, „mnie śmierć tylko pocieszycielką być może po stracie ziemi kochanej, po stracie wiernych towarzyszków boju, ja śmierci tylko żądam!“ — „W méj więc mocy będzie ukoić troski wasze,“ mówił Siwy-Staruszek, „ciebie i poległych w niedalekie powiodę skały, do rodzinnych Tatr. Tam wieki przetrwacie w cichym kamiennym śnie. A gdy przeznaczeń wybije godzina, gdy bitnych potrzeba będzie rycerzy, wtedy zakłęc słowa w serca tysięcy przeleją życie twoje i wszyscy żyć będziecie długie chwile poświęcenia.“ Dowódca skinął głową, że przyzwala i niby światło radości zabłysło mu nad czołem. Siwy-Staruszek dotrzymał przyrzeczenia, rycerze skamienieli w pośrodku Strążyskiej Doliny.

Wiele ubiegło lat, wieki przeszły ponad Tatr szczytami, rycerze spali nieprzerwanym snem; przed kilkudziesięciu laty dopiero pewnej staręj góralce przyśnił się Siwy-Staruszek. Rozkazał jej wziąć wody z kościoła i kredy białej święconęj, nauczył ją słów zakłęcia i liczbę drzew, liczbę wzgórz wymienił, po za któremi rycerzy odszukać miała.

Góralka stara wzięła, co jej Siwy-Staruszek poradził i liczyć drzewa i wzgórze poczęła, lecz starą pamięć zawiodła, zgubiła liczbę, szła jednak dalej, ufna, że może przypadek zgubioną wskaże jej drogę. Przyszła przed skałę wielką i stromą, skropiła ją wodą święconą, kredą obwiodła białą i słowa nauczone powtarzać zaczęła. — Czekala długo... długo, lecz skała stała zimna, głucha na zaklęcia. — Widać, że w innej złożeni byli gromie, a może przeznaczeń godzina nie wybiła jeszcze? Któż wie? *M.*

U nas umrze ktokolwiek bądź — piszą w nekrologu: „filar po filarze się wali, ponieśliśmy stratę niepowetowaną i. t. p.“ Gdyby tak być miało, to już gmach nasz społeczny dawno byłby musiał runąć, bo ileżto już u nas wielkich ludzi nie pomarło, tymczasem gmach społeczny istnieje, nie zawalił się, ale przeciwnie restauruje się i nowem, jak sądzimy, zakwita życiem.

Naszem zdaniem, nie masz tak wielkiego człowieka, któregooby w pewnej mierze zastąpić nie można, i w praktyce życiowej też tak się dzieje, że społeczeństwo zastępuje go sobie innym i nadal istnieje. *K. K.*

PIECHU.

Nemrod z bruku.

Jechał Pieś na polowanie,
Postać miał pękata; —
Zgubił torbę, złamał sanie,
Cóż powiedzieć na to?!

Flintę składa więc na bary,
Aż mu drgły kolana,
Brnie po śniegu polem, w jary, —
Znojmem twarz już złana.

Gdy miał skoczyć przez przegonę
Zawiodły go nogi,
Flinta poszła w jedną stronę,
On w drugą niebogi.

Leży, czeka, cierpi mękę,
Mając to na względzie,
Ze ktoś przyjdzie, poda rękę; —
Pusto, głucho wszędzie!

Wtem przyskoczył szary zajac
I ustawił słupka,
Skoki swemi przebiegając
Wprost do Piecha dziubka.

Piechu myśli że bestyja
Jakaś to żarłoczna, —
A bez flinty i bez kija
Będąc, zląkł się do cna.

Aby sobie dodać ducha
Lyknął więc z butelki,
Która miewa gdzie pazucha,
Na wypadek wszelki.

Zajac w strach że butel puka, —
Umknął ku lasowi;
Taka się udała sztuka
W przegonie Piechowi.

Lyknął jeszcze kilka razy
Z tejsze samęj szklanki, —
Przyszli strzelcy, bez obrazy
Kładą go na sanki.

Wiozą z wielką procesyją
Piecha już do miasta,
On im chrapi aż psi wyją...
— Cóż powie niewiasta?

Będzie jemu w domu ciepło!
Rzucają do łóżka
Piecha osobistość skrzepłą; —
— Padł jak z drzewa gruszką.

Nad nim zalamala — — pieś.
Piecha połowica;
Ze nieczule — co szczęście —
Miał członki — i lica.

On śni — strzały niby garnie
Do kota bestyi,
Co w kotlinie śpiąc drwi marnie
Z Piecha i fuzyi.

Oj śmiałyżby się zajace
Widząc Piecha dołą; ...
O poranek nie potrąć,
Dzień przemilczuć wołę!

Pieś pod wieczór cmoka łapki
I ślubi poprawę:
Poszedł wreszcie szukać kapki,
By zapomnieć sprawę.

A przy kapce czyni powieść:
Nemrod z niego jaki,
Że na kopy, gotów dowieść
Płochę bił szaraki.

Podziwiają przyjaciele,
Udział biorąc w kapce; —
On po wschodach do dom śmieie
Wracał — jak po drabce.

A wróciwszy rzecze: żono
Sesya była w radzie; —
U nas kogo obarczono,
Wszystko się nań kładzie!!

Ona westchła: znana mowa!
Jutro — areszt Pietrze!!
On w poduszki głowę chowa,
Któż kobietę przeprze!!

W. S.

Zadanie obecne kupiectwa.

W naszych małych stosunkach jest dziś przedmiotem zadaniem kupiectwa, zdobyć — klientelę ludu, przez zakładanie po większych i małych miastach oraz wsiach, składów, odpowiadających potrzebom ludowych warstw.

W tej gałęzi handlu mogą u nas powstać jeszcze tysiące przedsięwzięć zarobkujących, z których każda jednej a nawet kilku rodzinom da pewną podstawę bytu, społeczeństwu zaś i krajowi nowych obywateli pożytecznych a niezależnych.

Kierunek ten handlu da przedsiębiorcom zręcznym i skromnym, pewny zarobek, oparty na gotówce, bo lud na kredyt nie kupuje.

Kierunek ten handlu powinien się stać jedną z dźwigni do przywrócenia nadwężonej u nas równowagi ekonomiczno-społecznej.

Tracimy ziemię a w niepomysłnych dla rolnictwa okolicznościach trudno ją odzyskiwać. Oburącz tedy trzymając się pozostałej gleby przez jednych, przez drugich odzyskujemy stanowiska w miastach, zdobywając handel ludowy.

Oby młodzież kupiecka zrozumieć chciała te prawdy i poszła tym torem, a łatwiej dojdzie do celu jak w owych błyszczących składach z wielką szybkością krysztalową, a jeszcze większą księgą debitorów, zapewniającą raczej straty niż korzyści.

Dr. W. Lebiński.